

Wieczorek:
Zmiany będą rewolucyjne

Gornowicz, Zielińska, Kieraciński:
Nieadekwatne finansowanie

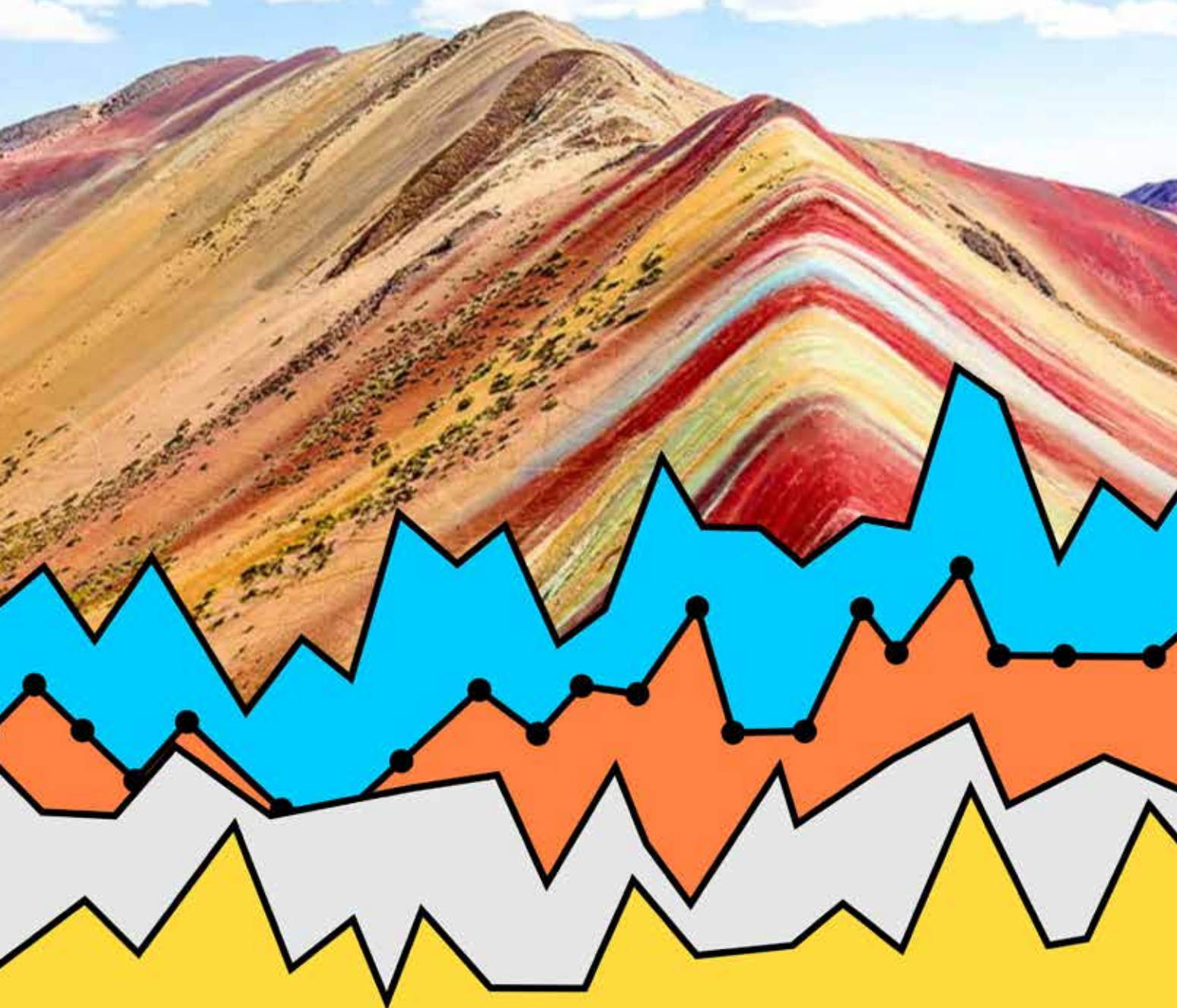
Kołodziejczak:
Zalety szkół doktorskich

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 9/2024

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)



Modele i modelowanie

Bartosz:
Dyskusyjna habilitacja

Gut:
Uniwersytet a wolność słowa

Zalewski:
Poznawczy potencjał powieści



Trzeci niepubliczny uniwersytet

Od 1 września 2024 r. w Krakowie działa trzeci w Polsce niepubliczny uniwersytet (ze świadomością, że wszystkie pięć uczelni tworzących Federację Naukową WSB-DSW Merito ma prawo do posługiwania się nazwą „uniwersytet”). W swoje 25-lecie Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego uzyskała odpowiednie uprawnienia i zmieniła status na uniwersytecki. W wyniku przeprowadzonej w 2022 roku ewaluacji dyscyplin naukowych uczelnia uzyskała uprawnienia do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego w dyscyplinach: nauki prawne, nauki medyczne, pedagogika oraz architektura i urbanistyka, w 2023 r. uprawnienia akademickie w dyscyplinie stosunki międzynarodowe, a następnie kategorię B+ w dyscyplinie nauki o zdrowiu. W 2024 r. zdobyła kategorię naukową B+ w dyscyplinie nauki o zarządzaniu i jakości. Dzięki temu po uzyskaniu zgody ministra nauki, decyzją założyciela z dniem 1 września 2024 roku uczelnia przyjęła nazwę Uniwersytetu Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Krakowie.

Założona przez czterech krakowskich profesorów - Jacka Majchrowskiego, Klemensa Budzowskiego, Zbigniewa Maciąga i Andrzeja Kapiszewskiego - uczelnia zainaugurowała działalność 1 października 2000 roku jako Krakowska Szkoła Wyższa im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, początkowo jako szkoła zawodowa, z siedmioma specjalnościami. Dwa lata później przekształcona w niepaństwową szkołę wyższą po uzyskaniu pierwszych uprawnień do kształcenia na poziomie studiów magisterskich na kierunku prawo. W 2007 roku uczelnia uzyskała pierwsze uprawnienie do nadawania stopnia naukowego doktora nauk humanistycznych w dyscyplinie nauki o polityce, a rok później doktora nauk prawnych w dyscyplinie prawo. Dzięki temu w 2009 roku zmieniła nazwę na Krakowską Akademię im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Kolejne uprawnienia do doktoryzowania w dyscyplinie nauki o bezpieczeństwie KAAFAM uzyskała w roku 2016, a w 2019 zdobyła pierwsze uprawnienie do habilitowania w dyscyplinie nauki prawne.

Na UAFM studiuje 8,5 tys. osób, w tym 4,4 tys. na studiach stacjonarnych. Z prawie 1350 studentami zagranicznymi, poziom umiędzynarodo-

wienia przekracza 15,5 proc. Kształcenie odbywa się na kilkudziesięciu kierunkach, w tym medycznych. KAAFAM jako pierwsza uczelnia niepubliczna uzyskała w 2016 r. prawo kształcenia lekarzy. Uczelnia prowadzi studia podyplomowe, które dotychczas ukończyło niemal 5 tys. absolwentów. Wypromowano też 121 doktorów w dyscyplinach nauki prawne, nauki o polityce i administracji oraz nauki o bezpieczeństwie.

UAFM posiada własny kampus, na którym oprócz sal wykładowych i zaplecza naukowego i administracyjnego, znajdują się biblioteka i Wieloprofilowe Centrum Symulacji Medycznej. Strukturę UAFM tworzy 9 wydziałów. Dwa z nich, Lekarski i Nauk o Zdrowiu, tworzą Collegium Medicum. Oprócz nich są też wydziały: Aktorski, Architektury i Sztuk Pięknych, Nauk o Bezpieczeństwie, Prawa, Administracji i Stosunków Międzynarodowych, Psychologii i Nauk Humanistycznych oraz Zarządzania i Komunikacji Społecznej.

Uczelnia zatrudnia 1700 osób, w tym ponad 1170 nauczycieli akademickich. W tej grupie jest 157 samodzielnych pracowników nauki, w tym 59 profesorów tytularnych, a także 377 doktorów. Naukowcy z UAFM realizują 197 projektów badawczych w oparciu o środki, które uzyskano w formie subwencji z budżetu państwa. Łączna wartość tych projektów to ponad 2,2 mln zł. W roku akademickim 2023/2024 realizowali też 9 indywidualnych grantów finansowanych ze środków Narodowego Centrum Nauki, Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej o łącznej wartości 1 255 tys. zł. UAFM uczestniczy też w projekcie NCN OPUS 22 realizowanym przez American Heart of Poland (1,5 mln zł), a także jednym z konsorcjantów w badaniu klinicznym finansowanym przez Agencję Badań Medycznych (27 mln zł; liderem jest Wojskowy Instytut Medyczny – Państwowy Instytut Badawczy z Warszawy).

(p)



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Tak źle nie było od dekady – <i>Mirosław Gornowicz</i>	6
Dysonans – <i>Anna Zielińska</i>	9
Budżet nauki 2025 – <i>Piotr Kieraciński</i>	12
Manifest Otwartej Humanistyki	13
Mistrzowie, urzędnicy i przedsiębiorcy – <i>Andrzej K. Koźmiński</i>	14
Uniwersytet Harvarda i upadek standardów akademickich – <i>Ziemowit Malecha</i>	16
Rektor po raz trzeci	17
Stawiamy na sport dla każdego studenta – <i>rozmowa z prof. Krzysztofem Wildem, rektorem Politechniki Gdańskiej</i>	18
Brązowy Paryż	19
Szkoły? Szansa na realną zmianę! – <i>Sebastian Kołodziejczyk</i>	20
Collegium Civitas w Grupie Merito	22
Diamond Open Access – diamentowy otwarty dostęp w kwartalniku Studia z Polityki Publicznej SGH – <i>materiał sponsorowany</i>	23
Cyberbezpieczeństwo na serio – <i>Dariusz Szostek</i>	24
Opóźnione limity	25
Trzeci niepubliczny uniwersytet	2 str. okł.

ROZMOWA FORUM

Skończy się eldorado – <i>rozmowa z Dariuszem Wieczorkiem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego</i>	26
--	----

MODELE I MODELOWANIE W NAUCE

Modele w humanistyce – <i>Krzysztof Brzechczyn</i>	29
O czym nam (nie)mówią modele – <i>Jack Rodzeń</i>	33
Model jako forma poznania w naukach prawnych – <i>Hanna Wolska</i>	37
O modelowaniu agentowym – <i>Katarzyna Sznajd-Weron</i>	40

ŻYCIE NAUKOWE

Rodzaje krytyki – <i>Zbigniew Drozdowicz</i>	45
O rehabilitacji i nie tylko – <i>Grzegorz Bartosz</i>	48

ŻYCIE AKADEMICKIE

Harwardzki Yard – <i>Arkadiusz Gut</i>	50
„Gipsy” i modele – <i>rozmowa z Januszem Koziołem, kierownikiem Muzeum ASP w Krakowie</i>	54

Czytelnia czasopism – <i>Aneta Zawadzka</i>	62
--	----

Publikuj lub giń

Skąd to wiesz? – <i>Marek Misiak</i>	59
---	----

Z LABORATORIÓW

Pisarz w laboratorium – <i>Cezary Zalewski</i>	63
Śladami Johna Keatinga – <i>Magdalena Marzec-Józwicka</i>	66
Fenomen Nowogrodu Wielkiego – <i>Natasza Duraj</i>	70

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej

Iwan Pawłow i polscy uczeni – <i>Marcelina Smużewska</i>	73
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Moc książek – <i>Justyna Jakubczyk</i>	77
Portret prezesa we wnętrzu – <i>Marek Misiak</i>	77
Wciąż odkrywamy... – <i>Marcin Lutomiński</i>	78
Literackie wielunia – <i>Tomasz Klusek</i>	78
Ideowe tło perspektywy – <i>Juliusz Gałkowski</i>	79
Książki nadestane	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Ernesta Brylla <i>Wieczernik</i> wiecznie żywy – <i>Piotr Mıldner-Nieckowski</i>	76
---	----

Na marginesach nauki

Czy Zachód się zatrząci? – <i>Leszek Szaruga</i>	80
Projekt okładki – <i>Sławomir Makal</i>	

FORUM
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXXI Nr 9 (370) Wrzesień 2024

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wronski (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzeżenia i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MEiN

Projekt „Forum Akademickie – środowisko ogólnopolskiej debaty akademickiej” finansowany jest ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna odpowiedzialność nauki II”.

Socjolożka z UJ na czele ESA

PORTO Dr hab. Kaja Gadowska z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego została wybrana na stanowisko prezydenta Europejskiego Towarzystwa Socjologicznego. Polka od 2018 roku zasiada w Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, a w poprzednich dwóch kadencjach pełniła funkcję wiceprezydenta European Sociological Association. ESA to akademicka organizacja non-profit, która ma na celu rozwój wiedzy socjologicznej, ułatwienie badań i nauczania w tej dziedzinie, a także stanowi platformę wymiany doświadczeń pomiędzy samymi socjologami oraz między nimi a innymi naukowcami. Rozpoczęła działalność w 1994 roku. Skupia obecnie 3155 badaczy, a Polska jest w pierwszej dziesiątce krajów z największą liczbą członków.



Fot. UJ

Polak we władzach IGU

DUBLIN Dr hab. Marek Więckowski, kierownik Zakładu Geografii Miast i Ludności w Instytucie Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN oraz zastępca dyrektora ds. naukowych tej placówki, został powołany na stanowisko wiceprzewodniczącego Międzynarodowej Unii Geograficznej. Z instytutem związany jest od 2000 roku, wcześniej pracował na Wydziale Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. W orbicie jego zainteresowań naukowych są: problematyka granic politycznych i współpraca transgraniczna, geografia turystyki, geografia transportu, mobilność przestrzenna, rozwój regionalny. International Geographical Union powołano w 1922 roku w Brukseli. Organizacja promuje i koordynuje badania geograficzne, które wymagają współpracy międzynarodowej. Skupia obecnie 94 kraje i terytoria członkowskie. Polska przystąpiła do organizacji w 1925 roku.



Fot. Arch. prywatne

Nasz człowiek w EIT

BUDAPEST Prof. Dariusz Jemielniak, wiceprezes Polskiej Akademii Nauk, został wybrany do Rady Zarządzającej Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii. Jest jednym z pięciorga nowych członków tego gremium.



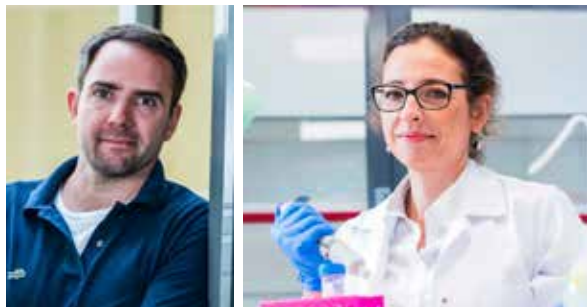
Fot. Arch. prywatne

EIT to największa organizacja działająca na rzecz innowacyjności w UE. Od 2008 roku wspiera współpracę przedsiębiorców z nauką i biznesem. Wprowadza innowacje poprzez charakterystyczny model – wspólnot wiedzy i innowacji EIT – w ramach których sektory przedsiębiorstw, edukacji i badań naukowych ściśle ze sobą kooperują. Obecnie sieć obejmuje ponad 70 ośrodków innowacji, skupiających około 3200 partnerów.

Od 2010 roku wprowadzili oni na rynek ponad 1670 nowych produktów i usług oraz wsparli ponad 5600 przedsięwzięć, które przyciągnęły ponad 6 miliardów euro inwestycji zewnętrznych. EIT stanowi integralną część programu ramowego Horyzont Europa.

Więcej nas w EMBO

HEIDELBERG Prof. Ewelina Knapska, kierująca Pracownią Neurobiologii Emocji w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, oraz dr hab. Sebastian Glatt, zastępca dyrektora ds. naukowych Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, dołączyli do grona członków Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej (EMBO). Oboje znaleźli się wśród 120 nowo wybranych do organizacji, która w tym



Fot. NCN, UJ

roku obchodzi 60-lecie istnienia. Do tej pory należało do niej 17 Polaków, w tym 5 z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej (profesorowie: Janusz Bujnicki, Andrzej Dziembowski, Jacek Jaworski, Marta Miączyńska, Marcin Nowotny). W tym roku na wiceprzewodniczącą Rady EMBO w kadencji 2024–2026 wybrano prof. M Miączyńską. Organizacja zrzesza ponad 2,1 tys. naukowców (w tym 92 laureatów Nagrody Nobla) zajmujących się biologią molekularną z całego świata.

O krok od Medalu Fieldsa

SEWILLA Dr hab. Adam Kanigowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego (kieruje tam Central European Mathematical Research Lab) i Uniwersytetu w Marylandzie otrzymał prestiżową Nagrodę Europejskiego Towarzystwa Matematycznego. W gronie laureatów znalazł się także dr Jacek Jendrej z francuskiego Centre National de la Recherche Scientifique (absolwent UW). Nagroda została ustanowiona w 1992 roku i wręczana jest co cztery lata maksymalnie dziesięciu badaczom, którzy nie ukończyli 35 lat, w uznaniu ich znaczącego wkładu w badania naukowe w matematyce. W gronie dotychczasowych osiemdziesięciu laureatów są także m.in. prof. Agata Smoktunowicz z Uniwersytetu Edynburskiego i prof. Tomasz Łuczak z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W sumie aż 15 zdobywców Nagrody EMS otrzymało później Medal Fieldsa – najwyższe wyróżnienie w matematyce.



Fot. IM PAN, Arch. prywatne

Polska fizyczka nagrodzona

VALLETTA Dr Olga Malinkiewicz zwyciężyła w konkursie European Inventor Award 2024. Nagrodzono ją za stworzenie nadających się do druku cienkich i elastycznych perowskitowych ogniw słonecznych, pozwalających na bardziej zrównoważone i wszechstronne podejście do wykorzystania energii słonecznej pochodzącej zarówno z naturalnych, jak i sztucznych źródeł światła. Jej zespół wykorzystał innowacyjny pro-



Fot. IM PAN, Arch. prywatne

ces druku atramentowego, by ogniwa te były produkowane w sposób, który zmniejsza zużycie energii. Malinkiewicz jest wnuczką wybitnego inżyniera Bogumiła Szwabika. W 2002 r. rozpoczęła studia na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kontynuowała je na Universitat Politècnica de Catalunya w Barcelonie. Pracę doktorską na temat perowskitowych ogniw słonecznych obroniła w Institut de Ciència Molecular w Walencji. Jest współzałożycielką i dyrektorką technologiczną Saule Technologies.

Zbadają miejsce zbrodni w VR

RZESZÓW WSPiA Rzeszowska Szkoła Wyższa, jako pierwsza uczelnia w Polsce, dysponuje nowoczesnym, eksperckim stanowiskiem VR, które umożliwi przeprowadzanie oględzin miejsca zdarzenia w wir-



Fot. WSPiA

tualnej rzeczywistości oraz wykonywanie działań, takich jak robienie zdjęć, pomiarów czy oznaczanie śladów. Kluczową funkcjonalnością jest integracja z oprogramowaniem CYBID, służącym do tworzenia szkiców miejsca zdarzenia oraz prowadzenia rekonstrukcji. Narzędzia dostępne w modułach oprogramowania pozwalają studentom zdobywać wiedzę w wielu aspektach, takich jak pomiary, identyfikacja i metryczki śladów, szkicowanie i planowanie miejsca zdarzenia, protokołowanie, fotografia, fotogrametria oraz wykonywanie analiz i symulacji. Co ważne, studenci nie muszą pracować nad gotowymi scenariuszami. Platforma umożliwi bowiem tworzenie własnych, symulowanych zdarzeń i planów działań ratowniczych od podstaw.

AGH rozbudowuje swój kampus

KRAKÓW Na kampusie Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie powstanie obiekt, w którym realizowane będą działania z obszarów sztucznej inteligencji, cyberbezpieczeństwa, technologii bezpieczeń-



Fot. AGH

stwa. W budynku znajdzie też siedzibę tworzony wspólnie z Krakowskim Parkiem Technologicznym akcelerator DIANA, który zajmuje się rozwojem technologii o podwójnym zastosowaniu na potrzeby obronności i bezpieczeństwa. Sześciokondygnacyjny budynek o powierzchni ponad 6,5 tys. m² ma powstać w ciągu dwóch lat. Szacunkowy koszt budowy i wyposażenia całego kompleksu to około 165 mln zł.

ZUT ma nowe laboratorium dźwięku

SZCZECIN Laboratorium dźwięku immersyjnego otwarty na Zachodniopomorskim Uniwersytecie Technologicznym. Dźwięk immersyjny to taki, który dociera do słuchacza ze wszystkich możliwych kierunków, stwarza-



Fot. Kamila Kozol

jąc wrażenie, że jest się w samym centrum wydarzenia. Na takiej technologii oparta jest warstwa dźwiękowa współczesnych systemów multimedialnych. Mają one za zadanie w pełni odzwierciedlić zjawiska akustyczne występujące w rzeczywistości. Sercem laboratorium jest system odsłuchowy w konfiguracji 7.1.4 (siedem systemów głośnikowych otaczających słuchacza w płaszczyźnie poziomej, jeden system subskotonowy, cztery systemy sufitowe) na bazie koaksjalnych monitorów aktywnych Genelec One wraz ze stacją roboczą DAW (Digital Audio Workstation). Na wyposażeniu znajduje się również zestaw specjalistycznych mikrofonów, słuchawek oraz sonda natężeniowa Microflown. Aby mieć możliwość kontrolowania ewentualnych zniekształceń dźwięku, umieszczono również wysokiej klasy dwukanałowy analizator audio. Inwestycja kosztowała 500 tys. zł.

Nowy samolot Politechniki Śląskiej

GLIWICE Samolot P-mentor firmy Tecnam poszerzył flotę Ośrodka Szkolenia Lotniczego Politechniki Śląskiej. Jest najnowocześniejszym ze statków powietrznych, jakimi dysponowała do tej pory uczelnia. To dwu-



Fot. Maciej Murwił

miejskowy samolot z jednym silnikiem tłokowym Rotax 912isC3, certyfikowany do lotów według przyrządów, przeznaczony do szkolenia lotniczego. Wyposażono go m.in. w wysokiej klasy cyfrową awionikę Garmin G3X IFR. P-mentor został certyfikowany przez Europejską Agencję Bezpieczeństwa Lotniczego (EASA). Będzie służył zarówno w szkoleniu pilotów, studentów studiujących nawigację powietrzną, ale także studentom innych specjalności, jak np. mechanik lotniczy czy zarządzanie ruchem lotniczym. Kosztował ok. 2 mln złotych.

Powstaje Podkarpackie Centrum Sportu Akademickiego

RZESZÓW Uniwersytet Rzeszowski zaczyna budowę Podkarpackiego Centrum Sportu Akademickiego. Obiekt, w którym swoją siedzibę znajdzie Instytut Nauk o Kulturze Fizycznej, będzie dopełnieniem uczelnia-



Fot. UJRZ

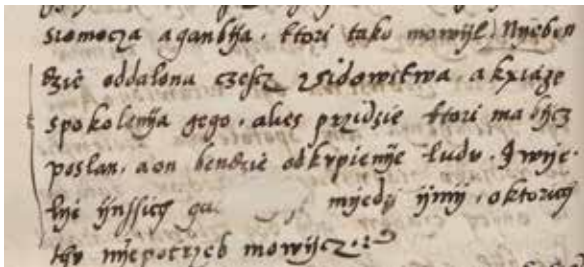
nego kompleksu sportowego. W bezpośrednim sąsiedztwie wybudowanej 3 lata temu hali lekkoatletycznej powstanie Podkarpackie Centrum Sportu Akademickiego o powierzchni 3,2 tys. m². Znajdą się w nim sale dydaktyczne, w tym dwie aule wykładowe, gabinety naukowe, a także sale sportowe, m.in. sala gier zespołowych do ćwiczeń ogólnorozwojowych, gier i zabaw ruchowych oraz indywidualnych treningów, a także sala gimnastyczna do ćwiczeń ogólnorozwojowych z wykorzystaniem przyrządów gimnastycznych i specjalistycznych treningów. Dodatkowo na terenie obok obiektu powstanie kort tenisowy oraz boisko typu orlik do piłki nożnej. Wartość przedsięwzięcia przekracza 26,4 mln zł. Oddanie do użytku zaplanowano za niecałe 2 lata.

Lek na koci katar

KRAKÓW Innowacyjny lek na koci katar opracowali naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego. To powszechna choroba zakaźna u kotów wywołana przez kociego herpeswirusa typu 1 (FHV-1) lub przez kociego kaliciwirusa (FCV). Jest jedną z częstszych przyczyn śmierci tych zwierząt w schroniskach oraz w hodowlach. Nie ma obecnie skutecznego leku, który pozwalałoby na wyleczenie zakażenia. Badania prowadzone na UJ pod kierunkiem prof. Krzysztofa Pyrcia doprowadziły do identyfikacji związku, który jest zatwierdzony do stosowania nawet u ludzi. Zwalcza on skutecznie oba wirusy powodujące koci katar. Substancją czynną produktu jest sulfonowana pochodna polistyrenu. Badania przedkliniczne wykazały brak toksyczności, wysoką trwałość oraz skuteczność w hamowaniu namnażania się kocich herpeswirusów oraz kaliciwirusów. Badania terenowe wykazały zarówno redukcję ilości wirusa, jak i objawów specyficznych dla kociego kataru. Nie zaobserwowano żadnych działań niepożądanych. Produkt wkrótce ma trafić na rynek.

Narzędzie do badań apokryfów

POZNAŃ Uniwersalne narzędzie do przeszukiwania i analizy polskich apokryfów Nowego Testamentu stworzyli naukowcy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. To teksty fundamentalne dla dziejów polszczyzny religijnej, a także ważne dla literatury i języka całej Słowiańszczyzny. Drobiazgowo przebadano i opracowano wszystkie staropolskie (do 1544 roku) apokryfy nowotestamentalne, czyli ponad 2 tys. stron rękopisów i starodruków. Projekt trwał sześć lat. W tym czasie udostępniono m.in. teksty transliteracji i transkrypcji Rozmyślań dominikańskich, Historii Trzech Króli, Sprawy chędogiej, Ewangelii Nikodema. Najważniejszym rezultatem prac jest baza danych APOCRYPHA, w której użytkownik ma możliwość skorzystania z indeksu leksykalnego, anotacji gramatycznej,



zestawienia miejsc paralelnych i wątków. Strona udostępnia także teksty obcojęzycznych źródeł polskich apokryfów i wcześniejsze transkrypcje polskich utworów. Elektroniczna baza danych znajduje się na stronie www.apocrypha.amu.edu.pl.

PUM ma wytwórní farmaceutyczną

SZCZECIN Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie otworzył Uniwersytecką Wytwórní Farmaceutyczną. Nowa jednostka będzie prowadziła niekomercyjne badania kliniczne oraz opracowywała zaawansowane produkty lecznicze. Zlokalizowano ją w Międzywydziałowym Centrum Dydaktyki. Jej utworzenie to ważny element całego projektu dotyczącego rozwoju farmacji w Szczecinie. Chociaż farmacja jest najmłodszym wydziałem uczelni, to stanowi jeden z jej kluczowych kierunków, obok medycyny i stomatologii. W ostatniej ewaluacji uzyskała katego-



Fot. PUM

rię A+, mimo że to najmłodsza jednostka farmaceutyczna w kraju. Skupi się na terapiach onkologicznych oraz medycynie regeneracyjnej, która wspomaga procesy gojenia i naprawy uszkodzonych tkanek, komórek i narządów. UWF, którą kieruje dr n. med. Piotr Kulig, zajmie się terapiami opartymi na modyfikacjach komórek i tkanek, nadając im pożądane właściwości, które mogą mieć kluczowe znaczenie dla skuteczności planowanych terapii. Inwestycja pochłonęła 15 mln zł.

Jeszcze lepszy trening

SZCZECIN Nad bardziej skutecznymi metodami treningowymi w sportach zespołowych pracują naukowcy z Uniwersytetu Szczecińskiego. To pierwszy w Polsce projekt wykorzystujący zaawansowaną technolo-



Fot. Magdalena Sreńdyńska

gię Skillcourt, która łączy elementy gier, analizę danych i interaktywne ćwiczenia, aby wspierać rozwój zdolności motorycznych, koordynacji, refleksu oraz szybkości reakcji. System ten wykorzystuje specjalne maty sensoryczne i panele dotykowe, które rejestrują ruchy użytkownika i analizują jego wyniki w czasie rzeczywistym. Treningi mogą być dostosowane do indywidualnych potrzeb użytkownika, co pozwala na personalizację ćwiczeń i maksymalizację efektywności treningu. Skillcourt znajduje zastosowanie w różnych dyscyplinach sportowych, a także w rehabilitacji i edukacji. Jednym z celów projektu jest profilowanie zawodników pod kątem funkcji motoryczno-kognitywnych, co ma kluczowe znaczenie w zrozumieniu tego, jak różne aspekty gier zespołowych wpływają na rozwój funkcji kognitywnych i fizycznych. Badania przyczynią się do opracowania i wdrożenia bardziej skutecznych metod treningowych.

Precyzyjne pomiary

KIELCE Z udziałem prof. Marii Mrówczyńskiej, podsekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, odbyło się uroczyste otwarcie Świętokrzyskiego Kampusu Laboratoryjnego Głównego Urzędu Miar. Nowo powstały ośrodek badawczo-rozwojowy to znaczące wzmocnienie polskiej metrologii. Będzie koncentrować się na takich dziedzinach, jak akustyka, drgania, czas i częstotliwość, długość, masa, termometria oraz metrologia interdyscyplinarna. Na kielecki kampus składa się osiem budynków, z czego w sześciu znajdują się laboratoria wyposażone m.in. w dwie specjalistyczne komory akustyczne, gdzie badane będą m.in. mikrofony, głośniki, a także sprzęt bhp do ochrony przed hała-



Fot. P.S.

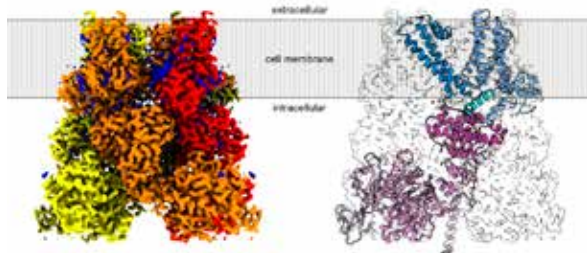
sem. Jednym z najbardziej unikatowych elementów kampusu jest tunel o długości ponad 70 metrów, w którym planowane są testy prędkości, z jaką poruszają się m.in. drony. W sumie na początku będzie funkcjonowało około 30 skonsolidowanych stanowisk pomiarowych. Ośrodek powstał we współpracy z Politechniką Świętokrzyską. Koszt inwestycji przekroczył 240 mln zł.

Obuwie dla cukrzyków

ŁÓDŹ Aktywne obuwie terapeutyczne przeznaczone dla pacjentów z zespołem stopy cukrzycowej opracowali naukowcy z Sieci Badawczej Łukasiewicz – Łódzkiego Instytutu Technologicznego we współpracy z Uniwersytem Medycznym w Łodzi. W prototypowym rozwiązaniu zaimplementowano technologię elektromagnetycznej terapii ran tzw. CoPTheN (Comprehensive Physical THERapy for Neuropathy). Obuwie wykorzystuje specjalne wkładki podeszwowo, w których zostały zamontowane zminiaturyzowane emiterzy pola elektromagnetycznego i ultradźwięków. Dzięki temu udało się osiągnąć potwierdzony badaniami efekt przyspieszenia gojenia się ran, w szczególności ran tkanki łącznej. Technologia zwiększa przepływ krwi, pooprabia krążenie, a więc prowadzi do szybszej regeneracji, działa też przeciwozbrękowo i antyzapalnie. Kluczowym elementem układu jest elektroniczny, programowalny sterownik, dzięki któremu można zaprogramować odpowiedni program terapeutyczny, w tym jego całkowity czas trwania, długość poszczególnych impulsów elektromagnetycznych/ultradźwiękowych, ich intensywność i częstotliwość.

Zimne miętówki

WARSZAWA Strukturę białka odpowiadającego za odczuwanie zimna określili naukowcy z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej. We współpracy z uczonymi z Włoch zbadali białko TRPM8 oraz stworzyli model jego wiązania z icyliną. Jest to związek wykazu-



jący 200-krotnie silniejszą aktywację kanału jonowego TRPM8 niż mentol. Aktywacja takich kanałów powoduje depolaryzację, czyli wyrównanie stężeń jonów wewnątrz i na zewnątrz komórki nerwowej, co prowadzi do powstania impulsu nerwowego niosącego informację o wykrytym bodźcu. Występujący w mięcie mentol aktywuje receptory zimna TRPM8, stąd odczucie zimna przy jedzeniu miętówek. Pobudzenie tych termoreceptorów jest jednak również powiązane z percepcją bólu, a wysycenie ich działania poprzez dłuższą ekspozycję na zimno lub mentol pozwala zmniejszyć odczucie bólu. Trwające dwa lata badania były częściowo

wspierane algorytmem sztucznej inteligencji AlphaFold. Wyniki mogą w przyszłości pomóc w opracowaniu nowych terapii medycznych związanych z bólami neuropatycznymi, zespołem jelita drażliwego, przewlekłym kaszlem czy nadciśnieniem tętniczym.

Nowe miejsce na naukowej mapie

POZNAŃ Centrum Innowacyjności i Edukacji Społecznej otwarto w Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN. Siedziba nowej jednostki mieści się w secesyjnej willi z 1910 roku, która od 2015 roku jest własnością instytutu. W ostatnich latach przeszła spektakularną metamorfozę. W budynku swoją siedzibę znalazły laboratoria badawcze, działające w obszarze biologii molekularnej, bioobrazowania, genomiki i archeogenomiki, w tym laboratorium do analizy kopalnego DNA. To m.in. Euro-



Fot. Mateusz Młynarczyk

pejskie Centrum Bioinformatyki i Genomiki, Poznańskie Centrum Archeogenomiki, Centrum Biomedycyny Systemowej. Stosowane są tu nowoczesne metody sekwencjonowania nowej generacji, analiz pojedynczych komórek, ultrawysokorozdzielcza mikroskopia czy wysokoprzepustowe badania przesiewowe. CIES, koordynowane przez prof. Marka Figlerowicza, zajmie się również popularyzacją nauki i współpracą między badaczami, przedsiębiorcami i społecznością lokalną. W tym celu powstały także sale seminarijny i laboratoria pokazowe, a nawet wirtualna biblioteka. W przyszłości instytut planuje utworzenie zamiejscowego oddziału CIES w wielkopolskiej gminie Kościan.

O jedną mniej

POLSKA Osiem polskich uczelni – o jedną mniej niż przed rokiem – znalazło się w najnowszym Academic Ranking of World Universities, nazywanym także Listą Szanghajską. Zestawienie obejmujące tysiąc najlepszych szkół wyższych na świecie opublikowano po raz 22. Najwyższe noty z polskich otrzymały Uniwersytet Jagielloński oraz Uniwersytet Warszawski, kolejny rok z rzędu utrzymując miejsca w piątej setce. Jako jedyna awans zanotowała Politechnika Gdańska (o jeden przedział miejsc, na pozycje 801–900), z kolei w ostatniej setce uplasowały się tak jak poprzednio: Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, Politechnika Warszawska i Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. Z „10” wypadł Warszawski Uniwersytet Medyczny. Na podium bez zmian: prowadzi Harvard University, przed Stanford University i Massachusetts Institute of Technology.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Kamil Dziewit, Grzegorz Kolasinski, Emilia Kujawa, Maja Maćkowiak-Kruczek, Przemysław Pawlak, Jan Piechna, Jadwiga Witek, Łukasz Wspaniały, Anna Żmuda-Muszyńska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X



Tak źle nie było od dekady

Dr hab. inż. Mirosław Gornowicz, prof. UWM, prorektor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, przewodniczący Uniwersyteckiej Komisji Finansów Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich przedstawia zmiany w sytuacji finansowej publicznych uniwersytetów klasycznych, członków KRUP, w ciągu ostatnich czterech lat.

W czerwcu, jak co roku od dwudziestu już lat, Uniwersytecka Komisja Finansowa Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich przedstawiła raport na temat sytuacji ekonomicznej klasycznych uniwersytetów publicznych. Mając w pamięci zainteresowanie zawartością tego raportu w latach ubiegłych, przedstawiam również w tym roku najważniejsze, moim zdaniem, zawarte w nim informacje. Raport przedstawia dane dotyczące 21 klasycznych uniwersytetów skupionych w KRUP z lat 2019-2023. Ten przedział zapewnia pełną porównywalność wyników w czasie, ponieważ obowiązywały w nim jednolite zasady finansowania uczelni, określone w tzw. Ustawie 2.0.

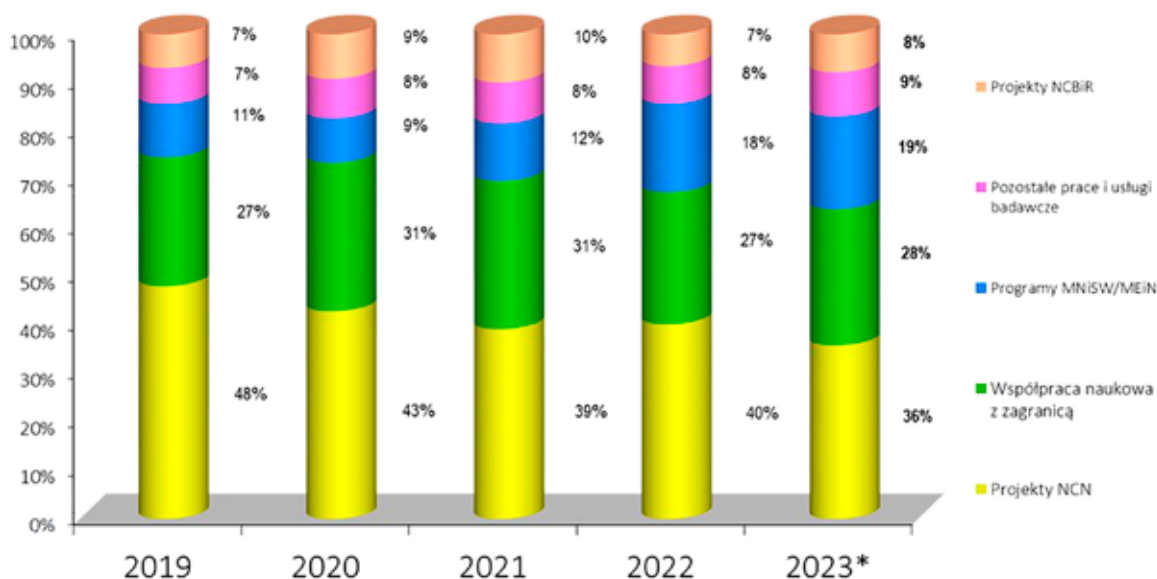
Zdecydowanie najważniejszym źródłem przychodów uniwersytetów pozostaje subwencja budżetowa. W 2023 r. stanowiła ona 69,2% przychodów z podstawowej działalności operacyjnej analizowanych uczelni. Udział ten jednak powoli maleje. Trzy lata wcześniej wynosił jeszcze 72,2%. Uniwersytety bardzo różnią się rozmiarami prowadzonej działalności, nie dziwi zatem, że wyraźnie różnią się też wysokością otrzymywanej subwencji. Podczas gdy dwa największe z nich z tego źródła otrzymały po około miliard złotych, to najmniejszy nieco mniej niż 50, a kolejny mniej niż 90 milionów złotych. Uczelnie mniej różnią się pod względem wartości subwencji przypadającej na jednego studenta i doktoranta stacjonarnego. Wskaźnik ten waha się między 18,3 a 35,1 tys. zł, przy czym w większości przypadków są to wielkości bliskie średniej, która wynosi 28,3 tys. zł. Jeszcze mniej różnią się wskaźniki subwencji przypadającej na jednego pracownika lub nauczyciela akademickiego. Pierwszy z tych wskaźników zawiera się między 110,1 a 140,8 tys. zł przy średniej 130,4 tys. zł, a drugi między 186,6 a 269,1 tys. zł przy średniej 236,9 tys. zł.

Drugim pod względem wielkości źródłem przychodów są pozasubwencyjne przychody z działalności badawczej. Jak wiadomo od roku 2019 wcześniejsze dwa oddzielne strumienie finansowania kształcenia i badań zostały zastąpione jedną subwencją. Jednak poza subwen-

cją uczelnie finansują działalność badawczą również ze środków pozyskiwanych w drodze konkursów. Środki te w 2023 r. stanowiły 14,0% uniwersyteckich przychodów. Udział ten systematycznie wzrasta, bo cztery lata wcześniej wynosił 10,3%. Uczelnie bardzo różnią się efektywnością pozyskiwania środków na badania. Pozasubwencyjne przychody z działalności badawczej przypadające na jednego nauczyciela akademickiego w skrajnych przypadkach mają się do siebie jak 1:70. Głównym źródłem tych środków jest NCN – 35,8%, a w dalszej kolejności: współpraca z zagranicą – 28,1% i Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego – 19,1% (Wykres 1). Zwraca uwagę niewielki udział NCBR – 7,8%, który jest niższy niż udział usług badawczych i rozwojowych wykonywanych na rzecz podmiotów otoczenia społeczno-gospodarczego, które przynoszą uniwersytetom 9,2% przychodów zewnętrznych.

Opłaty za świadczone usługi edukacyjne stanowią kolejne źródło przychodów. W w 2023 r. stanowiły one 5,7% przychodów 21 publicznych uniwersytetów klasycznych, a jeszcze dwa lata wcześniej wskaźnik ten wynosił 6,5%. O spadku tego udziału decyduje malejąca liczba studentów i słuchaczy korzystających z odpłatnych form kształcenia. Liczba studentów i doktorantów studiów niestacjonarnych oraz uczestników studiów podyplomowych w ciągu czterech analizowanych lat zmalała z 85,2 do 75,7 tys. osób. Utraty przychodów z tego tytułu nie rekompensuje wynikający ze wzrostu kosztów wzrost opłat ponoszonych przez studentów i słuchaczy. Średnia opłata za studia niestacjonarne wzrosła w tym samym czasie o 21,5%. Udział studiów niestacjonarnych w całości przychodów z usług edukacyjnych w ostatnich latach utrzymuje się na poziomie 54-57%, przy czym uniwersytety bardzo różnią się pod tym względem. W 2023 r. udział ten wahał się od 23,4 do 94,6%.

O ile przychody z podstawowej działalności operacyjnej w analizowanym czterolecu wzrosły o 23,7%, to w tym samym okresie



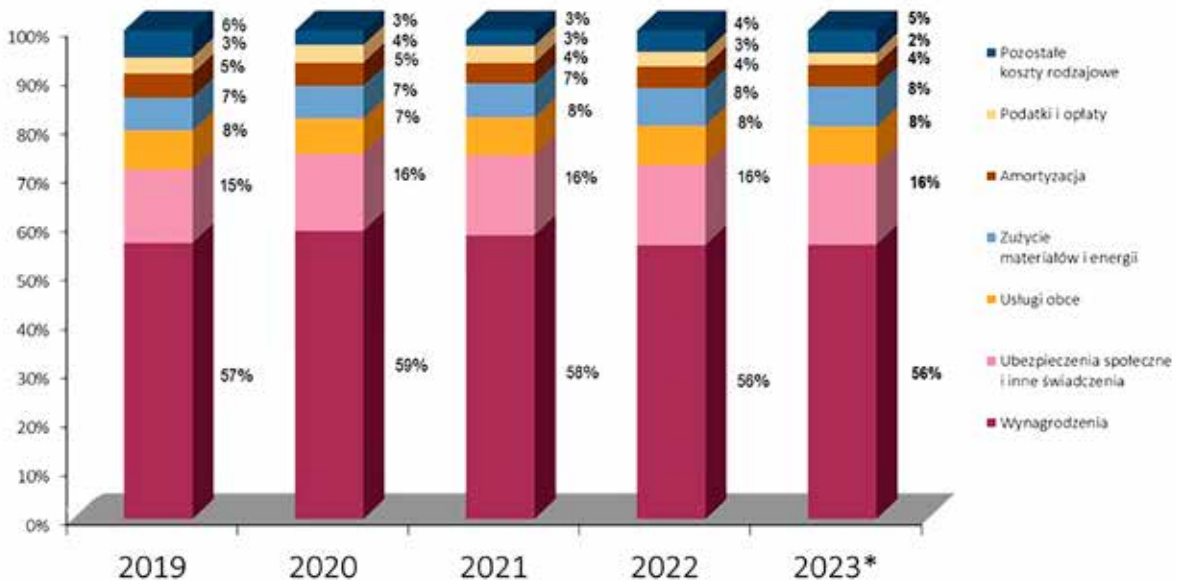
Wykres 1 – Struktura pozasubwencyjnych przychodów z działalności badawczej

koszty wzrosły o 33,1%. Najbardziej wzrosły koszty energii, bo aż o 82,6%. Wzrost kosztów materiałów wyniósł 36,3%, wynagrodzeń z pochodnymi 35,0%, a usług obcych – 30,8%. Zdecydowanie największą pozycją w strukturze rodzajowej kosztów są wynagrodzenia, które wraz ze składkami na ubezpieczenia społeczne i innymi świadczeniami w 2023 r. stanowiły 72,6% ogółu kosztów (Wykres 2). Na skutek bardzo dynamicznego w ostatnich latach wzrostu innych rodzajów kosztów, a zwłaszcza energii i materiałów, udział wynagrodzeń w strukturze kosztów w ostatnich trzech latach obniżył się o 2,2 punktu procentowego. Uniwersytety różnią się dość znacznie zarówno poziomem kosztów przypadających na jednego pracownika lub jednego studenta, jak również strukturą kosztów. Koszty rodzajowe bez wynagrodzeń przypadające na jednego pracownika w 2023 r. mieściły się między 25,7 a 98,8 tys. zł/rok przy średniej 53,1 tys. zł/rok, natomiast odniesione do liczby studentów i doktorantów studiujących stacjonarnie i niestacjonarnie wahały się między 20,1 a 51,6 tys. zł/rok przy średniej 34,2 tys. zł/rok. Udział wynagrodzeń wraz z pochodnymi

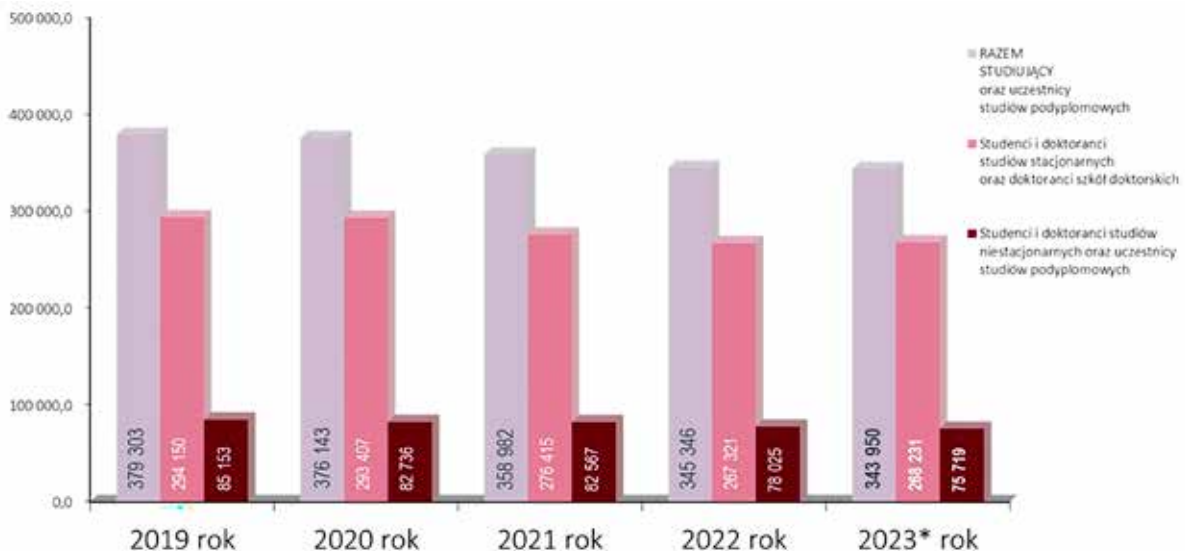
w kosztach ogółem waha się od 62,4 do 82,7%, a udział amortyzacji od 0,7 do 7,1%.

Maleje liczba studentów (Wyres 3). W analizowanym czteroleciu w uniwersytetach ubyto 20,6 tys. studentów stacjonarnych i 6,2 tys. studentów niestacjonarnych. Od 2019 r. maleje też liczba uczestników wygasających studiów doktorskich. Ich miejsce zajmują doktoranci w szkołach doktorskich. Łączna liczba doktorantów w obu tych formach kształcenia w roku 2023 była o ponad 1/3 mniejsza niż w roku 2019. Spada też liczba słuchaczy na studiach podyplomowych. W analizowanych czterech latach obniżyła się ona o prawie 2 tysiące, tj. o 12,4%. Oczywiście, uniwersytety różnią się dynamiką, a w niektórych przypadkach też kierunkiem tych zmian. Cztery z dwudziestu jeden uniwersytetów w ogóle nie zanotowały w tym czasie spadku liczby studentów, a nawet zdołały ją nieco zwiększyć. Wbrew temu co można by sądzić, wcale nie są to uczelnie uważane za najbardziej prestiżowe i w największych miastach.

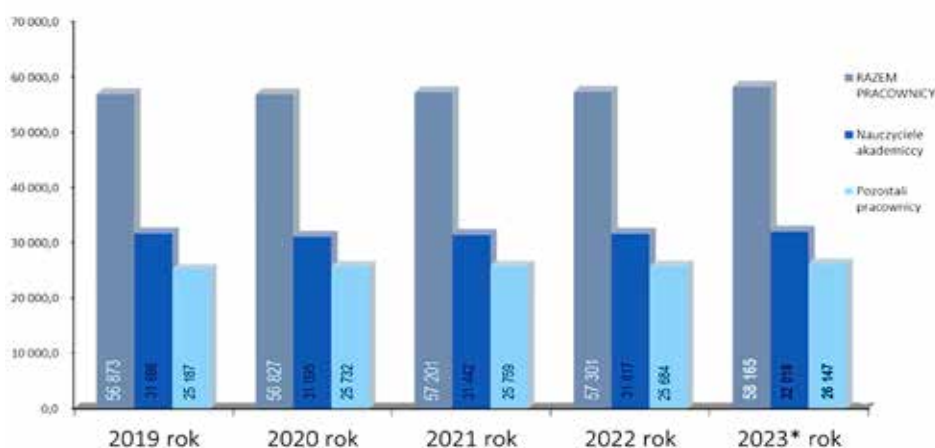
W kontekście informacji o malejącej liczbie osób kształcących się dyskusje może budzić fakt co prawda niewielkiego, ale jednak wzro-



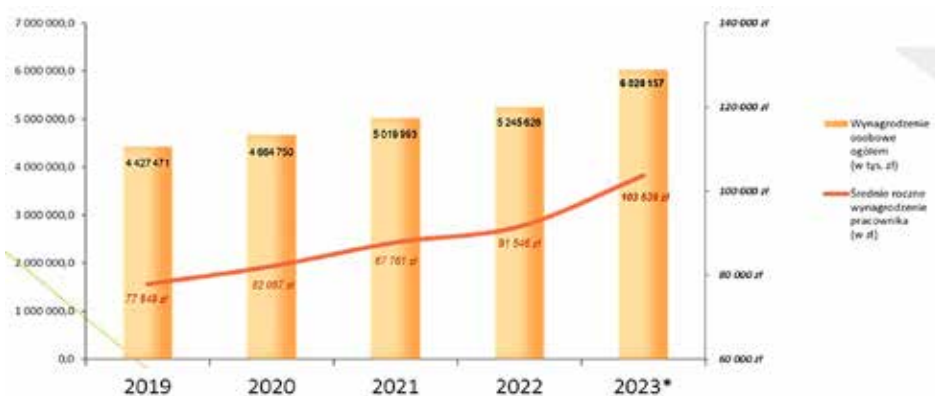
Wykres 2 – Struktura kosztów rodzajowych



Wykres 3 - Liczba studiujących oraz uczestników studiów podyplomowych



Wykres 4 - Liczba pracowników (w etatach)



Wykres 5 - Wynagrodzenia osobowe

stu zatrudnienia (Wykres 4). Dokonuje się on w większym stopniu w grupie pracowników niebędących nauczycielami akademickimi. W latach 2019–2023 zatrudnienie wzrosło tu o 3,8%, podczas gdy wśród nauczycieli akademickich wzrost ten wyniósł 1,0%. Udział kadry pozanauczycielskiej w ogólnym zatrudnieniu w poszczególnych uniwersytetach waha się od 33 do 50%, przy średniej 45%. Rośnie udział najwyżej kwalifikowanych nauczycieli w strukturze zatrudnienia tej grupy pracowników. W analizowanym czteroleciu udział profesorów wzrósł z 9,5 do 10,9%, a profesorów uczelni z 18,1 do 23,0%. Przy prawie niezmiennym udziale adiunktów wzrost ten odbył się kosztem spadku udziału asystentów i pozostałych nauczycieli. Uniwersytety wykazują też znaczne zróżnicowanie pod względem struktury nauczycieli akademickich. Na przykład udział profesorów wynosi od 6,8 do 12,7%. Zarysowane tu, a dokonujące się od dłuższego już czasu zmiany w liczbie studentów i pracowników sprawiły, że czynnik występujący w składniku studenckim algorytmu podziału subwencji oznaczający liczbę studentów i doktorantów przypadających na jednego nauczyciela akademickiego przestał mieć praktyczne znaczenie. Uczelnie badawcze tracą na subwencji kiedy ten czynnik wynosi więcej niż 11,00, a pozostałe uczelnie akademickie kiedy przekroczy on 13,00. W 2023 r. jeden uniwersytet w niewielkim stopniu przekraczał te wartości referencyjne, a średnia wartość tego wskaźnika wynosiła 10,08.

W analizowanym okresie środki przeznaczone na wynagrodzenia osobowe w uniwersytetach klasycznych wzrosły o 36,1%, co pozwoliło na wzrost średniego wynagrodzenia pracownika o 33,1% (Wykres 5). Trzeba jednak zauważyć, że w latach 2021–2023, co prawda wzrost przeciętnego wynagrodzenia w uniwersytetach wyniósł 18,1%, jednak w tym czasie ceny towarów i usług wg GUS wzrosły o 27,4%.

Mamy zatem do czynienia ze spadkiem płac realnych. Również pod względem wynagrodzeń uniwersytety dość istotnie różnią się między sobą. Średnie roczne wynagrodzenie w 2023 r. wahało się między 85,8 a 117,7 tys. zł. Przy ocenie tego zróżnicowania należy jednak zachować ostrożność, ponieważ wynika ono też ze struktury zatrudnienia. Uniwersytety m.in. w różnym zakresie wykorzystują outsourcing, co sprawia, że część prac – najczęściej sprzątnięcia i dozoru – wykonują pracownicy zewnętrznych podmiotów.

Uniwersytety prowadzą działalność inwestycyjną, której wartość nominalna od 2019 r. rosta w tempie zbliżonym do inflacji, a więc realnie pozostawała na podobnym poziomie. Najbardziej syntetycznym miernikiem sytuacji finansowej danego podmiotu, w tym uniwersytetu, jest jego wynik finansowy. W 2023 r.

21 klasycznych uniwersytetów razem wziętych osiągnęło zysk, który wyniósł 57,4 mln zł. Jest to najgorszy wynik od dziesięciu lat. Od 2019 r. zysk uniwersytetów, który wtedy wyniósł 586,7 mln zł, systematycznie maleje. W 2019 r. wszystkie uniwersytety osiągnęły dodatni wynik finansowy. W kolejnych trzech latach po trzy uniwersytety notowały stratę. W 2023 r. uniwersytetów w takiej sytuacji było dwukrotnie więcej. W przypadku jednego z nich strata wystąpiła czwarty rok z rzędu. Jeśli pominąć 3 uczelnie z najlepszym wynikiem, to na pozostałe 12 z dodatnim wynikiem przypada 39,6 mln zł zysku, czyli średnio po 3,3 mln zł na uczelnię. Znacznie gorzej przedstawia się sytuacja, jeśli weźmiemy pod uwagę wynik finansowy tylko z podstawowej działalności operacyjnej. Przy zastosowaniu tego miernika tylko 3 uniwersytety mogą pochwalić się dodatnim wynikiem. Zatem uczelnie ratują swoją sytuację finansową osiąganymi pozostałymi przychodami oraz przychodami finansowymi. Jednym z „pozostałych przychodów” są środki ze sprzedaży majątku. Jeśli od wyniku odjąć przychody ze sprzedaży majątku, to okaże się, że już nie 6, lecz 9 uniwersytetów w 2023 r. zanotowało stratę, a przychody z tej sprzedaży przewyższają osiągnięty sumaryczny wynik. Znaczy to, że gdyby nie sprzedaż majątku, to 21 uniwersytetów razem wziętych wykazałoby stratę wynoszącą 22,7 mln zł.

Przed rokiem w artykule na ten sam temat przedstawiałem rosnące trudności i zagrożenia. Kończyłem go zdaniem: „Wszystko to stawia przed władzami uniwersytetów potężne wyzwanie”. Po roku okazuje się, że rozmiary tego wyzwania nadal rosną.

Autor dziękuje Paniom z Działu Kontrolingu Uniwersytetu Gdańskiego za wykonane obliczenia i techniczne prace niezbędne do wydania raportu oraz prof. dr. hab. Mirostawowi Szrederowi, który te prace nadzorował.

Dysonans

Prof. dr hab. Anna Zielińska, przewodnicząca Rady Naukowej Instytutu Sławistyki PAN, dyrektor placówki w latach 2015–2023, a wcześniej od 2003 r. zastępca dyrektora ds. naukowych, przedstawia dysonans wyników naukowych i poziomu finansowania, na przykładzie swojego instytutu.

Instytut Sławistyki PAN istnieje od 1954 roku. W tym roku obchodzi jubileusz 70-lecia. Jest to rok radosny, w którym świętujemy sukcesy naukowe, ale też rok finansowo bardzo trudny. Instytut w ciągu ostatnich lat osiągnął szczyty rozwoju naukowego. Jest nowoczesnym, rozpoznawalnym w świecie naukowym interdyscyplinarnym centrum badań sławistycznych. Posiada kategorię A+ w dyscyplinie nauki o kulturze i religii oraz A w dyscyplinie językoznawstwo. Instytucji, które otrzymały A+, jest w Polsce bardzo mało, to ok. 6% wszystkich ocenianych podmiotów dyscyplin. Liczyliśmy, że oprócz splendoru, gratulacji, dyplomów Instytut zostanie przez władze państwowe zauważony i wzmocniony finansowo. Tak się jednak nie stało. Na podstawie z jednej strony analizy aktywności Instytutu w pozyskiwaniu grantów, a z drugiej analizy subwencji otrzymywanej z odpowiedzialnego za naukę ministerstwa pokażę, że obecny system finansowania jednostek naukowych nie wspiera najlepszych.

Rozwój i wielkie sukcesy

W dyskusjach poprzedzających wprowadzenie ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, a także o projekcie Uniwersytetu PAN wiele osób ze świata nauki i polityki przekonywało, że instytuty PAN stracą prestiż, a naukowcy w nich zatrudnieni odejdą na uniwersytety, które zyskają status uczelni badawczych. W Instytucie Sławistyki PAN tak się nie stało, a wręcz przeciwnie. W roku 2015, gdy objęłam stanowisko dyrektora, w Instytucie było łącznie 66,6 etatu, w roku 2019 – 80, a w roku 2023 już 91 etatów. Wzrost zatrudnienia spowodowany był sukcesami w pozyskiwaniu grantów wraz ze środkami na etaty dla młodych naukowców. Studia doktoranckie finansowane przez NCBR w programie POWER przyciągnęły doskonałych doktorantów. Dla młodych humanistów atrakcyjna jest twórcza atmosfera, możliwość rozwoju w różnych kierunkach, ścieranie się koncepcji i idei oraz otwarcie na światową naukę. Humanistyka w Instytucie Sławistyki jest zróżnicowana, uprawiana na wiele sposobów. Skoncentruję się tu tylko na liczbie pozyskiwanych grantów, ponieważ jest to moim zdaniem dobry miernik aktywności i jakości badań w instytucjach naukowych. IS PAN bardzo mocno inwestuje w pozyskiwanie i realizowanie grantów. Powołany w tym celu Zespół Obsługi Badań Naukowych oraz administracja placówki pomagają w przygotowaniu i prowadzeniu projektów. W 2017 roku Instytut uzyskał znak HR Excellence in Research. W czerwcu 2023 eksperci z Komisji Europejskiej potwierdzili, że placówka spełnia wszystkie warunki Europejskiej Karty Naukowca i stwarza doskonałe warunki rozwoju dla pracowników.

Instytut otrzymuje granty z następujących instytucji finansujących badania: Komisja Europejska, NCN, NAWA, MEIN/MNISW (w tym programy: NPRH, Doskonała Nauka II, Nauka dla Społeczeństwa II), Fundacja na rzecz Nauki Polskiej, The Central Project Management Agency (instytucja unijna, która finansuje pobyty naukowców z Białorusi w programie EU4Belarus).

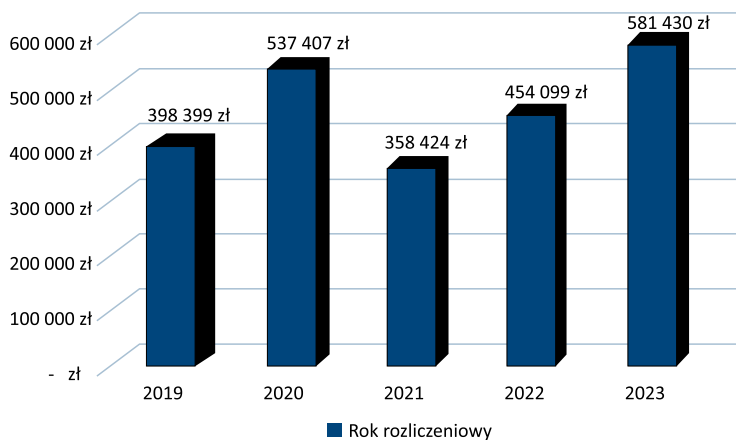
Ogromnym sukcesem było uzyskanie w roku 2022 ERC Starting Grant „Recycling the German Ghosts. Resettlement Cultures in Poland, Czechia and Slovakia after 1945 (SPECTRAL RECYCLING)” przez dr Karolinę Ćwiek-Rogalską, laureatkę Nagrody Naukowej Polityki (2022) oraz Nagrody NCN (2023). Instytut stworzył infrastrukturę, warunki i atmosferę do złożenia wniosku i realizacji projektu. Inne składane przez pracowników instytutu wnioski do Komisji Europejskiej uży-

wały pozytywne recenzje na drugim etapie oceny, co oznacza, że mamy potencjał do otrzymywania następnych grantów ERC.

Dużą rolę w pozyskaniu i realizacji kluczowych projektów z zakresu SI (ang. AI), PJN (ang. NLP) i GMJ (ang. LLM) odgrywa zespół prof. Romana Roszki zajmujący się semantyką i lingwistyką korpusową. Warto w tym miejscu nadmienić, że Instytut Sławistyki PAN jest współzałożycielem polskiej i europejskiej infrastruktury CLARIN-PL/CLARIN ERIC oraz polskiej DARIAH-PL, konsorcjów CLARIN-PL-Biz i PLLuM. Jest to wynik konsekwentnie prowadzonej polityki wspierania badań z pogranicza dziedzin i dyscyplin humanistycznych i ścisłych. Nieprzerwanie od 2013 roku Instytut Sławistyki PAN, jako współzałożyciel i członek konsorcjum CLARIN-PL, uzyskuje ministerialne dofinansowanie wkładu własnego do europejskiej infrastruktury badawczej „CLARIN ERIC – European Research Infrastructure Consortium: Common Language Resources and Technology Infrastructure – Wspólne Zasoby Językowe i Infrastruktura Technologiczna” (lider Politechnika Wrocławska). Zespół prof. Roszki w okresie 2020–2023 realizował w ramach konsorcjum CLARIN-PL-Biz, złożonego z pięciu wiodących polskich instytucji naukowych i kilkudziesięciu firm, projekt CLARIN-PL-Biz: „Polska część infrastruktury naukowej CLARIN ERIC – Wspólne zasoby językowe i infrastruktura technologiczna”, finansowany ze środków Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014–2020. To drugi projekt realizowany przez ten zespół w powiązaniu z biznesem. Pierwszym był TestCV.

W styczniu 2024 r. Instytut Sławistyki PAN przystąpił do realizacji ważnego dla polskiej gospodarki projektu rządowego „Odpowiedzialny rozwój otwartego dużego modelu językowego PLLuM (Polish Large Language Universal Model); KPRM 1/WI/DBII/2023” (wspólnie z Instytutem Podstaw Informatyki PAN, Ośrodkiem Przetwarzania Informacji – PIB, Naukową i Akademicką Siecią Komputerową – PIB, Politechniką Wrocławską (lider), Uniwersytetem Łódzkim). W tym projekcie powstaje pierwszy odpowiedzialny transparentny duży polski generatywny model językowy oraz tzw. asystent petenta, który znajdzie zastosowanie w administracji państwowej (PLLuM – Polish Large Language Model). Również w roku bieżącym Instytut rozpoczął w konsorcjum DARIAH-PL realizację projektu ze środków unijnych w przyjętym przez Radę Ministrów Krajowym Programie Odbudowy: „DARIAH.Hub – Cyfrowa infrastruktura badawcza dla humanistyki i nauk o sztuce DARIAH-PL”. Zakończenie działań zaplanowano na koniec 2025 roku. Liderem konsorcjum jest Instytut Podstaw Informatyki PAN, a członkami, obok IS PAN: Instytut Chemii Bioorganicznej PAN, Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe, Instytut Badań Literackich PAN, Instytut Języka Polskiego PAN, Instytut Historii PAN, Instytut Sztuki PAN, Politechnika Poznańska, Uniwersytet Warszawski, Politechnika Wrocławska, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej i Uniwersytet Wrocłowski. Zadaniem Instytutu Sławistyki PAN jest utworzenie wielojęzycznej skorelowanej Platformy Dziedzictwa Narodowego, czyli bazy tekstów naukowych, popularno-naukowych, dziennikarskich i innych opublikowanych w językach polskim, białoruskim, litewskim, rosyjskim i ukraińskim w Republice Litewskiej, Republice Białorusi i Ukrainie, których tematyka jest ściśle związana z polskim dziedzictwem kulturowym Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Wiele grantów NCN realizujemy wspólnie z jednostkami zagranicznymi, m.in. polsko-niemiecki projekt BEETHOVEN finansowany przez



Ryc. 1. Koszty pośrednie ze wszystkich grantów.

NCN i DFG, a także trzy granty współfinansowane przez Komisję Europejską i NCN w programie Marie Skłodowska-Curie COFUND (Polonez bis), grant NCN współfinansowany ze środków norweskich (Pols), Sonata bis i inne. Dzięki grantom Instytut finansuje czasowe zatrudnienia badaczy na dobrych warunkach, a także ma środki na badania, konferencje i publikacje.

O rozwoju naukowym Instytutu Sławistyki PAN świadczą dane o realizowanych grantach. W latach 2022-2024 najtrudniejszych dla pozyskiwania grantów, zwłaszcza NCN, wykonaliśmy skok do przodu. W roku 2019 realizowane były 34 granty (w tym 12 NCN); w roku 2020 31 grantów (w tym 11 NCN); w roku 2021 30 grantów (w tym 18 NCN); w roku 2022 37 grantów (18 NCN); w roku 2023 48 grantów (23 NCN); w roku 2024 (stan aktualny) 44 granty (21 NCN).

Instytut Sławistyki PAN jest wydawcą ośmiu czasopism wyłącznie w wersji elektronicznej. Periodyki są publikowane w otwartym dostępie w modelu diamentowym, na licencji Creative Commons BY 3.0 PL (od 2023 na licencji CC BY 4.0) na Platformie czasopism Instytutu Sławistyki PAN (ISS PAS Journals): <https://ispan.waw.pl/journals>. Od 2019 r. wszystkie czasopisma notowane są w bazach: CEEOL (Central and Eastern European Online Library), CEJSH (Central European Journal of Social Sciences and Humanities), DOAJ (Directory of Open Access Journals), EBSCO, ERIH Plus, GOOGLE SCHOLAR, ProQuest, Simi-

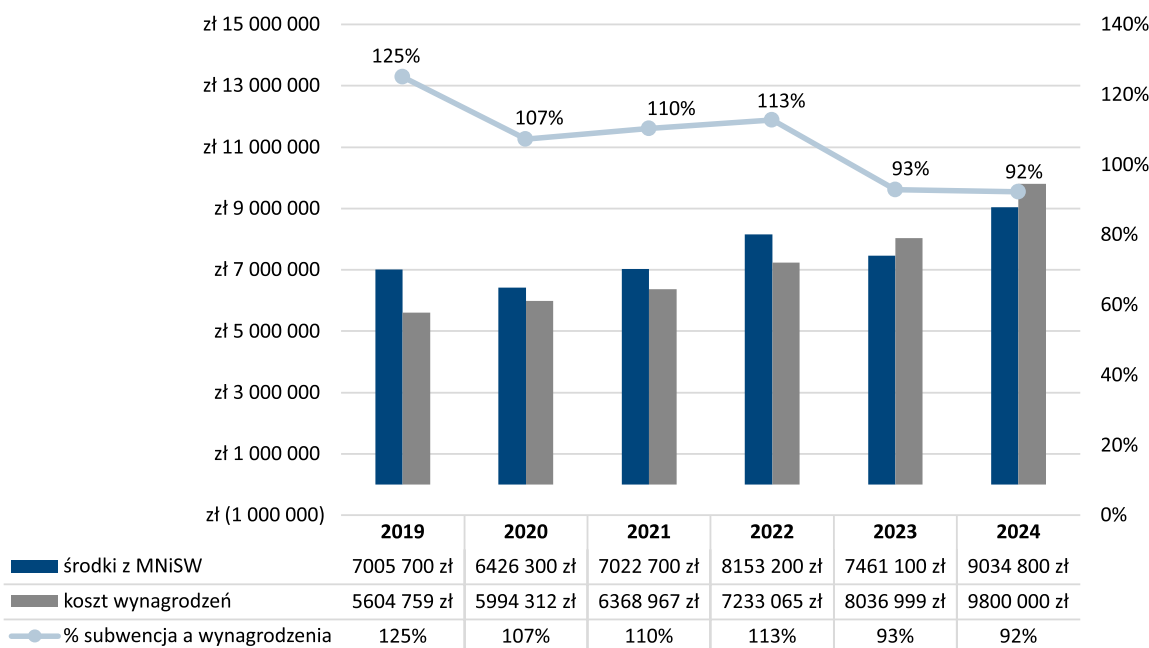
larity Check, WorldCat (The World's Largest Library Catalog) i w Repozytorium Biblioteki Narodowej. Od 2020 roku są też zamieszczane w bazie „Internet Archive”. Sześć czasopism jest indeksowanych w bazie Scopus. Najwyżej notowane są „Cognitive Studies” | „Etudes cognitives”, będące w pierwszym kwartyle najlepszych czasopism w swojej dziedzinie (Scopus CiteScore 2023: 1,1; Clarivate IF: 0,6). Instytut był prekursorem wydawania czasopism naukowych w wolnym dostępie na platformie elektronicznej, jest też propagatorem otwartej nauki i otwartych danych. Prowadzimy specjalistyczną Bibliotekę im. Zdzisława Stiebera, która znajduje się w kampusie głównym UW.

Sukcesy te nie byłyby możliwe, gdyby nie wewnętrzne reformy dokonywane w instytucie. Po wprowadzeniu w Polsce systemu grantowego instytucji PAN zmodernizowały się i przystosowały do funkcjonowania w warunkach konkurencji o środki na badania. W dyskusjach o reformie PAN i nowej ustawie należy uwzględnić, że one są już zreformowane. Jak widać na przykładzie Instytutu Sławistyki PAN, aktualna Ustawa o PAN nie stanowi bariery rozwoju. Jest nią natomiast niestabilne i niewspierające najlepszych jednostek naukowych finansowanie. Pragnę tu mocno pokreślić, że finansowanie instytucji PAN powinno odbywać się, tak jak obecnie, bezpośrednio przez MNiSW. Należy jednak przeznaczyć na instytucje naukowe PAN więcej pieniędzy i wprowadzić transparentne mechanizmy projakościowe.

Nieadekwatne do sukcesów finansowanie

Mimo pozyskiwania coraz większej liczby grantów, nie zwiększały się łączne koszty pośrednie, jakimi dysponował Instytut. Przyczyną są niskie nakłady na granty humanistyczne oraz znaczne ograniczenie środków na NCN. Tę finansową stagnację ilustruje wykres 1. Pomysł, by wysokość subwencji związać z wartością pozyskanych grantów są prostą drogą do likwidacji nauk humanistycznych.

Jednak to nie granty powinny być podstawowym źródłem finansowania placówki naukowej, lecz subwencja na utrzymanie potencjału badawczego przyznawana co roku przez odpowiadające za naukę



Ryc. 2. Finansowanie z subwencji ministerialnej w zestawieniu z kosztem wynagrodzeń.

ministerstwo. Choć w Polsce miała miejsce pandemia, inflacja, wprowadzono ustawowe podwyżki, nastąpił wzrost kosztów energii i innych kosztów bieżących, to subwencja, czyli główne źródło finansowania, nie wzrasta proporcjonalnie do rosnących kosztów. Sytuację niewspółmiernego do kosztów finansowania ilustruje wykres 2.

Dane w wykresie 2. uwzględniają subwencję roczną na utrzymanie potencjału badawczego oraz dodatkowe środki przyznawane na realizację ustawowych podwyżek dla pracowników naukowych, a także przyznawane jednorazowo zwiększenia subwencji (tzw. dorzutki), czyli wszystkie środki, jakie w danym roku instytucja otrzymała z ministerstwa. Wykres uwzględnia tylko koszty wynagrodzeń finansowane z subwencji (pomija wynagrodzenia finansowane z grantów). Przebieg linii szarej ukazuje stosunek wielkości subwencji do kosztów wynagrodzeń wyrażony w procentach. Subwencja w stosunku do kosztów wynagrodzenia znacznie spadła od roku 2019. W dwóch ostatnich latach koszty wynagrodzeń są wyższe niż subwencja, co jest alarmujące. Są to tylko koszty wynagrodzeń, bez uwzględnienia kosztów bieżących na utrzymanie lokali, wydawanie prac naukowych, już nie wspominając o luksusie, jakim są badania, delegacje na konferencje i inne.

Z analizy tabeli 1. płyną wnioski:

W 2022 roku, gdy nastąpił wzrost kategorii naukowej Instytutu, subwencja podstawowa wzrosła tylko o 2% w stosunku do roku poprzedniego (kolumna a).

Subwencja podstawowa przyznana w roku 2024 (kolumna a) to suma subwencji i kwoty przyznanej na podwyżki ustawowe dla naukowców (c) z roku 2023.

W 2023 roku instytucja dysponowała mniejszymi środkami niż w roku 2022 o 692 100 zł. Ponieważ w roku 2023 było mniej pieniędzy niż w 2022, musiał ten rok budżetowy zakończyć się stratą (kolumna e). Ponieważ już w 2023 nastąpił niedobór, kwota na podwyżki wynagrodzeń przyznana w 2024 (b) nie może wystarczyć na zamknięcie roku 2024.

Niewystarczającą subwencję ministerstwo kilka razy zwiększało jednorazowymi dorzutkami (kolumna d), które pozwalały zamknąć dany rok budżetowy wynikiem dodatnim. Te kwoty nie były jednak doliczane do podstawy naliczania subwencji na lata kolejne, więc sytuacja niedoboru narastała.

Subwencja nie była rewaloryzowana w stosunku do inflacji.

Kwoty na podwyżki nie uwzględniały niezbędnych dla funkcjonowania instytucji podwyżek dla pracowników nienaukowych (zespół obsługi badań, biblioteka, wydawnictwo, administracja, obsługa prawna, obsługa informatyczna).

Niewielkie z punktu widzenia finansów państwa kwoty mogłyby ustabilizować sytuację instytucji. Instytut nie może jednak funkcjonować od dorzutki do dorzutki.

Sytuacja Instytutu Sławistyki PAN pokazuje niestabilność obecnego systemu przyznawania subwencji, w którym kategoria naukowa nie ma znaczenia. Konkluzje z debaty nad specyfiką działania algorytmu dla instytucji PAN nie są jednoznaczne. Kluczową rolę odgrywa stała przeniesienia, która w połączeniu ze współczynni-

kami kadrowymi oraz kosztowością uprawianych dyscyplin, ma nieporównanie większy wpływ na wynik algorytmu niż kategoria naukowa. Subwencja premiuje zatem niezwiązane z jakością badań naukowych parametry funkcjonowania placówek badawczych. Jednocześnie stała przeniesienia od 2019 r. malała rok do roku, co spowodowało, że coraz mniejsza część subwencji przechodzi bezpośrednio na kolejny rok. W przypadku instytucji humanistycznych i społecznych jest to sytuacja niekorzystna. Wzrost subwencji ogranicza także tzw. tunel, np. w roku 2024 subwencja nie może być wyższa niż 106% roku 2023 (i tak otrzymana w 2024 r. nie była wyższa nawet o te 6%).

Jeżeli ktoś teraz myśli, że wynagrodzenia w instytucji są wysokie, to wyjaśniam, że w grupie naukowców w większości są to minimalne stawki ustawowe. Instytut nie ma możliwości podwyższenia wynagrodzeń naukowcom o 30% i pracownikom administracji o 20%, jak to było zapowiadane przez rządzących. Jeżeli ktoś poradzi, że dyrektor powinien zmniejszyć zatrudnienie, to wyjaśniam, że w instytucji posiadającym kategorię A+ nie da się zwolnić badaczy bez szkody dla jakości uprawianej tam nauki. Poza tym, liczba naukowców jest składową algorytmu. Znaczy to, że po zmniejszeniu zatrudnienia, może zmniejszyć się subwencja w roku następnym. Co prawda od 2020 roku nie było spadków subwencji, ponieważ na szczęście zostały one zablokowane, ale dyrektorzy nigdy nie wiedzieli, czy taka blokada będzie utrzymana w roku następnym. Instytucje humanistyczne i społeczne przegrywają w podziale pieniędzy według algorytmu z instytucjami z innych wydziałów PAN, które mają wysokie parametry wpływające na subwencję. Nie cieszą nas hasła medialne, tj. „190 milionów dla PAN”, ponieważ z tego wspólnego tortu dostajemy okruszki.

Niedofinansowanie najlepszych jednostek naukowych tworzy niekorzystny wizerunek Polski w oczach europejskich agencji grantowych i potencjalnych partnerów w prowadzeniu badań. Instytut, który mimo najwyższej kategorii wykazuje straty finansowe, może stracić wiarygodność jako konsorcjant i jednostka występująca do Komisji Europejskiej o kolejne granty ERC. Ta sytuacja musi być zauważona i naprawiona przez obecnego ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Instytucje PAN mają funkcjonować w obiegu polskiej nauki na takich samych prawach jak inne podmioty naukowe. Ich pracownicy powinni otrzymywać wynagrodzenia takie same jak w innych placówkach naukowych. Nowa ustawa o Polskiej Akademii Nauk byłaby najlepszą do tego sposobnością, ale instytucje PAN i ich pracownicy nie mogą być zakładnikami w sporach o koncepcję reformy Akademii i czekać zbyt długo na nowe regulacje finansowe. Instytut Sławistyki PAN nie jest jedyną placówką PAN, która równocześnie ma ogromne sukcesy naukowe i poważne problemy finansowe. Dramatyczną sytuację Instytutu Psychologii PAN (również z kategorią A+ i dopiero co otrzymanym grantem z Komisji Europejskiej) ujawnił jego dyrektor w liście otwartym. Wkrótce następne instytucje humanistyczno-społeczne ogłoszą problemy finansowe, których nie będzie można dłużej ignorować, jeżeli rządowi RP zależy na nauce i na funduszach unijnych.

	a. subwencja podstawowa	b. zwiększenie z tytułu podwyżki wynagrodzeń	c. subwencja podstawowa wraz z podwyżkami wynagrodzeń (a+b)	d. dorzutki	e. środki z subwencji razem (c+d)
2019 (A)	4 843 600 zł	1 582 700 zł	6 426 300 zł	579 400 zł	7 005 700 zł
2020 (A)	6 426 300 zł	0 zł	6 426 300 zł	0 zł	6 426 300 zł
2021 (A)	6 522 700 zł	0 zł	6 522 700 zł	500 000 zł	7 022 700 zł
2022 (A+)	6 653 200 zł	0 zł	6 653 200 zł	1 500 000 zł	8 153 200 zł
2023 (A+)	6 985 900 zł	475 200 zł	7 461 100 zł	0 zł	7 461 100 zł
2024 (A+)	7 461 100 zł	1 573 700 zł	9 034 800 zł	0 zł	9 034 800 zł

Tabela. 1. Finansowanie Instytutu Sławistyki PAN z ministerstwa z uwzględnieniem subwencji stałej, środków na podwyżki ustawowe i tzw. dorzutek.

Budżet nauki 2025

W 2025 roku budżet szkolnictwa wyższego i nauki zaplanowano na poziomie 42 mld 540 mln zł. To o 3,8% więcej niż w roku 2024, gdy wyniósł on 40 mld 992 mln zł. Zadania w zakresie szkolnictwa wyższego i nauki realizuje kilka resortów. Najbardziej – o 18,7% – wzrósł budżet Ministerstwa Obrony Narodowej, które w 2025 roku dostanie na ten cel 1 mld 430 mln zł, wobec 1 mld 205 mln zł w roku bieżącym. Drugi z kolei wzrost odnotuje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa wyższego – o 8,1%, z 31 mld 392 mln zł do 33 mld 947 mln zł, czyli o 2 mld 555 mln zł. Środki na naukę i szkolnictwo wyższe w budżecie ministra infrastruktury wzrosną o 5,1%, czyli o 18 mln zł (do 370 mln zł), a w budżecie ministra kultury o 4,2%, czyli o 56 mln zł (do 1 mld 399 mln zł). W pozostałych resortach wzrosty będą niższe niż 4% i wyniosą: w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji – 3,4%, do 277 mln zł; w Ministerstwie Zdrowia – 3%, do 3 mld 498 mln zł. O 3,3%, ze 122 do 126 mln zł, wzrosnie też budżet PAN (instytucji). Warto zauważyć, że MNiSW dysponuje znaczącą większością funduszy na szkolnictwo wyższe i naukę. Pozostałe resorty, PAN i inne podmioty będą miały łącznie 7 mld 268 mln zł, zaś resort nauki niemal 34 mld zł, czyli 4,7 razy więcej.

Znacząco mniej niż środków na naukę i szkolnictwo wyższe ma w 2025 r. mieć Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej – tylko 61 mln zł wobec 1 mld 376 mln zł w roku 2024. Wynika to z faktu, iż spod nadzoru tego resortu pod nadzór MNiSW przeszło Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. W budżecie Ministerstwa Sprawiedliwości nakłady na te obszary zmniejszą o ponad połowę – ze 149 mln zł do 72 mln zł; w gruncie rzeczy chodzi o finansowanie Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, która ma zostać przekształcona w Wyższą Szkołę Służby Więziennej – uczelni o znacznie niższym budżecie. Mniejsze niż w 2024 r. są środki w pozostałych podmiotach (zamiast 49 mln zł, 35 mln zł), a także na Działalność B+R, gdzie w 2024 roku jest 1 mld 338 mln zł, a na rok 2025 zaplanowano 1 mld 325 mln zł (większość tych środków trafi do MON).

Jak zauważają w różnych wypowiedziach przedstawiciele MNiSW, budżet resortu na rok 2025 warto rozpatrywać w kontekście jego bezprecedensowego wzrostu w tym roku. W stosunku do roku 2023 wzrósł on z 25 mld 818 mln zł do 31 mld 392 mln zł w tym roku – o 5 mld 574 mln zł, czyli o 21,6%. W tej kwocie subwencja wzrosła z 15 mld 648 mln zł do 17 mld 879 mln zł (o 14,8%; nie ma w niej jeszcze podwyżek płac, a jedynie skutki wzrostu wynagrodzeń w roku 2023), natomiast środki na podwyżki wynagrodzeń z 1 mld 436 mln zł (to były podwyżki o 4,4% oraz 7,8%) do 3 mld 755 mln zł (o 30% dla nauczycieli akademickich i 20% dla pozostałych pracowników – w stosunku do roku 2022, a nie 2023!), a środki na inwestycje z 656 mln zł w 2023 r. do 1 mld 12 mln zł w roku 2024 (o ponad 54%).

W roku 2025 w budżecie MNiSW na subwencję zaplanowano 21 mld 574 mln zł, a zatem o 3 mld 755 mln zł, czyli o 21% więcej niż

w tym roku (są w tym skutki przechodzące podwyżki wynagrodzeń z 2024 r.); na podwyżki płac o 5% – 807 mln zł. Narodowe Centrum Nauki ma na 2025 rok 1 mld 648 mln zł, czyli niemal na poziomie obecnego roku (ale z zapewnieniem ministra nauki, że będzie się starał o więcej); Narodowe Centrum Badań i Rozwoju w 2025 r. ma mieć do dyspozycji 2 mld 313 mln zł.

Podczas wystąpienia na posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Nauki na Uniwersytecie Gdańskim, Jarosław Oliwa, dyrektor Departamentu Budżetu i Finansów MNiSW, z którego prezentacji zacytowałem dane na temat finansów szkolnictwa wyższego i nauki, zaproponował, aby projekt budżetu na rok 2025 skonfrontować z budżetem z roku 2023. Budżet na rok 2025 ma być wyższy od tego w roku 2023 o ponad 8 mld zł, czyli o 31,5%. Subwencja będzie wyższa o niemal 6 mld zł, czyli 38%. Pokazał też wzrost nakładów na podwyżki płac w latach 2021-2025 w relacji do inflacji. O ile skumulowana inflacja wyniosła w tym okresie 45,8%, to liczone w ten sam sposób środki budżetowe na podwyżki wynagrodzeń w szkolnictwie wyższym i nauce wzrosły o 53,2%, tj., 7,4% powyżej inflacji. Problem w tym, że w tym samym okresie płace w gospodarce rosły szybciej. Nauka nadąża zatem za inflacją, ale już nie za gospodarką, co może być jedną z przyczyn odchodzenia młodej kadry do przedsiębiorstw lub braku zainteresowania pracą w uczelniach i instytucjach naukowych.

Niezbyt korzystnie wygląda wzrost nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe w relacji do tempa wzrostu nakładów budżetowych na inne dziedziny życia. Średnio wyniósł on ponad 76% dla 31 obszarów – budżet państwa (środki krajowe) wzrósł w tym czasie z 521,8 mld zł do 921,6 mld zł. Tymczasem finansowanie nauki i szkolnictwa wyższego charakteryzowało znacznie niższe tempo wzrostu, na poziomie 45,24% (z 27 mld 311 mln do 39 mld 666 mln). „Liderzy wzrostu” uzyskali nie tylko wzrosty ponad dwukrotne, jak obrona narodowa czy transport i łączność, lub niemal dwukrotne, jak ochrona zdrowia, ale nawet 6-krotne – gospodarka mieszkaniowa, czy ponad 9-krotne – górnictwo i kopalnictwo. Z 31 obszarów finansowanych z budżetu państwa nauka jest na 24 pozycji. Zaprojektowane na rok 2025 nakłady na szkolnictwo wyższe i naukę stanowią 1,07 proc. przewidywanego na ten rok PKB, podczas gdy tegoroczne 1,12 proc. tegorocznego PKB. Z kolei wzrost nakładów zaplanowanych na przyszły rok w stosunku do tegorocznych wynosi 3,8 proc., czyli mniej niż przewidywana tegoroczna inflacja. Może to pokazuje jaką wagę do kształcenia wyższego i badań naukowych przywiązuje państwo?

Od 2019 roku istnieje nowy mechanizm finansowania budżetowego nauki i szkolnictwa wyższego – obligacje skarbu państwa. Wprowadzono je w czasie, gdy koszt obsługi tego rodzaju finan-

Struktura budżetu na naukę i szkolnictwo wyższe 2025 r. - 42 mld 540 mln zł



Slajd z prezentacji Jarosława Oliwy, dyrektora Departamentu Budżetu i Finansów MNiSW

sowania był bardzo niski. Obecnie jest bardzo wysoki. W okresie 2022-2025 nakłady budżetowe na obsługę długu publicznego wzrosły ponad czterokrotnie, z 26 mld zł do ponad 110 mld zł. Mimo że jest to tak kosztowna forma finansowania, minister nauki zwrócił się w lipcu do ministra finansów o rozważenie możliwości uruchomienia dla uczelni obligacji o wartości 1,5 mld zł. Nie ma jeszcze odpowiedzi

na ten wniosek. Dodatkowe środki w wysokości 200 mln zł dla 101 uczelni zostaną skierowane na zadania z obszaru cyberbezpieczeństwa, a kolejne o jeszcze nieznannej wysokości na wsparcie budowy i remontów akademików.

Piotr Kieraciński

Manifest Otwartej Humanistyki

System ewaluacji powinien uwzględniać i wspierać praktyki otwartej nauki, ocena dorobku musi obejmować różnorodne efekty badań naukowych właściwe humanistyce, a rozwój i umiędzynarodowienie tego obszaru wymaga wzmocnienia krajowej infrastruktury – to tylko niektóre z postulatów ogłoszonego w połowie września Manifestu Otwartej Humanistyki.

Powstał on w wyniku dyskusji prowadzonych na początku czerwca podczas spotkania „Jakiej ewaluacji potrzebuje humanistyka w Polsce?”, zorganizowanego w Instytucie Badań Literackich PAN. Autorzy tekstu przekonują, że otwarta nauka to przyszłość humanistyki i podstawa jej wpływu społecznego. Przy czym należy ją rozumieć jako coś więcej niż tylko otwarty dostęp, który to postulat „został zawłaszczony przez międzynarodowe korporacje, oferujące użytkownikom swych platform zarządzania wiedzą część usług w dziedzinie udostępniania i agregowania danych o publikacjach naukowych za darmo, aby ugruntować oligopol w tym obszarze i utrzymać decydujący wpływ na polityki naukowe, zwłaszcza na ewaluację badań”. Szczytne hasło zniesienia barier ekonomicznych jest tu tylko pozorem.

„Zarówno instytucje naukowe jak i sami naukowcy płacą podwójnie, tzn. ponoszą zarówno koszty udostępniania wyników badań na tych platformach, jak i koszty subskrypcji baz danych¹. W efekcie system ten utrwała korzystne dla korporacji hierarchie prestiżu, w których główną rolę odgrywają treści umieszczone na danej platformie” – czytamy w Manifestie.

O tym, jak intratny może to być biznes, przekonuje choćby jedna wartość: marża zysku największych komercyjnych dostawców wiedzy sięga 40%. Źródłem zysku, w przeciwieństwie do największych gigantów technologicznych, nie są tu reklamodawcy, lecz podatki, z których finansowana jest nauka.

Twórcy Manifestu nawołują zatem, by pójść śladem instytucji nauki, m.in. z Finlandii, Francji, Niemczech, Holandii, Norwegii, Szwecji, Ukrainy i Włoch, a także Kanady i USA, i nie godzić się z dyktatem, który drenuje środki przeznaczone na badania i tłumi komunikację naukową. „Potrzebujemy systemu komunikacji naukowej, który zapewni nieskrepowany barierami ekonomicznymi czy prestiżowymi obieg myśli i odkryć naukowych, tak wewnątrz środowiska naukowego, jak i pomiędzy nauką i społeczeństwem, przy zachowaniu akademickich mechanizmów kontroli jakości. Tylko taki system pozwala społeczeństwu skutecznie reagować na kryzysy, lepiej ważyć opinie i przeciwdziałać szerzeniu się szkodliwych społecznie mitów” – piszą.

Dodają, że swobodny przepływ myśli i idei leży u źródeł humanistyki i powinien stanowić domyślny sposób dzielenia się wiedzą. „Wielojęzyczność i biblioróżnorodność pozwalają docierać humanistyce do różnych odbiorców i wspólnot, również lokalnych i rozproszonych, w formie, jaka jest im najbliższa. Jednocześnie otwartość jest narzędziem umiędzynarodowienia, ułatwiającym zaistnienie polskich tekstów i danych humanistycznych w europejskich oraz światowych systemach wiedzy wykraczających poza ramy narzędzi komercyjnych dostawców” – czytamy. I dalej: „Dzięki rozwiniętej technologii automatycznych tłumaczeń humaniści nie muszą porzucać swojego aparatu

badawczego, swoistej problematyki czy struktur wytwarzania wiedzy, by dostosować je do wymogów anglojęzycznej komunikacji naukowej. Wybór języka komunikacji powinien zależeć od tematów badawczych i docelowych odbiorców, ponieważ humanistyka może odgrywać istotną rolę zarówno w obiegu międzynarodowym, jak i lokalnym”.

Sformułowano także cztery postulaty, których realizacja ma urzeczywistnić projekt otwartej humanistyki w Polsce. Po pierwsze, system ewaluacji powinien uwzględniać i wspierać praktyki otwartej nauki, takie jak publikowanie w otwartym dostępie, udostępnianie danych badawczych zgodnie z zasadami FAIR, tworzenie otwartych podręczników i materiałów dydaktycznych czy angażowanie się w projekty nauki obywatelskiej. Póki co, ocena jakości działalności naukowej zupełnie pomija działania na rzecz otwartości, nie oferując zachęt do ich podejmowania. Tracą na tym zarówno nauka, jak i społeczeństwo – przekonują twórcy Manifestu.

Ich zdaniem ocena dorobku musi uwzględniać różnorodne efekty badań naukowych właściwe humanistyce. Za konieczne uważają przyjęcie jasnych kryteriów oceny dla form komunikacji naukowej innych niż artykuł czy monografia, uwzględniających ich wartość naukową, innowacyjność i wpływ społeczny. To m.in. bibliografie, leksykony, edycje, atlasy... „Cyfrowe narzędzia stworzyły nowe możliwości komunikacyjne – od prowadzenia otwartych dyskusji i ogólnodostępnych notatników badawczych online, przez współtworzenie internetowych słowników, encyklopedii czy edycji cyfrowych, po publikowanie cyfrowych zbiorów danych i wizualizacje wyników badań. Te wielorakie, praco- i czasochłonne inicjatywy są istotną częścią działalności naukowej, niezbędną dla rozwoju danej dziedziny, a zatem powinny być uwzględnione w ocenie dorobku naukowego”.

W Manifestie zawarto także postulat stworzenia systemowej polityki otwartego dostępu do publikacji, która obejmie nie tylko „miękkie” zalecenia dla wydawców i agencji finansujących badania, ale także szczegółowy program finansowania transformacji cyfrowej opartej na zasadach otwartej nauki dla wydawnictw naukowych, zwłaszcza tych wydawanych przez jednostki akademickie.

Wreszcie, last but not least, rozwój i umiędzynarodowienie humanistyki wymagają wzmocnienia krajowej infrastruktury otwartej nauki. Do tej pory opierała się ona w głównej mierze na oddolnych inicjatywach. Ale potrzeby w tym obszarze są ogromne i wymagają stałych nakładów. „Infrastruktura wspierana z publicznych środków, bez nastawienia na zysk, i koordynowana przez środowisko naukowe służy uczonym do dzielenia się wiedzą zarówno ze sobą nawzajem, jak i z partnerami społecznymi, takimi jak organizacje pozarządowe i dziennikarze. Na ten solidny fundament składają się zarówno narzędzia informatyczne (bazy danych, oprogramowanie), standardy tworzenia, przechowywania i wymiany zapisu danych i know-how, jak i przede wszystkim odpowiednio wykwalifikowany personel: od obsługi IT po dobrze przeszkolonych pracowników wydawnictw i bibliotek” – napisano w Manifestie.

Można się z nim zapoznać i podpisać na stronie www.operas.pl.

MK

Mistrzowie, urzędnicy i przedsiębiorcy

Profesor Andrzej Krzysztof Koźmiński, wybitny ekonomista i socjolog, twórca, wieloletni rektor i honorowy prezydent Akademii Leona Koźmińskiego, pisze o znaczeniu szkół naukowych i ich istnieniu w obecnie promowanych „kulturach” naukowych.

Należę do odchodzącego już, bodaj ostatniego, pokolenia pracowników nauki, którzy kolejne stopnie naukowe i pozycje w zawodzie zdobywali w naukowych szkołach.

Szkoły naukowe to były środowiska funkcjonujące w ramach katedry czy instytutu, niekiedy wydziału uczelni, obejmujące liczne grono współpracowników, zwolenników skupionych wokół wyraźnie określonej, wiodącej koncepcji czy teorii wyróżniającej określony zespół naukowy od innych. Osobą wiodącą, jak byśmy dziś powiedzieli, przywódcą i zarazem symbolem szkoły, był twórca owej oryginalnej koncepcji – mistrz; i niekiedy ktoś z jego najbliższych współpracowników. Przykładem może być chociażby szkoła prakseologiczna nauki organizacji i zarządzania z profesorami Tadeuszem Kotarbińskim i Janem Zieleniewskim jako mistrzami czy szkoła rachunku bezpośredniego w ekonomii, zwana od nazwiska mistrza, profesora Aleksego Wakara, „szkołą wakarowską”.

Było to zastosowanie na polskim gruncie wzorców europejskich, takich jak np. francuska szkoła Durkheima, określana mianem socjologizmu, czy niemiecki idealizm filozoficzny szkoły marburskiej Cohena i Natorpa. Posługuję się przykładami ze znanego mi obszaru nauk społecznych i ekonomicznych, ale ten sam wzorzec można znaleźć w naukach ścisłych, np. szkoła matematyczna profesora Hugo Steinhausa ze Lwowa i Wrocławia czy Instytut Radiologii par małżonków Curie.

Nauka ponad kontrowersjami

Mistrzowie tworzyli swoje szkoły na podstawie własnych rozpoznawalnych w środowisku osiągnięć i wynikającego stąd autorytetu osobistego i naukowego. Ten drugi miał zasadnicze znaczenie. Nikt poważny nie kwestionuje dziś dorobku Martina Heideggera z powodu legitymacji NSDAP czy Oskara Langego z powodu jego udziału w elicie PZPR. Wokół mistrzów, którzy na ogół spełniali kryteria ludzi dobrze wychowanych, i którym przyznawano prawo do błędów, z własnej nieprzymuszonej woli gromadzili się uczniowie, nawet pomimo zastrzeżeń do pozamerytorycznych postaw mistrza.

Uczniowie rekrutowali się spośród młodych adeptów nauki pći obojga, na osobiste zaproszenie mistrza, na podstawie obserwacji w okresie studiów. To było wielkie wyróżnienie w środowisku młodych adeptów nauki. Siła marki mistrza poprawiała pozycję ucznia już na początku kariery. A ścieżka tej kariery była długa i wymagająca. Najpierw drobne przyczynki (np. studia przypadków), a potem rozprawa doktorska. Prace te dojrzały w toku debaty w zespole według wskazania mistrza i ostatecznie za jego akceptacją. Nazwisko mistrza było najważniejszą gwarancją jakości prac jego uczniów.

Proces kształtowania bardzo nielicznych, elitarnych populacji uczonych wymagał długiego terminowania u mistrza. Miał on szereg wad, a przede wszystkim nadmierne uzależnienie losów młodych badaczy od subiektywnej oceny, sympatii i antypatii mistrza. Znane są przypadki dyskryminacji, faworytyzmu, nepotyizmu i mobbingu. Wiadomo na przykład, że katedrę po Durkheimie odziedzyczył

jego zięć, wybitny zresztą antropolog, Henri Mauss. Była w tym jednak jakaś „magia”. Mimo najbardziej dramatycznych doświadczeń żydowska antynazistka Hannah Arendt nie wyparła się swego mistrza Martina Heideggera, a na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu w Chicago pokazywano mi na początku lat 70. dwudziestego wieku pieczętowiec zachowany gabinet Oskara Langego. To właśnie w szkołach naukowych, według Roberta Mertona, na ramionach mistrzów, wyrosli przyszli giganci nauki, dzisiejsi badacze. Zaryzykowałbym jednak twierdzenie, że w trzecim pokoleniu uczniów coraz trudniej o takich gigantów.

Interdyscyplinarność

Zaletą świata szkół naukowych była jego różnorodność, odrębności i związane z nimi debaty i spory naukowe dotyczące spraw zasadniczych. Przypomnijmy sobie chociażby okres międzywojenny, kiedy szkoła ekonomii marginalnej ścierała się bezpośrednio z neoklasyczną i keynesowską. Był to okres wielkich debat naukowych o fundamentalnym znaczeniu dla polityki i społeczeństwa, jak chociażby sporu Hayeka i Misesa z Langem i Lernerem o rachunek ekonomiczny w socjalizmie.

Szkoły naukowe toczyły debaty i spory, nie ograniczając ich do opłotków dyscyplin. Tym samym nadawały im trwałą i ponadczasowy wymiar, sięgały do fundamentalnych paradygmatów, takich jak np. racjonalność czy możliwość optymalizacji decyzji. Młodzi adepci i adeptki nauki wyrastali w atmosferze tych wielkich sporów, próbowali w nich swoich sił w przekonaniu, że mogą wniesić do nauki coś naprawdę nowego, zdobywali pierwsze laury, awansowali w wyniku udziału w debacie naukowej.

Szkoły naukowe personalizowały odpowiedzialność za jakość prac naukowych publikowanych i prezentowanych w procesach awansowych, przyznawania nagród itp. Było powszechnie wiadomo, że za tekstami publikowanymi w „Annales Sociologiques” stoi Emil Durkheim, a za tymi, które ukazywały się w „Prakseologii” w pierwszych latach jej istnienia Tadeusz Kotarbiński i/lub Jan Zieleniewski. I tak było w rzeczywistości – oni tę odpowiedzialność rzeczywiście przyjmowali, osobiście dyskutując z autorami.

Główny nurt

W krajach socjalistycznych szkoły naukowe wyteplono, bo rolę mistrzów odgórnie przypisywano klasykom marksizmu i przywódcom partii. Paradoksalnie w krajach liberalnej demokracji skutek był podobny: godne uznania i publikacji stało się tylko to, co mieściło się w „głównym nurcie”, co wynikało z ocen innych uznanych badaczy (peers) i pochodziło od autorów o „uznanych kwalifikacjach”. Niczego nowatorskiego albo chociaż ciekawego nie znajdziemy już w academic journals. Żadni lokalni mistrzowie nie są potrzebni. Urzędnicy, którzy dzielą pieniądze i rozdają zaszczyty, nie znoszą żadnych wyjątkowych osiągnięć i żadnych oryginałów, dziwaków czy indywidualistów, żadnego przekraczania granic dyscypliny, do której jest się „przypisanym”. W takim środowisku badacze sami stają się urzędnikami pracowicie zbierającymi punkty do z góry określonych prze-



rys. ALK

gródek. Oczywiście nikt nie ośmieli się dzisiaj zapytać, czy Vilfredo Pareto był ekonomistą czy socjologiem, a Douglas North ekonomistą czy historykiem, ale setki tysięcy mniej sławnych badaczy zostało na zawsze sztucznie przykutych do określonych dyscyplin i specjalizacji naukowych.

Na szczęście obecne formy organizacji nauki i awansu naukowego budzą coraz więcej zastrzeżeń i dlatego na całym świecie toczy się poważna debata nad nowymi formami organizacji i zasadami oceny prac naukowych.

W opłotkach cytowań

Dziś za decyzją przyjmującą jakiś tekst do druku lub odrzucającą go stoi „sąd kapturowy” anonimowych recenzentów, których tożsamość jest ściśle strzeżoną tajemnicą. W swoich opiniach recenzenci nie tylko proponują decyzje o publikacji lub nie, ale przekazują różnego rodzaju sugestie i rady, których uwzględnienie prowadzi do zatarcia lub nawet zaprzeczenia oryginalnej tezy autora, upodabniając ją do poglądów recenzentów. A to są niestety propozycje nie do odrzucenia. Po tej pierwszej turze recenzji przychodzi bowiem następna, w której sprawdza się, czy tekst został rzeczywiście poprawiony i po kilku latach (nawet 3-5) ukazuje się jakaś karykatura pierwotnie złożonego manuskryptu, za to obrosnięta cytatami i odniesieniami do prac kolegów recenzentów.

Taka publikacja przynosi jednak swoim autorom i ich macierzystym instytucjom poważne korzyści, które gwarantują sukces w tej grze. W najwyższej notowanych czasopismach naukowych acceptance rate wynosi kilka procent, w innych nieco wyżej. Niemal ze stuprocentową pewnością wiadomo jednak, że nie może się tam ukazać żadna oryginalna koncepcja nie akceptowana przez środowisko naukowe w obecnym stanie wiedzy. Na podobnych zasadach ujętych w formalne regulaminy i zasady punktowania awansują młodzi uczeni i uczone, rozdzielane są granty badawcze oraz rozwojowe dla instytucji i zespołów badawczych, dokonuje się „dystrybucja prestiżu” i wybierane są władze instytucji naukowych. Odbyma się to wszystko w oddzielonych od siebie „silosach”, odrębnych rzekomo dyscyplin naukowych, jak np.: ekonomia, socjologia, antropologia, zarządzanie itp. Nowe silosy budowane są na sztucznie wyodrębnianych, coraz węższych działeczkach specjalizacji. Te specjalizacje przeważnie nie mają sensu, ale przynoszą konkretne profity tym, którzy je kontrolują, i to w skali globalnej, bo nauka jest tylko globalna.

Powstał system, który premiuje rozwijanie już uznanych koncepcji i metodologiczną poprawność. Jak każdy system, tak i ten ma swoich pogromców, którzy skutecznie go oszukują, w myśl zasady beat the system. Chodzi o sposoby zapewniania swoistym „spółdzielcom” uprzywilejowanego dostępu do publikacji, prestiżu i pieniędzy. Spółdzielnie wzajemnych cytowań i pochlebnych recenzji zastępują szkoły naukowe. Powstają one i rozwijają się wokół silnych marek wysoko notowanych uczelni, towarzystw naukowych, wydawnictw, konferencji i czasopism, a także wąsko profilowanych, modnych tematów i metod badawczych. Na tym gruncie lęgną się także twory czysto pasożytnicze, jak predatory journals publikujące za pieniądze i sztucznie pompujące cytawalność właśnie za pośrednictwem „spółdzielni”.

Komercjalizacja wiedzy

Dziś trudno wyobrazić sobie renesans szkół naukowych. We współczesnych środowiskach naukowych trudno byłoby znaleźć chętnych do poddania się takim rygorom. Zresztą nie zaspokoiliby to popytu na naukę w jej dzisiejszej strukturze.

Produkty naukowe wytwarzane w systemie peer review i w wąskich dyscyplinarnych szufladkach w żadnej mierze nie są w stanie zaspokoić popytu na wiedzę ze strony tak różnych podmiotów jak: państwa i ich związki, przedsiębiorstwa, branże, a nawet gospodarstwa domowe, które rozwiązują konkretne problemy i dokonują egzystencjalnych niekiedy wyborów. Czysta ekonomia czy czysta socjologia są bezużyteczne dla decydentów, którzy muszą uwzględniać całość uwarunkowań swoich wyborów, włączając w to między innymi czynniki: technologiczne, przyrodnicze, prawne, logistyczne, historyczne, a przede wszystkim polityczne.

Odpowiedzi na tak postawione pytania nie znajdziemy w żadnym wysoko punktowanym czasopiśmie naukowym. Potrzebna jest wiedza interdyscyplinarna, a nie uporządkowana według wymyślonych przez urzędników biurokratycznych kryteriów, jak np.: „skala makro to ekonomia, a mikro to zarządzanie”. Wiedza dyscyplinarna potrzebna jest jedynie do kształcenia początkujących badaczy w zakresie rzemiosła naukowego. Także studenci na uczelniach, którzy nie aspirują do karier naukowych, tracą zainteresowanie wiedzą podawaną tradycyjnie „na talerzach dyscyplin”.

Popyt na rzetelną naukę zaspokajają natomiast różnego rodzaju think tanki, zespoły doradcze, instytuty branżowe, firmy konsultingowe, biura i kancelarie ekspertów. Zatrudniają one przedstawicieli różnych dyscyplin, którzy pracują wspólnie nad rozwiązaniem konkretnego problemu dla konkretnego klienta lub grupy klientów. Przykładem może być chociażby słynna Rand Corporation, pracująca na potrzeby Departamentu Obrony USA, Brookings Institution czy w Polsce – publiczny Polski Instytut Ekonomiczny. Tworzą je przedsiębiorcy intelektualni zdolni do prawidłowego formułowania rzeczywistych problemów i skutecznego kierowania interdyscyplinarnymi zespołami badaczy i ekspertów proponujących kompleksowe rozwiązania. Być może to oni będą mistrzami przyszłości.

Na łamach „Forum Akademickiego” (nr 3/2014) opublikowaliśmy cztery artykuły będące zapisem debaty na temat szkół naukowych, jaką przeprowadzono w środowisku filozofów i etnologów z UMCS w związku z kontrowersjami wokół pojęcia „lubelskiej szkoły etnologów”. Ich autorami są: Stefan Symotiuł, Zbysław Muszyński, Paweł Bytniewski i Jadwiga Mizińska. Teksty te są dostępne na portalu forumakademickie.pl w zakładce „Miesięcznik”.



Rys. ALK

Uniwersytet Harvarda i upadek standardów akademickich

Dr hab. inż. Ziemowit Malecha, profesor Politechniki Wrocławskiej, włącza się (po raz drugi) w dyskusję o systemie aksjologicznym funkcjonującym na uniwersytetach amerykańskich, które stanowią wzór dla uczelni na całym świecie. Wcześniej na naszych łamach pisali na ten temat m.in. profesorowie: Ziemowit Malecha (FA /2021), Mateusz Stróżyński (FA 1/2022), Stephen P. Turner (FA 1/2024).

Bohaterami niniejszego artykułu są dwie postacie oraz jeden z najlepszych uniwersytetów na świecie. Claudine Gay, urodzona w 1970 roku, w okresie od 1 lipca 2023 roku do 2 lutego 2024 roku była prezydentem Uniwersytetu Harvarda, pierwszą kobietą oraz pierwszą osobą czarnoskórą na tym stanowisku. To córka imigrantów z Haiti, pochodząca z dobrze sytuowanej rodziny. Zrezygnowała z funkcji zaledwie po pół roku, oskarżana o przychylnie stanowisko wobec propalestyńskich manifestacji mających miejsce na jej uczelni. Nadal pracuje na Harvardzie na stanowisku profesora. Drugą bohaterką jest Carol Swain, urodzona w 1954 roku, czarnoskóra emerytowana profesor w dziedzinie nauk politycznych, w przeszłości pracująca m.in. na Uniwersytecie Princeton. Pochodząca z wielodzietnej i bardzo ubogiej amerykańskiej rodziny C. Swain wyszła za mąż w wieku 16 lat oraz urodziła pierwsze dziecko w wielu lat 17. Przeszła bardzo trudną i skomplikowaną drogę edukacyjną, włączając w to zdanie egzaminu GED, który jest odpowiednikiem ukończenia szkoły średniej. Jest postrzegana jako archetyp *american dream*, gdyż, jak to sama podkreśla, cały swój sukces zawdzięcza bardzo ciężkiej pracy oraz determinacji. Zwraca ona uwagę, że w jej życiu, często pomagali jej biali mężczyźni o bardziej konserwatywnej tożsamości, którzy nigdy nie trawili jej jako ofiary, lecz przekonywali ją o jej wyjątkowości oraz zachęcali do nauki i pracy.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że obie panie łączy wiele wspólnego, ale nic bardziej mylnego. Jest wręcz odwrotnie. C. Gay jest twarzą wykorzystywaną przez amerykańskie środowiska progresywne, która na fali rodzącej się polityki DEI (Diversity, equity and inclusion – Różnorodność, równość i integracja) została przepchnięta na wysokie stanowiska akademickie, mimo, jak wskazuje na to wiele osób, bardzo słabego dorobku naukowego. Natomiast C. Swain jest antybohaterem środowisk progresywnych oraz celem licznych ataków z ich strony. Dzieje się tak, mimo iż to właśnie ona mogłaby być twarzą polityki DEI. W przeciwieństwie do C. Gay posiada bowiem bardzo bogaty dorobek naukowy oraz jest autorką kilku ważnych książek. Istotne w tym kontekście jest to, że C. Swain otwarcie oskarża C. Gay o splotowanie wyników jej pracy naukowej w dysertacji doktorskiej, która była broniona na Harvardzie.

Powyższy konflikt, wynikający z wysoce prawdopodobnego plagiatu, jest zanurzony w szerszym kontekście narzucanej przez środowiska progresywne polityki DEI. Przypadek prof. Swain jest jak wierzchołek góry lodowej, pod którym kryją się dyskusyjne praktyki coraz częściej spotykane na czołowych amerykańskich uczelniach. Krytyczna jest też postawa Uniwersytetu Harvarda wobec prof. Swain, która twierdzi, że w odpowiedzi na jej pismo dotyczące plagiatu w doktoracie C. Gay uczelnia zastraszyła ją podjęciem kroków prawnych przeciwko niej.

Cała sprawa została niedawno przedstawiona w dostępnej na kanale YouTube rozmowie prof. Swain z prof. Jordanem Petersonem, światowej sławy psychologiem klinicznym, zajmującym się między

innymi psychologią ideologii oraz systemami totalitarnymi. W przeszłości pracował on m.in. na uniwersytetach McGill, Harvarda oraz Toronto. Prof. Peterson określa obecną narrację wykorzystywaną przez środowiska progresywne wobec mniejszości (rasowych, etnicznych, seksualnych) jako narrację typu *kat-ofiara*, w której *katem* jest biała większość, a *ofiara* mniejszości.

C. Swain zgadza się z tą diagnozą, stwierdzając, że podczas swojej długiej kariery akademickiej zauważyła istotną przemianę środowiska akademickiego, która polegała właśnie na tym, że mniejszości, zamiast, tak jak było to w jej przypadku, być zachęcane do ciężkiej pracy i realizacji swojego potencjału, zostały zepchnięte do roli ofiar, którym zaczęto ułatwiać karierę nie na zasadzie umiejętności i talentów, ale pochodzenia czy orientacji, co jest podstawą polityk afirmatywnych, takich jak DEI. Podkreśla, że będąc w komisjach zatrudniających nowych pracowników naukowych, była świadkiem przyjmowania niekompetentnych przedstawicieli mniejszości rasowych, zwłaszcza takich, których określiła mianem „angry blacks”. Do takich osób zalicza ona właśnie byłą prezydent Harvardu Claudine Gay, która, jak inni do niej

podobni, stała się orężem w rękach środowisk progresywnych.

Jak zauważa Jordan Peterson, z punktu widzenia psychologii społecznej podejście reprezentowane przez środowiska progresywne na amerykańskich uniwersytetach jest w zasadzie niczym innym jak klasycznym rasizmem. Środowiska te usiłują się otaczać osobami reprezentującymi mniejszości (w tym przypadku czarnoskórymi), lecz chcą mieć pewność, że mają znaczącą nad nimi przewagę, aby móc nimi manipulować. To prowadzi do konkluzji, że postępowcy w środowiskach akademickich uważają, że mniejszości rasowe i etniczne są gorsze. Tworzą atmosferę, w której przedstawiciele mniejszości czują się ofiarami, natomiast gdy spotykają reprezentantów mniejszości, którzy sprzeciwiają się takiej narracji, wykluczają ich i atakują. Podsumowując, Peterson stwierdza, że w istocie podejście takie ma podobną dynamikę do antysemityzmu, który także ma swoje źródła w dynamice *kat-ofiara*. Żydzi, będąc mniejszością, byli piętnowani jako wrogowie, gdyż ich przedstawiciele często odnosili sukces.

Takie podejście wzmacniania także poczucie bycia gorszym, gdyż świadomość tego, że jest się przyjmowanym na studia, czy do pracy, nie ze względu na umiejętności, lecz pochodzenie, bardzo silnie sprzyja rozwojowi syndromu oszusta. Ma to także inne negatywne konsekwencje, gdyż osoby, które musiały spełnić wszystkie formalne wymogi przyjęcia na studia czy awansu, spotykając przedstawiciela mniejszości, mogą mieć poczucie, że osoba taka jest niekompetentna.

Jak wskazują Carol Swain i Jordan Peterson, *remedium* na taką sytuację może być tylko utrzymanie standardów i jednakowych wymogów dla wszystkich. W tym kontekście przywołują oni prace Adriana Wooldridge’a, wieloletniego redaktora „The Economist”, który zauważa, że nieużywanie obiektywnych klasyfikacji w odnie-



Fot. Maria Lenczewska

sieniu do umiejętności i zasług przy zatrudnianiu oraz awansowaniu prowadzi do nepotyzmu. Jeśli odrzuca się obiektywne testy, to w rezultacie często awansuje się znajomych oraz osoby spokrewnione. Jest to bardzo problematyczne dla polityki DEI, gdyż użycie obiektywnych testów nieuchronnie prowadzi do nierównomiernej reprezentacji studentów czy pracowników ze względu na ich pochodzenie. Mimo to, C. Swain jest gorącą orędowniczką standardów oraz równego traktowania i gorąco wierzy, że podobnie jak w jej przypadku, utalentowanych osób wśród mniejszości jest wystarczająco dużo.

W latach 2010–2014 miałem okazję pracować na kilku uniwersytetach amerykańskich. W moim odczuciu poziom nauczania na studiach magisterskich oraz doktoranckich był nieporównywalnie wysoki, a studenci charakteryzowali się wysoką kulturą osobistą. Należy jednak dodać, że istnieje podział na uniwersytety dla „białych”, gdzie spotyka się także sporą reprezentację studentów i pracowników pochodzących z krajów azjatyckich, Bliskiego Wschodu oraz Europy Środkowo-Wschodniej, oraz dla „czarnych”, gdzie w większości studentami są czarni Amerykanie: University of the District of Columbia, North Carolina A&T State University, Lincoln University. Podział ten w dużej mierze ma charakter historyczno-geograficzny, niemniej najlepsze amerykańskie uniwersytety, takie jak Harvard, zalicza się do „białych”. Pracownicy tych uczelni częściej utożsamiają się z pomysłami lewicowo-progresywnymi, co może rzeczywiście wymuszać pewną potrzebę wprowadzania tam „różnorodności” kosztem jakości.

Degradacja standardów daje się zauważyć także w polskich uczelniach, ale jej podłoże jest inne. Problemy demograficzne w naszym kraju skutkują niską liczbą chętnych na studia. Prowadzi to do negatywnej konkurencji między uczelniami, które często chcą pozyskiwać studentów poprzez oferowanie im coraz niższych kryteriów wej-

ścia na uniwersytet i lepszych warunków studiowania. Niejednokrotnie rozmawiałem z rozżalonymi studentami, narzekającymi na niski poziom nauczania, co skutkowało brakiem motywacji w podejmowaniu przez nich studiów magisterskich. Sprawę pogarsza także narzucony wymóg umiędzynarodowienia, który w praktyce oznacza częste przyjmowanie studentów obcokrajowców, których poziom wiedzy jest znacząco niższy niż wymagają tego standardy akademickie.

Zdarza się także, że uzyskanie wysokiego wyniku na rekrutacji przez obcokrajowców jest łatwiejsze niż uzyskanie podobnego wyniku przez kandydata z Polski, bowiem wymagania maturalne, czy te związane z ukończeniem pierwszego stopnia studiów są często wyższe w Polsce niż w przypadku ich zagranicznych odpowiedników. W tym kontekście warto zwrócić uwagę, iż obcokrajowcy często rekrutują się na kierunki najbardziej oblegane, tym samym konkurując o miejsca z absolwentami polskich szkół. Dodatkowo przyjęcie obcokrajowca wiąże się z wyższą dotacją dla uczelni niż w przypadku przyjęcia studenta z Polski co może wpływać na bardziej przychylnie traktowanie kandydatów z zagranicy.

Rozwiązanie tego problemu powinno opierać się na zapewnieniu takich samych wymogów rekrutacyjnych, a w szczególności przyjmowanie tylko absolwentów wybranych szkół czy uczelni zagranicznych, w których poziom nauczania spełnia standardy zbliżone do tych, jakie uznajemy w Polsce. W przypadku kandydatów, dla których niemożliwe byłoby spełnienie takiego warunku, należałoby wprowadzić egzaminy wstępne.

Można zauważyć pewne podobieństwo między „inkluzywną” rekrutacją na uczelniach anglosaskich, dającą dodatkowe punkty za pochodzenie, a uzależnieniem poziomu finansowania uczelni w Polsce od tzw. poziomu umiędzynarodowienia. W obu przypadkach skutkuje to osłabieniem uczciwej konkurencji oraz negatywnie wpływa na poziom kształcenia, ale zapewne także prowadzonych badań i relacje z otoczeniem gospodarczym i społecznym uniwersytetu.

Rektor po raz trzeci

Akademia Piotrkowska przeżywa w tym roku trudne chwile. Najpierw rezygnację ze stanowiska złożył pierwszy rektor, dr hab. Dariusz Rogut, mianowany przez ministra Przemysława Czarnka z chwilą utworzenia uczelni (1 czerwca 2023 r.). W lutym 2024 r. minister nauki Dariusz Więczorek obsadził to stanowisko ponownie. „Drugim pierwszym” rektorem, w każdym razie nowym – został dr hab. Jacek Bonarek, także związany wcześniej z piotrkowską filią Uniwersytetu Jana Kochanowskiego. Wygrał on również czerwcowe wybory na rektora AP, których ważność zakwestionowało jednak Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, dokładnie: zakwestionowano uchwałę Senatu uczelni zmieniającą Statut AP, co skutkowało nieważnością wyborów rektorskich. „Mianowana” kadencja J. Bonarka upływała 31 sierpnia 2024 r. Jednak, jak dowiadujemy się nieoficjalnie, to on kierował posiedzeniem Senatu w pierwszych dniach września, na którym wybrano nową Uczelnianą Komisję Wyborczą. Ta w trybie ekspresowym przeprowadziła ponowne wybory rektora AP. Procedura rozpoczęła się 10 września od zgłaszania kandydatów na elektorów. Ledwie 17 września minął termin rozpatrzenia protestów wyborczych w sprawie składu Kolegium Elektorów, a już 18 września wybrano nowego rektora – kandydatów można było zgłaszać od 10 września. Jedynym zainteresowanym tą funkcją był dr hab. Jacek Bonarek, który został ponownie – po raz trzeci w tym roku – wybrany rektorem Akademii Piotrkowskiej, uzyskując 17 głosów elektorskich „za”, przy trzech przeciwnych i jed-

nym wstrzymującym się. Formalnie procedura trwała do 23 września, gdy minął termin na rozpatrzenie protestów wyborczych. Między 10 a 20 września dokonano też wyboru nowego Senatu.

Jeśli czerwcowe wybory rektorskie w AP są nieważne, a „mianowana” kadencja rektora J. Bonarka zakończyła się 31 sierpnia, to oznaczałoby, że de facto od 1 września 2024 r., a więc od początku kadencji władz rektorskich we wszystkich uczelniach publicznych, Akademia Piotrkowska pozostawała bez rektora. W rozmowie telefonicznej dr hab. Jacek Bonarek przekonywał mnie jednak, że decyzja ministra nauki nie oznacza wcale, że nie jest rektorem, a on sam ma na potwierdzenie tego faktu ekspertyzy niezależnych prawników.

Dr hab. Jacek Bonarek jest historykiem, specjalistą z zakresu historii bizantyńskiej. Pełnił funkcję dziekana Wydziału Filologiczno-Historycznego w piotrkowskiej filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach (przekształconej w czerwcu ub.r. w Akademię Piotrkowską). Od czerwca do listopada 2023 roku był prorektorem ds. kształcenia studentów AP.

Akademia Piotrkowska jest najmłodszą uczelnią publiczną w Polsce. Kształci ok. 900 studentów. Została utworzona 1 czerwca 2023 roku na bazie istniejącej od 1981 r. w Piotrkowie Trybunalskim filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

(m, p)

Stawiamy na sport dla każdego studenta

Rozmowa z prof. Krzysztofem Wildem, przewodniczącym Komisji ds. Sportu Akademickiego KRASP, rektorem Politechniki Gdańskiej, która po raz piąty z rzędu wygrała Akademickie Mistrzostwa Polski

Taka seria zwycięstw w XXI wieku nie zdarzyła się jeszcze żadnej uczelni. Proszę zdradzić przepis na sukces.

Pasja i praca – to są dwa główne składniki tego przepisu. Od kiedy pięć lat temu zostałem rektorem, przyświeca mi zasada, by każdemu studentowi, jeśli tylko ma na to ochotę, zapewnić możliwość uprawiania sportu. Robimy wszystko, by umasować sport, który ma przede wszystkim bawić i relaksować, ale w żadnym razie nie uciekamy od tego, co jest jego solą, czyli rywalizacji. Otwieramy się na nowe formy ruchu: mamy golf, sekcję jogi, trening funkcjonalny, czyli to, co dziś interesuje młodych ludzi. Nie zamykamy przed nimi drzwi, mówiąc: nie, tego u nas nie ma i nie będzie. Wychodzę z założenia, że każda aktywność jest lepsza od siedzenia w domu przed komputerem. Wysyłamy więc zachętę: przyjdź, poruszaj się, bo jak chcesz być dobrym inżynierem czy naukowcem, to sprawność fizyczna też ci się przyda.

Aż dziwne, że tak prosta recepta może dawać tak znakomite efekty.

Pod warunkiem, że jest odpowiednio przygotowana. Stworzyliśmy specjalny fundusz na rzecz sportowców, niezależny od ministerialnego, i funkcjonujący obok systemu stypendialnego. To wydzielone środki na wsparcie naszych sportowców. Nie są to może jakieś wielkie kwoty, ale chodzi o pokazanie studentom, że uczelni zależy na tym, by jeździli na zawody, startowali, sięgali po medale. To niejeden przykład takich działań. Nie mieliśmy wcześniej strzelectwa kobiet, a były chętne. Zapłaciliśmy więc za amunicję, wypożyczyliśmy pistolety, za darmo wynajęto nam strzelnicę i dziewczyny kilka lat temu pojechały pierwszy raz na AMP-y, zajęły nawet miejsca w połowie stawki. Od tamtej pory regularnie startują w zawodach.

Nieodzownym ogniwem tej układanki są też zapewne trenerzy.

Bez nich to nie miało prawa się udać. Ich zasługi są nieocenione. Wyszukują talenty, namawiają, zachęcają do przyjscia na treningi, próbowania, zmierzenia się niekiedy z własnymi słabościami. Koordynatorem pionu szkoleniowego jest niezłomny Andrzej Busler. W ubiegłym roku pojechał z naszą drużyną piłkarzy do Albanii, gdzie zdobyli srebrny medal w Akademickich Mistrzostwach Europy. Te sukcesy przekonują mnie, że idziemy dobrą drogą. Ale nie zapominamy o detalach, które też są ważne: koszulki, czapeczki, skarpetki – to pomaga identyfikować się sportowo ze swoją uczelnią i pozwala poczuć dumę z reprezentowania jej barw.

Skąd w ogóle wziął się pomysł, by na uczelni technicznej tak mocno postawić na sport?

W trakcie doktoratu mieszkałem przez siedem lat w Japonii. Uniwersytet Tokijski, na którym prowadziłem badania, przenosił do siebie ciekawe rozwiązania wdrożone na amerykańskich uczelniach. To Amerykanie, a nie Europejczycy, byli dla nich wzorem w kształtowaniu uniwersytetu jako całości. A w USA już dawno temu dostrzeżono, że uczelnie najlepiej „reklamuje się” poprzez naukę i sport. Kiedy zostałem rektorem, połączenie tych dwóch obszarów było więc dla mnie naturalne.

Politechnika Gdańska stoi dziś mocno i na sportowej, i na naukowej nodze.

Przez skromność nie zaprzeczę. Jesteśmy wśród dziesięciu uczelni badawczych. W ostatnim rankingu szanghajskim jako jedyni z Pol-

ski zanotowaliśmy awans. W gronie ośmiu polskich uczelni jesteśmy za dwoma gigantami: Uniwersytetem Warszawskim i Uniwersyte-tem Jagiellońskim. W rankingu „Perspektyw”, mierzącym dydaktykę, też systematycznie idziemy do góry, choć tam trudno jest się przebić takiej stosunkowo niewielkiej uczelni jak nasza. Wiadomo, że na pytanie: gdzie byś chciał, żeby twoje dziecko poszło do szkoły, większość wymienia najpierw Warszawę, Kraków, a dopiero potem inne ośrodki. Tym niemniej zajęliśmy w ostatniej edycji piąte miejsce w rankingu wszystkich uczelni bez względu na profil kształcenia. To rewelacyjny wynik jak na uczelnię na dalekiej północy. Kolejny rok z rzędu utrzymaliśmy też trzecie miejsce w klasyfikacji uczelni technicznych.

Czym jeszcze przyciągacie sportowców, którzy chcą studiować?

Podejściem do nich. Podam przykład Narodowej Reprezentacji Akademickiej. To jest nieco wyższy poziom niż amatorskie treningi, ale dobrze obrazuje, jak traktujemy sportowców w ogóle. W tym programie mamy najwięcej przedstawicieli poza uczelniami o profilu sportowym. Przed nami są tylko dwa AWF-y, a my na trzecim miejscu. To zobowiązuje. Otaczamy studentów-sportowców indywidualną opieką, organizujemy zajęcia, czy to z fizyki, czy z matematyki, dzięki temu mogą skupić się na zawodach. Pamiętam studenta, żeglarza, który w jednym sezonie chyba tylko przez dwa tygodnie był na uczelni, a tak cały czas w rozjazdach: treningi, regaty etc. Ustawiliśmy mu tak rozkład zajęć, egzaminów, zaliczeń, że z powodzeniem zakończył studia inżynierskie. Oczywiście, nie wszyscy wykładowcy podchodzą do tego tak elastycznie, niektórzy kręcą nosem, ale właśnie tutaj widzę swoją rolę jako rektora, by przekonywać ich, że zadowoleni, odnoszący sukcesy studenci są naszą najlepszą wizytówką.

Skoro jesteście przy żeglarskim, nie mogą nie zapytać o przerwana w tym roku po 10 latach dominację Politechniki Gdańskiej.

To jest sport, raz idzie lepiej, raz gorzej. Nasz najlepszy zawodnik zaliczył dwukrotnie falstart, co wydawało się wcześniej wręcz niemożliwe. Dodatkowe okrążenia zrzuciły nas na drugie miejsce, za Uniwersytet Gdański. Przekornie powiem, że złoto zostało w nadmorskiej rodzinie. Wprawdzie dla niektórych ujmą na honorze była przegrana właśnie z ekipą zza miedzy, ale dla mnie to lepiej niż gdybyśmy mieli ulec Uniwersytetowi Warszawskiemu czy Akademii Górniczo-Hutniczej, które deptały nam wtedy po piętach. Przy okazji, z całego serca chciałbym pogratulować UW świetnego drugiego miejsca, i AGH równie znakomitej trzeciej pozycji w klasyfikacji generalnej. Stać na podium w ich towarzystwie to prawdziwy zaszczyt.

Czy celem na kolejny sezon będzie szósty triumf w „generalce”?

Po tym, jak zmieniono regulamin, nie jestem tego taki pewien. Dla mnie sport akademicki ma być powszechny i ograniczanie wyników danej uczelni tylko do 30 najlepszych rezultatów, a nieuwzględnianie wszystkich uzyskanych przez jej studentów, z pewnością nie jest realizacją idei masowości. Pozwólmy bawić się na AMP-ach, a nie promujemy tym sposobem uczelni, które podchodzą do rywalizacji półzawodowo. To zły kierunek. Moim zdaniem AMP-y powinny być czysto amatorskie – student się uczy, a przy okazji może pokopać piłkę, poćwiczyć jogę albo postrzelać na strzelnicę – zaś profesjonalny charakter mogłyby mieć ligi akademickie, które właśnie





Fot. Dawid L. Linkowski

inicjuje Ministerstwo Sportu. Jestem zachwycony tym pomysłem, Politechnika Gdańska zgłosiła już swój akces do tego projektu. Mam nadzieję, że ruszy jeszcze w tym roku akademickim. To dopełnienie całego systemu: mamy sport powszechny w szkołach podstawowych i średnich, AMP-y jako przedsiwzięcie półzawodowstwa i ligi akademickie stanowiące zaplecze sportu profesjonalnego. Tak to powinno funkcjonować.

Dotychczasowe sukcesy nie byłyby możliwe bez odpowiedniej infrastruktury.

To prawda, mamy nowoczesne centrum z halą do gier zespołowych, baseny, halę tenisową, ścianę wspinaczkową, boisko ze

sztuczną nawierzchnią, boiska do siatkówki plażowej i koszykówki 3 × 3, halę aerobiku i do sportów walki, a także wioślarnię. Wkrótce powstaną dwa dodatkowe korty tenisowe. Ale największym marzeniem jest hala widowiskowo-sportowa z widownią na około 1500 osób. Zabezpieczyliśmy już połowę środków, tj. około 30 mln zł. Liczę, że na koniec rozpoczynającej się właśnie kadencji oddamy ten obiekt do użytku. Złożyłem też wniosek do Ministerstwa Sportu o utworzenie Centralnego Ośrodka Sportu przy Politechnice Gdańskiej, jesteśmy na wstępnym etapie, jeszcze za wcześnie na podawanie szczegółów.

Czy wiąże pan nadzieje ze Związkiem Uczelni Fahrenheita również w odniesieniu do sportu?

Jak najbardziej, to naturalny kierunek. Kształcimy w tej chwili około 14 tys. studentów. Uniwersytet Fahrenheita, czyli połączone siły Politechniki Gdańskiej, Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, to w sumie 55–60 tys. studentów. Stawiałoby nas to już w zupełnie innej sytuacji i łączenie drużyn sportowych byłoby oczywistością.

Na ile to wszystko, o czym pan mówi, realnie przyciąga kandydatów na studia w Politechnice Gdańskiej?

Przy okazji rekrutacji pytamy ich, co spowodowało, że wybrali naszą uczelnię. Wielu podkreśla, jak ważne jest przyjazne dla studenta środowisko. Oni nie chcą być na uczelni tylko po to, by się uczyć, ale rozglądają się za szerszą ofertą. Sport jest tym elementem, który idealnie wpasowuje się w pozytywne postrzeganie uczelni przy dokonywaniu jej wyboru. Wtedy nie jest aż tak ważne piąte z rzędu zwycięstwo w AMP-ach, ale bardziej to, że mamy dużo sekcji, a co za tym idzie wiele możliwości realizacji sportowych pasji i zainteresowań.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Brązowy Paryż

Trzy medale, wszystkie brązowego koloru, wywalczyli na Igrzyskach XXXIII Olimpiady sportowcy spod znaku AZS. Na olimpijskie podium weszło sześcioro zawodników z gryfem na koszulkach.

Do Paryża udało się ponad 60 zawodników i zawodniczek, którzy reprezentują barwy AZS. Jako pierwsze na podium stanęły szpadzistki, które w ćwierćfinale wygrały z Amerykankami, a w półfinale uległy Francuzkom. W spotkaniu o trzecie miejsce rywalizowały z Chinami. Na cztery sekundy przed końcem Azjatki wyszły na prowadzenie 31:30. Wtedy do ataku ruszyła Jarecka, doprowadzając do remisu. W doliczonym czasie polska zawodniczka znów szybko trafiła Chinę i dzięki temu zdobyliśmy brązowy medal. To pierwszy olimpijski krążek polskiej szermierki od 16 lat! Trzon naszej drużyny tworzyły: Aleksandra Jarecka, Renata Knapik-Miazga (obie AZS AWF Kraków) oraz Martyna Swatowska-Wenglarczyk z AZS AWF Katowice. Skład uzupełniła Alicja Klasik.

Po brąz sięgnęła także wioślarska czwórka podwójna, której połowę stanowili zawodnicy z klubów AZS: Dominik Czaja z AZS AWF Warszawa oraz Mirosław Ziętarski z AZS UMK Toruń (ponadto Mateusz Biskup i Fabian Barański). Przez dłuższą część wyścigu finałowego polska osada płynęła druga, a w końcówce dała się wyprzedzić jedynie Włochom, z którymi przegrała również w półfinale.

Trzeci krążek dorzuciła Aleksandra Kałucka z AZS Akademii Tarnowskiej, która w swoim debiucie na igrzyskach ustanowiła najpierw rekord życiowy we wspinaczce na czas (6,34 sek.), a potem zastrzeżenie wywalczyła brąz, pokonując Indonezyjkę Rajiah Sal-

Isabillah. W półfinale Polka, która po licencjacie z matematyki od września studiuje na Uniwersytecie Edynburskim, musiała uznać wyższość swojej rodaczki i późniejszej triumfatorce Aleksandry Mirosław. O jej treningach, w których wykorzystuje stworzony przez informatyków Akademii Tarnowskiej specjalny system wizyjny monitorujący ruchy wspinacza oraz jego parametry, pisaliśmy w numerze 12/2022 „Forum Akademickiego”.

W sumie polscy sportowcy wywalczyli w Paryżu 10 krążków: 1 złoty, 4 srebrne i 5 brązowych, co dało nam 42 miejsce w klasyfikacji medalowej. Kolejne letnie igrzyska odbędą się za cztery lata w Los Angeles.

MK



Fot. Paweł Skrabala

Aleksandra Kałucka

Szkoły? Szansa na realną zmianę!

Dr hab. Sebastian Kołodziejczyk, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, filozof, dyrektor Szkoły Doktorskiej Nauk Humanistycznych UJ, przedstawia argumenty na rzecz obowiązującego od pięciu lat systemu kształcenia doktorantów, odnosząc się do reformy tegoż przyjętej na Uniwersytecie Gdańskim.

W tekście *Doktoranci wracają na wydziały* (FA 7-8/2024) prof. Piotr Stepnowski, rektor Uniwersytetu Gdańskiego, przedstawia argumenty za powrotem kształcenia doktorantów na uczelniane wydziały w przeciwieństwie do ogólnouczelnianych szkół działających na większości uniwersytetów. Uważnie prześledziłem argumentację i proponuję przyrzeć się jej szczegółowo. Dzięki temu można się zorientować, na czym tak naprawdę polega wartość szkół doktorskich.

Wiele osób kpi z nazwy „szkoła”. Nie bardzo rozumiem, co takiego śmiesznego w tym, że polski system prawny zaczął się posługiwać

tą nazwą, która oznacza wyodrębnioną formę kształcenia, właściwą na przykład dla takich systemów akademickich, jak chociażby amerykański. Rozumiem, że problematyczność zasada się na tym, że w ogóle ktoś śmiał wyodrębnić tę formę kształcenia i instytucjonalizować ją w ramach systemu. Podkreślę od razu, że uważam, iż zarówno nazwa „szkoła”, jak również sama idea wprowadzona do ustawy z lipca 2018 roku, są fortunne i zasadne, pozwalają w sposób jednoznaczny skupić uwagę na kształceniu doktorantów jako grupie wyróżnionej i istotnej dla losów środowiska akademickiego (piszę o tym szerzej w artykule *Doktorant – upragnione dziecko akademii* (FA, 7-8/2023).

A teraz przejdę do analizy argumentów Pana Rektora Stepnowskiego. Zacznę od kluczowego, który wyraża się w tezie: doktoranci ze szkół doktorskich przestali integrować się z wydziałami. Ta teza jest zasadna, ale tylko połowicznie. Zadajmy sobie pytanie, o jaką integrację chodzi. Odpowiedź nie jest ani jednoznaczna, ani oczywista. Inaczej integruje się doktorant realizujący badania w obszarze nauk humanistycznych i społecznych, inaczej w naukach ścisłych i przyrodniczych, a jeszcze inaczej w medycznych czy technicznych. Warto zauważyć, że doktoranci realizujący badania laboratoryjne są co do zasady obecni w jednostkach badawczych (np. wydziałach) w trybie ciągłym. Są oni doskonale zintegrowani ze swoimi zespołami, ponieważ najczęściej wykonują regularną pracę badawczą w określonym przedziale godzinowym i z udziałem innych uczestników procesu badawczego. Nieco inaczej wyglądają badania naukowe, a tym samym integracja, w naukach humanistycznych i części nauk społecznych. Tutaj proces badawczy nie jest zależny od obecności w laboratorium i ciągłej w nim pracy, więc siłą rzeczy doktorant ma luźniejszą więź z jednostką. Powiązania tworzą się zwykle poprzez uczestnictwo w życiu naukowym, czyli wykładach, odczytach, konferencjach organizowanych przez jednostkę, a przede wszystkim przez dydaktykę, czyli prowadzenie zajęć przez doktorantów.

Uświadomienie sobie tego prowadzi do istotnych wniosków ogólnych: tak naprawdę nie istnieje jeden model kształcenia doktorantów i właśnie ten fakt decyduje o tym, że warto zatrzymać się dłużej nad funkcjonowaniem szkół i ich ustrojem, by dostrzec ich zalety jako jednostek od wydziałów niezależnych i jednocześnie całkowicie skoncentrowanych na zadaniach ustawowych, bo te pozostają niezmiennie bez względu na miejsce w strukturze uczelni.

Z moich doświadczeń i obserwacji wynika, że w początkowym okresie istotnie doktoranci byli nieco zdezorientowani, lecz dzisiaj doskonale zdają sobie sprawę z tego, że ich promotorzy są powiązani z wydzia-

łami, prowadzenie przez nich zajęć także odbywa się na wydziale, lecz proces kształcenia, monitorowanie postępów w realizacji IPB, wsparcie instytucjonalne, finansowe i organizacyjne, czyli te rzeczy, które są istotne dla osiągnięcia celu, jakim jest rozprawa doktorska, odbywają się w szkole doktorskiej. Nawet jeśli są utyskiwania (a są!), to wynikają one w głównej mierze z tego, że szkoły są jednostkami, które dopiero nabywają know-how, ale też uzyskują pozycję w strukturze uczelni.

Argument Pana Rektora Stepnowskiego związany z niewystarczającą integracją uważam za przekonujący, ale nie rozstrzygający, a wręcz

rzekłbym, że nadający zupełnie inny sens istnieniu szkół. Dzięki szkołom wydziały mogą wykonać większą pracę integracyjną między sobą i w ramach swojej aktywności; mogą też lepiej dostrzec wagę doktora dla swoich procesów badawczych, dydaktycznych i życia naukowego. Uważam, że to właśnie istnienie szkół uświadamia pozostałym jednostkom, jak istotna jest rola doktorantów, i to bynajmniej nie jedynie dla dydaktyki. Zdziwiający jest, że ten wątek w ogóle nie pojawił się w argumentacji Pana Rektora.

Drugi ważny argument prof. Piotra Stepnowskiego jest ujęty w sposób uwikłany. Zdaniem Pana Rektora problemem jest to, że ustawa wprowadziła szkoły, lecz nie zdefiniowała innych form organizacyjnych. Nie do końca to rozumiem. Ustawodawca daje swobodę organizacji uczelni, a jedynie szkołę doktorską wyróżnia jako formułę kształcenia doktorantów.

Z mojej perspektywy nie jest to ani zaskakujące, ani tym bardziej negatywne. Wyróżnienie szkół doktorskich pozwala identyfikować grupę interesariuszy, a także określić warunki, jakie mają spełniać uczestnicy procesu doktryzowania, by efektywnie osiągać cele związane z realizacją indywidualnego planu badawczego. Wszakże mogą się zgodzić, że gdyby ustawodawca zawarł zapisy o relacji między szkołą a innymi formami organizacji, pewnie byłoby to czytelniejsze dla uczelni. Zapewne za chwilę dowiedzielibyśmy się, że jest to ograniczanie autonomii uczelni czy wpływanie na jej organizację. Każde rozstrzygnięcie ma swoje „plusy dodatnie i plusy ujemne”.

Na koniec zwróćmy uwagę na trzeci uwikłany argument Pana Rektora, tym razem finansowy. Wprawdzie akapit o finansach zaczyna się od stwierdzenia, że gros kwoty alokowanej na kształcenie doktorantów to stypendia, jednakże w dalszej części mowa jest już o pozostałych kosztach, w tym na administrację. Wczytałem się w szczegóły tego argumentu i wnoszę z niego, że przywrócenie doktorantów na wydziały, utworzenie tam szkół doktorskich (w liczbie kilkunastu), to będzie ograniczenie finansowania. Nie wiem, w jaki sposób się to dokona, ale trzymam kciuki. Wierzę głęboko, że taki system się sprawdzi i przyniesie określone efekty, nie tylko finansowe. Obawiam się jednak, że koniec końców będzie to powrót do studiów doktoranckich, a więc formy nijakiej, która całkowicie zawiodła.

Przejdę teraz do części pozytywnej i pozwolę sobie sformułować 10 argumentów za istnieniem szkół. Zacznę od pewnego przykładu. W 1961 roku City University of New York utworzyło jednostkę, która nosi nazwę Graduate Center, a właściwie Graduate School and University Center (od kiedy w 2017 roku stało się także centrum badań zaawansowanych). Ta jednostka jest mi dobrze znana, bo tam odbywałem swój pierwszy staż podoktorski. W programie filozoficznym (Philosophy Pro-



gram) realizowanych było kilkadziesiąt doktoratów i kilkanaście magisterii, podobnie w innych programach. Dziś łączna liczba studentów sięga 3228, a samych doktorantów jest 2621 (najnowsze dane). Budżet tej jednostki to ok. 150 milionów dolarów. Warto podkreślić, że w różnych rankingach liczne programy doktorskie znajdują się w czołowej trzydziestce zestawień, a program filozoficzny w pierwszej dwudziestce. Ta forma organizacyjna, analogon szkoły doktorskiej, miała spełnić dwie funkcje: 1) systemowo wyodrębnić kształcenie doktorantów i przy okazji wybitnych magistrantów z kształcenia oferowanego przez kolegia i 2) dokonać jakościowej zmiany, dzięki której zarówno uniwersytet, jak i programy kształcenia doktorantów oraz magistrantów uzyskają stosowny status i pozycję w ramach anglo-amerykańskiego systemu akademickiego. To się udało, choć trwało wiele lat.

Czas na argumenty. Wymienię ich dziesięć, choć w istocie jest ich znacznie więcej.

1. W subwencji kształcenie doktorantów jest wyodrębnione jako składnik i to o wysokim statusie (10%, nie licząc stałej przeniesienia). Oznacza to, że uczelnie posiadają znaczne środki na doktorantów i mogą dysponować nimi na sposób skoncentrowanego i ściśle zdefiniowanego strumienia finansowego, który ma przynieść określone rezultaty w postaci wysokiej jakości rozpraw, dobrze przygotowanej młodej kadry badawczej i dydaktycznej, znaczącego wzrostu obecności młodych uczonych po doktoracie z danego ośrodka w życiu naukowym w kraju i za granicą. Zintegrowany system kształcenia takie cele pozwala realizować. Dezintegracja prowadzi do zróżnicowania interesów, a tym samym rozproszenia działań w dążeniu do celów.

2. Kształcenie w szkołach doktorskich jest łatwe do kontroli zarządczej, ale nade wszystko jest relatywnie tanie. Jeśli szkoły mają swoje budżety, łatwo jest je kontrolować, a z drugiej strony pozwala to na wyraźne sformułowanie zasadności wydatkowania środków. Kształcenie dla wielu doktorantów jest zawsze tańsze niż dla kilku. Łatwiej też planować inne działania, które są kosztochłonne – w przypadku istnienia szkół te koszty spadają. Podam przykład. Szkoła, którą kieruję, zatrudnia trzy osoby, które administracyjnie obsługują procesy kształcenia 204 doktorantek i doktorantów w 10 programach. To zdecydowanie potania działania administracyjne, nawet jeśli uprzemy się, że szkoły wydziałowe będą obsługiwane przez osoby, które zajmują się innymi sprawami. Niestety, jest to iluzja, ponieważ liczba procesów, jakie dotyczą doktorantów (od rekrutacji do zakończenia kształcenia), jest tak duża, że na pewno z czasem powstaną dedykowane etaty na wydziałach, bo to jednak szczególna forma działania akademickiego.

3. Ustawa definiuje zarówno warunki, jakie muszą być spełnione, by szkoła mogła istnieć, jak i kryteria ewaluacji. Zwłaszcza ten drugi element jest bardzo ważny. Ewaluacja szkół jako zintegrowanych podmiotów pod kontrolą zarządczą wyróżnionej grupy osób oraz nadzorem rektora (jak w przypadku Uniwersytetu Jagiellońskiego) pozwala, po pierwsze, delegować obowiązki i rozliczać, a po drugie wskazuje na odpowiedzialność. W formułach rozproszonych jest to o wiele trudniejsze, a co więcej, powoduje zatrącenie odpowiedzialności między decydemtą głównym, np. dziekanem, a tym, który kieruje szkołą wydziałową – kierownikiem tejże szkoły, który nie jest wówczas autonomiczny i nie posiada żadnej podmiotowości.

4. Szkoły mają charakter interdyscyplinarny. Wydziały mają budowę zróżnicowaną, ale zasadniczo sprowadzają się do tego, że albo są jedną jednostką, albo federacją jednostek i wtedy pojawia się wielodyscyplinowość. Interdyscyplinarność szkół to jedna z podstawowych wartości, jakie wniosło ich istnienie. Nie chodzi o to, że doktoranci muszą prowadzić badania interdyscyplinarne, lecz o to, że uczestniczą w procesie kształcenia nakierowanym na zbudowanie świadomości interdyscyplinarnej oraz nawiązują relacje naukowe, towarzyskie i każde inne z kolegami, reprezentującymi wiele dyscyplin. Dzięki temu lepiej rozumieją to, kim są we własnej dyscyplinie

i dziedzinie wiedzy. To często prowadzi do istotnych zmian w procesie badawczym i poszerza horyzonty intelektualne.

5. Szkoły są naturalnymi partnerami dyscyplin. Ten element uważam za niezwykle ważny, ponieważ doprowadzenie do doktoratu odbywa się w dyscyplinie, a więc z uwzględnieniem jej specyfiki badawczej i wewnętrznej kultury. To oznacza, że to nie instytucjonalna formuła organizacji, czyli na przykład wydziały, są tu istotne, lecz powiązanie z dyscyplinami. Trudno sobie jednak wyobrazić, by w takiej uczelni jak moja, w której prowadzi się badania w kilkudziesięciu dyscyplinach, było kilkadziesiąt szkół doktorskich. To byłaby absurdalna sytuacja organizacyjna.

6. Szkoły mają charakter integracyjny. Nie wiem, jaka jest sytuacja z wydziałami na Uniwersytecie Gdańskim, ale w Uniwersytecie Jagiellońskim badania z zakresu filozofii, językoznawstwa, historii, literaturoznawstwa czy nauk o kulturze i religii oraz nauk o sztuce (wymieniam tylko część dyscyplin) realizowane są na wielu wydziałach. Szkoła pozwala dokonać integracji w procesie kształcenia i badawczym, a dzięki temu ułatwia identyfikację tak uczonym, którzy są promotorami, jak i doktorantom. Oczywiście, jest to ideał, lecz warto, by przyświecały nam ideały, zwłaszcza wtedy, gdy mamy do czynienia z rozczłonkowaniem aktywności badawczej.

7. Szkoły wprowadzają standaryzację. Ten element jest często całkowicie pomijany i trudno go też dostrzec w wypowiedzi Profesora Stepnowskiego. Fakty są takie, że przyjmowanie doktorantów do programu językoznawczego czy nauk o kulturze i religii, w których mamy kandydatów chcących realizować badania na różnych wydziałach, pozwala jednej komisji wnikliwie przyrzeć się ich walorom naukowym i dobrać tych, którzy są faktycznie najlepsi, nawet jeśli niekiedy, jak w przypadku Uniwersytetu Jagiellońskiego, pewne paradyty wydziałowe zachowujemy. Standaryzacja dotyczy także innych aspektów działania szkoły, np. oceny śródkresowej czy raportów częstokowych, nie mówiąc już o konkursach na wsparcie finansowe badań czy mobilności, które mogą one organizować, jeśli posiadają środki na ten cel (tak jak w przypadku Uniwersytetu Jagiellońskiego).

8. Szkoły biorą odpowiedzialność za kształcenie i je konsolidują. Ten element jest fundamentem nowego systemu. I nie chodzi tu o kształcenie jak na I i II stopniu, lecz o taką formę wsparcia dydaktycznego, która pozwala na rozwinięcie warsztatu badawczego i uzyskanie nowych kompetencji badawczych, naukowych czy społecznych. Jeśli z punktu widzenia ewaluacji kształcenie jest głównym przedmiotem oceny, to ujęcie go w formule szkoły doktorskiej, która jest wyróżnioną jednostką, ma głęboki sens. Dzisiaj, po pięciu latach istnienia szkół, mamy w tym zakresie wiele doświadczeń, z których można wyciągnąć ciekawe wnioski na przyszłość. Jeden z nich jest taki, że kształcenie doktorantów należy do największych wyzwań, ponieważ bardzo trudno jest prowadzić je w taki sposób, by doktorant uzyskał te kompetencje, na których nam najbardziej zależy. Istnienie wyodrębnionych szkół pozwala te doświadczenia przemyśleć i wprowadzić szereg narzędzi, które w rozproszeniu po prostu nie zadziałają.

9. Szkoły realnie odpowiadają za umiędzynarodowienie wraz z oferowaniem kształcenia w języku angielskim. Nie wiem, jakie standardy umiędzynarodowienia są na innych uczelniach, ale Uniwersytet Jagielloński przykładem do tego wielką wagę. Szkoły doktorskie są forpczą tego procesu, nie tylko poprzez przyjmowanie doktorantów zagranicznych, ale nade wszystko przez oferowanie kształcenia w środowisku międzynarodowym, z udziałem uczonych zagranicznych i w programach, które obejmują uczelnie o uznanej renomie spoza Polski. To pozwala dostosować warunki dla doktorantów zagranicznych, wspomagać polskich doktorantów, by lepiej rozumieli i korzystali z potencjału, jaki oferowany jest przez międzynarodowe środowisko.

10. Szkoły czynią z doktoranta realny podmiot życia akademickiego. Oczywiście, w zależności od rodzaju organizacji szkoły pewnie wygląda

to różnie, ale na przykład Uniwersytet Jagielloński bardzo duże znaczenie przypisuje temu, by doktoranci czuli się podmiotowo, by ich głos wybrzmiewał, by mieli odpowiednie formuły aktywności zarówno w szkołach, jak i uniwersytecie. Napiszę o czterech: 1) w szkołach są samorządy – rady doktorantów; 2) w niektórych jest samoorganizacja w postaci klubów doktorantów; 3) w innych doktoranci uczestniczą w procesie rekrutacyjnym jako obserwatorzy; 4) w działalnościach związanych z przyznawaniem środków doktoranci są obecni i ich głos jest uważnie słuchany. Podmiotowość doktoranta to także jego losy po ukończeniu szkoły doktorskiej. Ten element jest ważną częścią procesu, ponieważ powoduje, iż uczelnie w przyszłości na różne sposoby będą mogły wchodzić w interakcje z absolwentami szkół.

Na koniec, niejako nawiązując do przykładu z GC CUNY, warto spojrzeć na szkoły doktorskie jako załączki centrów studiów zaawansowanych. Tego jeszcze nie widać w tym momencie, ale, taką mam nadzieję, z czasem dojdziemy do takiego formatu. Bardzo tego życzę naszym uczelniom i nie mam wątpliwości, że te ośrodki akademickie, które utrzymują szkoły doktorskie w dłuższej perspektywie będą czerpać z tego formatu korzyści. Moje przekonanie płynie stąd, że z czasem polskie uczelnie zostaną wzmocnione najpierw promotorami zagranicznymi (to już się teraz dzieje i to z wielkim powodzeniem), kadrą kształcąca (także się to dzieje), a z czasem badaczami, którzy będą powiązani z centrami i tym samym wzmocnią polską naukę.

Czy te dziesięć argumentów można przekuć w argumenty za szkołami wydziałowymi? Pewnie tak, choć interesy wydziałów są rozbieżne, odpowiedzialność jest w innym obszarze, a punkty ciężenia ogniskują się na kształceniu na I i II stopniu oraz zatrudnieniu kadry badawczo-dydaktycznej i dydaktycznej. Trudno mi sobie wyobrazić, by istnienie kilkunastu szkół doktorskich prowadziło do zmiany jakościowej w obrębie kształcenia doktorantów i realizacji strategicznych celów uczelni w tym obszarze. Mogę się jednak mylić. Gdy chodzi o mój Uniwersytet, wyrażam nadzieję, że nowy Rektor, prof. Piotr Jedynak, podtrzyma dotychczasowy kierunek rozwoju szkół doktorskich, w tym przede wszystkim w kontekście zapisów w Strategii Uniwersytetu Jagiellońskiego, która w istotny sposób wskazuje na nie jako autonomiczne podmioty wysokiej jakości kształcenia przyszłych liderów w kluczowych obszarach badawczych.

Na koniec chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną niekwestionowaną korzyść, mianowicie wielowymiarową współpracę. Jestem niezmiernie wdzięczny członkom Kolegium Rektorsko-Dziekańskiemu, mojemu koleżeństwu z pozostałych szkół doktorskich UJ, a nade wszystko kierownikom programów doktorskich z mojej szkoły, jak również członkiniom i członkom Rady kierowanej przeze mnie szkoły za znakomitą współpracę, dzielenie odpowiedzialności i wsparcie. Pochodzimy z różnych wydziałów, lecz bez trudu znajdziemy wspólny język, by kształtować jedną z najważniejszych instytucji uczelni badawczej, bo tak widzimy szkoły doktorskie.

Collegium Civitas w Grupie Merito

Kolejna duża konsolidacja w grupie uczelni niepublicznych stała się faktem, gdy 10 września 2024 Collegium Civitas z Warszawy dołączyło do Grupy Merito, największej grupy uczelni niepublicznych w Polsce, do której należą Uniwersytety WSB Merito i Uniwersytet Dolnośląski DSW we Wrocławiu. Collegium Civitas zachowuje w tym towarzystwie markę, nazwę i osobowość prawną. To uczelnia o długiej tradycji, założona w 1997 roku przez badaczy z Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Od lat plasuje się w pierwszej dziesiątce Rankingu Uczelni Niepublicznych Fundacji Edukacyjnej Perspektywy. Oferuje studia prowadzone w języku polskim i angielskim oraz studia dwujęzyczne w zakresie: dziennikarstwa i nowych mediów, socjologii, stosunków międzynarodowych, zarządzania i prawa (w ok. 100 specjalnościach) oraz ponad 25 programów na studiach podyplomowych. Uczelnia ewaluowała dwie dyscypliny i ma prawo do doktoryzowania i habilitowania w zakresie nauk socjologicznych oraz nauk o polityce i administracji. Prowadzi też Uniwersytet Trzeciego Wieku.

– Dołączenie do Grupy Merito, a także standardów naukowych, których gwarantem jest Federacja Naukowa WSB-DSW Merito, pozwoli nam na sprostanie wyzwaniom przyszłości w obszarze szkolnictwa wyższego i nauki. Mając na względzie historię, dorobek i aspiracje Collegium Civitas oraz troskę o jej wysoką pozycję środowiskową i wpływ społeczny, uczelnia zachowuje odrębną markę, nazwę, siedzibę i podmiotowość prawną, obecnego rektora i kadrę prorektorską oraz kierowniczą. Będziemy także realizować założoną misję i wizję oraz główne cele strategiczne – wyjaśnia rektor Collegium Civitas, dr hab. Stanisław Mocek, prof. CC.

Grupa Merito gromadzi uczelnie działające w 11 miastach Polski, w tym 5 tworzących Federację Naukową Merito (Wyższe Szkoły

Bankowe w Gdańsku, Poznaniu, Toruniu i Wrocławiu oraz Dolnośląska Szkoła Wyższa). To one w wyniku ostatniej ewaluacji uzyskały prawo do używania nazwy „uniwersytet”, stając się drugim uniwersytem niepublicznym w Polsce – faktycznie to 5 uniwersytetów, gdyż każda uczelnia wchodząca w skład Federacji może używać nazwy „uniwersytet” (są to Uniwersytety WSB Merito i Uniwersytet Dolnośląski DSW). Uczelnie Grupy Merito kształcą obecnie ok. 100 tys. studentów.

– Procesy konsolidacji na rynku uczelni wyższych są od kilku lat coraz częstszą praktyką. Jest to odpowiedź m.in. na zmiany demograficzne, dynamikę otoczenia czy wyzwania dotyczące jakości kształcenia. Nasze 30-letnie doświadczenie we wspieraniu rozwoju uczelni to także osiem udanych konsolidacji. Jako największa grupa uczelni niepublicznych w Polsce, w dodatku ze statusem uniwersyteckim, jesteśmy gwarantem sprawnego zarządzania, elastycznego i szybkiego reagowania na zmieniające się otoczenie, wyzwania technologiczne, demograficzne czy polityczno-gospodarcze. Jestem pewien, że Collegium Civitas rozwinie się zgodnie z założeniami, łącząc swą historię, doświadczenie, a przede wszystkim nieoceniony kapitał ludzki – w postaci kadry naukowej, dydaktycznej i menedżerskiej – z zarządzanym i organizacyjnym know-how Grupy Merito – mówi Paweł Zygałowski, prezes Zarządu Centrum Rozwoju Szkół Wyższych Merito, które jest założycielem uczelni należących do Grupy Merito.

Najbliższym planem Collegium Civitas po dołączeniu do Grupy Merito jest wejście do Federacji Naukowej WSB-DSW Merito, co w krótkim czasie pozwoliłoby uczelni na uzyskanie statusu uniwersytetu.

(p)

Diamond Open Access – diamentowy otwarty dostęp w kwartalniku Studia z Polityki Publicznej SGH

W lipcu 2024 roku UNESCO ogłosiło utworzenie Global Diamond Open Access Alliance. Jest to inicjatywa, która ma promować nowe podejście do systemu publikowania naukowego, wolnego od obciążeń finansowych zarówno dla autorów i ich instytucji, jak i czytelników. Kwartalnik Studia z Polityki Publicznej jest od kilku lat wydawany przez Oficynę Wydawniczą Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie właśnie jako diamentowy Open Access. Dlaczego warto w nim publikować?

W ostatnich latach, wraz z rozwojem komercyjnych platform z publikacjami naukowymi, wymiana wiedzy nabrała mocno komercyjnego charakteru. Stało się tak nie tylko ze względu na rosnące ceny subskrypcji czasopism naukowych dostępnych na platformach takich jak Scopus czy Web of Science, ale także na wysokie opłaty dla autorów za publikowanie w tych czasopismach w formule Open Access.

APC (ang. *Article Processing Charge*) czyli opłata, którą autor musi wnieść za publikację swojego tekstu w formule Otwartego Dostępu sięga tutaj kilku tysięcy euro.

Tymczasem dzięki inicjatywie diamentowego Otwartego Dostępu wracamy do tradycji dzielenia się wiedzą bez żadnych finansowych ograniczeń. Wiedza naukowa jako dobro wspólne staje się w ten sposób bardziej dostępna.

Czasopisma wydawane jako diamentowy (inaczej platynowy) Otwarty Dostęp nazywane są również „no fee

journals”. Są one najczęściej finansowane ze środków publicznych, czyli przez instytucje badawcze, uniwersytety czy stowarzyszenia, dlatego nie pobierają żadnych opłat od autorów za publikowane artykuły. Są również indeksowane w ogólnoświatowej bazie otwartych czasopism, czyli Directory of Open Access Journals (DOAJ).

Co ważne, publikowanie w tych czasopismach spełnia warunki otwartości określone przez takich grantodawców, jak Narodowe Centrum Nauki czy inne instytucje zrzeszone w cOAlition S.

Kwartalnik Studia z Polityki Publicznej jest wydawany od 2014 r. Od czwartego numeru 2023 r. ukazuje się wyłącznie w formie elektronicznej na otwartej platformie econjournals.sgh.waw.pl/KSzPP/index. Ma obecnie 70 pkt na liście MEiN. Jest czasopismem **diamond Open Access**, co oznacza, że **wszystkie teksty ukazują się na otwartej licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa 4.0. Międzynarodowe (CC BY 4.0.)**. Są dostępne bez żadnych ograniczeń dla czytelników, zaś autorzy nie wnoszą opłat

za publikację. Kwartalnik jest również indeksowany w międzynarodowej bazie DOAJ.

Czasopismo publikuje **w następujących dyscyplinach naukowych**: ekonomia i finanse, nauki o polityce i administracji, nauki o rodzinie, nauki o zdrowiu, nauki socjologiczne, stosunki międzynarodowe. Natomiast tematyka publikowanych tekstów jest bardzo szeroka. Powinna

być oczywiście **związana z polityką publiczną**, ale może dotyczyć zarówno teorii znanych w tej dyscyplinie, np. modeli analizy w politykach, interesariuszy, modelowania problemów publicznych (wyzwań, ryzyk), dyskursów itp., jak i traktować o czynnikach instytucjonalnych współkształtujących politykę publiczną, o źródłach wpływających na kształtowanie polityk publicznych, czy też o źródłach wiedzy w wybranych politykach. Sporo tekstów poświęconych jest również politykom horyzontalnym i sektorowym. Są to przykładowo teksty o polityce

społecznej, polityce rynku pracy, gospodarczej, edukacyjnej, kulturalnej, zdrowia, o zagadnieniach regulacyjnych itp.

Czasopismo publikuje teksty po polsku i po angielsku. Szczególnie w tym ostatnim przypadku redakcja stara się zapraszać do współpracy recenzentów zagranicznych, gdyż ambicją kwartalnika jest oczywiście jego jak najszersze umiędzynarodowienie. Bardzo istotna jest kwestia przestrzegania światowych zasad publikowania naukowego, dlatego wszystkie teksty poddawane są podwójnej ślepej recenzji, co jest szczegółowo opisane na stronie czasopisma. Dodatkowo można na stronie zapoznać się z zasadami etyki wydawniczej. Zostały one spisane na podstawie zasad Committee on Publication Ethics (COPE) – Guidelines on Good Publication Practice.

Anna Anetta Janowska
Sekretarz redakcji Kwartalnika Studia z Polityki Publicznej
Pełnomocniczka Rektora SGH ds. Otwartej Nauki



Cyberbezpieczeństwo na serio

Dr hab. Dariusz Szostek, profesor Uniwersytetu Śląskiego, prawnik, dyrektor Centrum Cyber Science (wspólna jednostka Uniwersytetu Śląskiego, Politechniki Śląskiej, Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, NASK i Instytutu Łukasiewicza), kolejny raz przybliży meandry cyberbezpieczeństwa na uczelniach, tym razem skupiając się na nowych rozwiązaniach prawnych.

Uczelnie zobowiązane są do zapewnienia bezpieczeństwa informacji oraz bezpieczeństwa cybernetycznego, a także ciągłości działania, jak każdy podmiot administracji w Polsce. W chwili obecnej, na wniosek ministra nauki, przeprowadzane są audyty przez uczelnianych audytorów wewnętrznych m.in. z zakresu cyberbezpieczeństwa i zapewnienia ciągłości. Potraktujmy je tym razem bardzo, ale to bardzo poważnie, bo będą one stanowiły odnośnik dla działań władz rektorskich w najbliższych miesiącach, w związku z nowelizacją ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, ale również z bezpośrednio, odpowiedzialnością rektora za bezpieczeństwo informacyjne związanej z potencjalną karą finansową w wysokości do 600% wynagrodzenia.

W mojej ocenie, na wielu polskich uczelniach cyberbezpieczeństwo oraz bezpieczeństwo informacji nie są traktowane z należytą uwagą. Nie są wdrożone odpowiednie procedury, nie wszędzie zapewniono bezpieczeństwo pomieszczeń w odpowiednim stopniu, w tym z infrastrukturą informatyczną, a wynagrodzenia specjalistów IT odbiegają od mediany ich odpowiedników w administracji, o biznesie nie wspominając. Nawet jeżeli przygotowano odpowiednie dokumenty, to nadzór nad ich realizacją, czy też szerzej compliance, pozostawia wiele do życzenia. Jeżeli nawet jest na uczelni officer compliance (co stanowi rzadkość), to z reguły władze rektorskie proszą o łagodne działania, raczej w duchu edukacyjnym i napomnienia, niż rzeczywistego nadzoru wraz z pociąganiem do odpowiedzialności pracowników za naruszenia przepisów, wytycznych, procedur czy dobrych praktyk związanych z cyberbezpieczeństwem.

Jakiś czas temu, gdy na jednej z uczelni z powodu zdarzenia zewnętrznego (wskazywanego wcześniej w ramach wewnętrznej kontroli jako możliwe, potencjalne ryzyko) na kilka dni musiał zostać odłączony podstawowy system zarządzania uczelnią, banalizowano zdarzenie, wręcz wypowiadając się, że uczelnia na szczęście w związku ze zdarzeniem nie poniosła żadnych kosztów. Niestety poniosła, setki nieprzepracowanych godzin pracowników, nadgodziny specjalistów IT i ryzyko utraty części danych oraz poważne naruszenie ciągłości działania, konieczność uzupełniania danych kosztem odłożenia w czasie innych czynności przez pracowników itd. Powiedzmy sobie szczerze, w biznesie za takie podejście i zaniechanie nastąpiłaby zmiana zarządzie. Po lekturze nadciągających regulacji uważam, iż wkrótce na uczelniach będzie podobnie, i to w najlepszym interesie każdego rektora.

Ale do rzeczy. Od wielu miesięcy, jako naukowcy, którym zależy na bezpieczeństwie uczelni, podnosimy, czy to podczas konferencji, webinarów, spotkań z władzami uczelni, czy też z władzami ministerialnymi, konieczność poważnego podchodzenia do cyberbezpieczeństwa uczelni, ale także wprowadzenia i wyegzekwowania od pracowników wielu procedur i rygorów, dotychczas przyjmowanych w dużych korporacjach, wskazując przy tym, że nadchodzą nowe przepisy wymuszające odpowiednie działania. Efekt tych działań pozostawia wiele do życzenia, a czasu mamy coraz mniej lub wręcz wcale.

16 stycznia 2023 r. weszła w życie dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2022/2555 z dnia 14 grudnia 2022 r. w sprawie środków na rzecz wysokiego poziomu cyberbezpieczeństwa na poziomie UE, zmie-

nająca rozporządzenie UE 910/2014 i dyrektywę 2018/1972 oraz uchylająca dyrektywę 2016/1148 – tak zwana dyrektywa NIS2, uzupełniająca dyrektywę NIS. Implementacja do polskiego porządku prawnego powinna nastąpić 21 miesięcy po jej wejściu w życie, a więc 16 października 2024 r., zbieżnie z rozpoczęciem nowego roku akademickiego. Czy to nastąpi? Wątpliwe, projekt nowelizacji Ustawy o krajowym systemie cyberbezpie-

czeństwa jest dopiero konsultowany, musi potem przejść całą ścieżkę legislacyjną, łącznie z podpisem prezydenta. Nie zmienia to faktu, iż w związku z zaledwie miesięcznym vacatio legis przepisy dotkną uczelnie w bardzo krótkim czasie, przy bagażu wieloletnich zaniedbań, nikłym przygotowaniu organizacyjnym, braku środków, a często i kompetencji.

Dyrektywa NIS2 nakłada na kierownictwo podmiotów kluczowych i ważnych obowiązek zatwierdzania środków finansowych, a także zarządzania ryzykiem w obszarze cyberbezpieczeństwa. To kierownicy nadzorują ich wdrażanie i ponoszą odpowiedzialność określoną w dyrektywie. Przepisy szczegółowe implementowane są do krajowych systemów prawnych, w Polsce do ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa (analiza regulacji jest dokonywana na kanwie projektu przedłożonego do konsultacji). I właśnie w niej,

w załączniku I do ustawy, uczelnie obok innych jednostek sektora finansów publicznych, a także instytuty badawcze, Centrum Łukasiewicz i instytuty działające w ramach sieci Łukasiewicz, wymienione są jako podmioty kluczowe, a organizacje badawcze jako ważne (załącznik II), co w praktyce dla rektorów i dyrektorów organizacji badawczych zmienia wiele i nakłada obowiązek wprowadzenia bardzo rygorystycznych wymogów z normy ISO 27001 oraz ISO 22301, wdrożenie ich i wyegzekwowanie pod rygorem kary.

Kierownik podmiotu kluczowego lub podmiotu ważnego ponosi odpowiedzialność za wykonanie obowiązków w zakresie cyberbezpieczeństwa. W przypadku gdy kierownikiem podmiotu kluczowego lub ważnego jest organ wieloosobowy (np. kolegium rektorskie) i nie została wskazana osoba odpowiedzialna, odpowiedzialność ponoszą wszyscy członkowie organu. Ale nawet wskazanie takiej osoby nie zwalnia kierownika podmiotu kluczowego lub ważnego z odpowiedzialności, także w sytuacji, gdy niektóre z obowiązków zostały powierzone innej osobie za jej zgodą. Nie ma więc skutecznego sposobu przerwania odpowiedzialności z rektora lub dyrektora organizacji badawczej na inne osoby. Według projektu ustawy będzie ponosił on zawsze odpowiedzialność. To rektor lub dyrektor organizacji badawczych podejmuje decyzje w zakresie przygotowania, wdrażania, stosowania, przeglądu systemu zarządzania bezpieczeństwem w podmiocie i to według normy ISO 27001.

W wielu uczelniach nie ma odrębnych środków na cyberbezpieczeństwo. Po wejściu przepisów w życie rektor ma obowiązek zaplanować adekwatne środki finansowe na realizację obowiązków w zakresie cyberbezpieczeństwa. W części uczelni stan infrastruktury informatycznej czy bezpieczeństwa dostępu wymaga poważnej poprawy i inwestycji (wieloletnie zaniedbania). Brak ich w planach finansowych i niewdrożenie adekwatnych środków obciąży rektora. Według projektu to rektor będzie przydzielał zadania z zakresu cyberbezpieczeństwa w uczelni, ale także musi nadzorować ich wykonanie. W konsekwencji tzw. miękki nadzór może skutkować odpowiedzialnością rektora. To rektor będzie musiał zapewnić zgodność działania



foto: Magdalena Dymowska

uczelnia z przepisami prawa oraz wewnętrznymi regulacjami. I dodatkowo będzie musiał wszystko zorganizować tak, aby personel był świadomy obowiązków z zakresu cyberbezpieczeństwa i znał przepisy w tym zakresie. Czyli nie wystarczy szkolenie (zresztą często realizowane tylko dla zrealizowania), ale stanowczy nadzór nad kształtowaniem kompetencji kadry i egzekwowaniem realizacji zadań z tego zakresu. Ponadto jako podmiot kluczowy lub ważny, uczelnia będzie musiała zagwarantować świadomości i wiedzę w tym zakresie u swoich dostawców, w tym dostawców usług, i odpowiednio ten fakt udokumentować. Przy czym nie wystarczy podpisanie oświadczenia, iż „zapoznano się”. Konieczne będzie zapewnienie rzeczywistej wiedzy i świadomości. Raz do roku kierownik podmiotu kluczowego lub ważnego będzie musiał przejść szkolenie z zakresu wykonania obowiązków, które musi zostać udokumentowane. I znowu, nie chodzi o szkolenie dla odbycia szkolenia, lecz – jak już to funkcjonuje w dotychczas istniejących podmiotach kluczowych – w sposób bardzo restrykcyjny i traktowany poważnie.

Podmioty ważne oraz kluczowe będą ponosiły odpowiedzialność karną (finansową) za naruszenie ustawy (art. 73 projektu), także gdy zaniechanie lub incydent cyberbezpieczeństwa będą miały charakter jednorazowy. Ale ponadto zgodnie z projektowanym art. 73a karze pieniężnej może podlegać kierownik podmiotu kluczowego lub ważnego za naruszenia ustawy, także gdy zaniechanie będzie miało charakter jednorazowy. Kara ta jest niezależna od kary nakładanej na podmiot i może być wymierzona w kwocie nie wyższej niż 600% otrzymywanego wynagrodzenia, obliczanego według zasad obowiązujących przy ustalaniu ekwiwalentu za urlop. Ponadto organ do spraw cyberbezpieczeństwa może w drodze decyzji nałożyć na podmiot naruszający karę w wysokości od 500 do 100 000 zł za każdy dzień opóźnienia w wykonaniu czynności określonych w art. 53 ust 4 oraz ust. 5 pkt 2-7 projektu (niewdrożenia wskazanych czynności w celu zapobiegnięcia lub zaprzestania naruszenia przepisów ustawy).

Uczelnie stanowią bardzo ważny element nie tylko krajowego, ale także europejskiego systemu bezpieczeństwa. Na wielu z nich znajdują się strategiczne dane, projekty, a przede wszystkim duże łączy internetowe chętnie przejmowane dla dokonywania dalszych ataków. Mamy od dłuższego czasu podniesiony poziom bezpieczeństwa do Bravo. Na części uczelni poważnie podchodzi się do bezpieczeństwa, niestety na wielu tylko w formie zgodności „dokumentacji”, a nie rzeczywistych wdrożeń i nadzoru.

Nowe przepisy, co od dawna wiadomo w środowisku, wymuszają podniesienie cyberbezpieczeństwa na uczelniach i w innych organizacjach badawczych do znacznie wyższego poziomu. Będzie to jednakże wymagało olbrzymiego wysiłku i poważnego zaangażowania ze strony rektorów, którzy przejmą nad tym osobistą odpowiedzialność. Nie mnie oceniać, czy jest to słuszne działanie. Moje doświadczenie zawodowe jednak wskazuje, iż cyberbezpieczeństwo zaczyna być poważnie traktowane dopiero po poważnych incydentach lub gdy kierownictwo instytucji jest zagrożone karą. Tylko wtedy w odpowiedni sposób, zgodny z prawem, zostają wyegzekwowane stosowane procedury, a nadzór jest realny, a nie tylko w dokumentacji.

Czy uczelnie sobie z tym poradzą? Część tak. Jednakże wiele uczelni bez profesjonalnego wsparcia, niezależnego wdrożenia, kontroli, egzekwowania i pomocy w nadzorze nie będzie w stanie spełnić kryteriów bezpieczeństwa informatycznego. Wieloletnie przyzwyczajenia, brak świadomości zagrożenia i podejście wielu naukowców oraz pracowników administracji, powiedzmy ogólnie: dosyć odległe od wymogów ustawy, będzie dla wielu uczelni prawdziwym wyzwaniem. Wydaje się, iż wspólne działania KRASP, Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwa Cyfryzacji mogą nieco pomóc, ale nie zastąpią odrobienia zadania przez władze instytucji naukowych, zwłaszcza rektorów, np. w zakresie infrastruktury i bezpieczeństwa systemów, pomieszczeń itd.

Jak do tego podejść? Jak wdrożyć procedury, jakie zabezpieczenia np. w komunikacji kierownictwa (stosowanie bezpiecznych środków komunikacji elektronicznej, uwierzytelnienie wieloskładnikowe, czego wymaga projekt ustawy), to już temat na odrębny artykuł.

Jak to będzie wyglądało, dopóki nie będzie istotnego incydentu na uczelni? W większości jednostek tak, jak dotychczas. A gdy nastąpi, wówczas kontrola wykaże zgodność (lub nie) systemów zabezpieczeń i poziom rzeczywistego wdrożenia normy ISO 27001. Zgodnie z NIS czy NIS2 rektor nie ponosi odpowiedzialności za ataki i incydenty na uczelni. Będzie ponosił za niewdrożenie i nieegzekwowanie procedur. Dotychczas w podmiotach krytycznych, gdy następował istotny incydent, kontrola następcza była bardzo drobiazgową i poważną. A po niej w bardzo krótkim czasie następowały i inwestycje w infrastrukturę, i wprowadzanie procedur, i ich wdrożenia oraz egzekwowanie.

Opóźnione limity

Uruchomienie kierunku lekarskiego wymaga zgody ministra zdrowia lub nauki, zaś liczbę studentów pierwszego roku określa minister zdrowia. Zwykle limity przyjęć na konkretne uczelnie znane były około połowy lipca, ale nie tego roku. Minister Przemysław Czarnek udzielił zgody na uruchomienie kierunku lekarskiego kilku uczelniom, które nie uzyskały pozytywnej oceny Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Obecne władze Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego zleciły ponowną ocenę tych uczelni. Wbrew stanowczym zapowiedziom, minister nauki nie odbiera uprawnień tym, które pozytywnej oceny nie otrzymały, ale minister zdrowia nie przyznaje im limitów przyjęć, co oznacza, że nie mogą one przeprowadzić w tym roku rekrutacji. Limitów nie otrzymały jak na razie: Uniwersytet w Siedlcach, Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu i Nowym Targu, Poznańska Akademia Medyczna Nauk Stosowanych im. Księcia Mieszka I (niepubliczna) oraz Społeczna Akademia Nauk w Łodzi. Trzy z tych uczelni, siedlecka, sądecka i poznańska, rozpoczęły kształcenie lekarzy w ubiegłym roku i będą je kontynuowały.

Po ponownej kontroli PKA limity przyjęć na studia lekarskie w roku akademickim 2024–25 uzyskały: Akademia WSB (60 miejsc), Uniwersytet Kaliski (60), Politechnika Wrocławska (40) oraz filia

w Bielsku-Białej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach (36 miejsc na studia stacjonarne i 17 na niestacjonarne).

Limity przyjęć minister zdrowia określa w rozporządzeniu. Pierwsza jego wersja z 16 lipca wymieniała 30 uczelni, które mogą realizować studia lekarskie, w tym Akademię Tarnowską i Politechnikę Bydgoską. Projekt nowelizacji tego rozporządzenia z 8 września wskazuje już 38 podmiotów, przy czym rekrutację na kierunek lekarski na rok 2024/25 na podstawie przyznaných limitów przeprowadzą (w większości już ją zakończyły) 33 uczelnie. W tej grupie są 2 politechniki, tyle samo uczelni zawodowych, a także 7 uczelni niepublicznych.

Studia lekarskie w Polsce w roku akademickim 2024–2025 może podjąć 9880 osób, w tym 6278 na studiach stacjonarnych w j. polskim, 101 cudzoziemców na studiach stacjonarnych w j. polskim, 1712 na studiach niestacjonarnych w j. polskim i 1789 na studiach stacjonarnych w języku obcym. Na kierunku lekarsko-dentystycznym w 11 „starych” uniwersytetach medycznych studia może podjąć 1410 osób, w tym 1122 w j. polskim i 288 w innym języku. Po raz pierwszy podejmuje się kształcenia dentystów Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

(p)

Rozmowa z Dariuszem Wiczką, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego

Skończy się eldorado

Wszyscy skupiliśmy się teraz na budżecie krajowym, tymczasem w stanowczo zbyt małym stopniu wykorzystujemy, to znaczy polscy naukowcy, dostępne dla nauki środki europejskie. W tym obszarze mamy naprawdę wiele do zrobienia, bo tu jesteśmy ewidentnie płatnikiem do budżetu Unii Europejskiej. Kwestia otwarcia polskiej nauki jest dziś fundamentalna. Musimy szukać środków na zewnątrz, tam gdzie one na nas czekają.

Czy Akademia Piotrkowska ma obecnie rektora?

To kolejna po Warszawskim Uniwersytecie Medycznym uczelnia, która miała problemy proceduralne z wyborem rektora. Ze względu na błędy formalne, w tym sposób zmiany statutu i wynikające stąd kolejne wadliwe procedury, należało cały proces wyborczy powtórzyć. Wkroczyłem jako organ nadzoru, wskazałem uchybienia, jakie popełniono w uczelni, i poprosiłem o ich skorygowanie oraz ponowne przeprowadzenie wyborów rektorskich.

Czy jest pan zdecydowany odwołać prof. Piotra Borka ze stanowiska rektora Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej?

Wpływały do nas liczne skargi na działania pana rektora Piotra Borka. Po ich przeanalizowaniu uznaliśmy, że nie mamy wyjścia; jeśli zapadły prawomocne wyroki wskazujące na poważne naruszenie prawa przez rektora Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej, mamy obowiązek wdrożyć procedurę jego odwołania. Wysłaliśmy informację na ten temat rektorowi oraz prośby o zaopiniowanie tej sytuacji do Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Czekamy na odpowiedź.

Jak by pan określił projekt budżetu nauki i szkolnictwa wyższego na rok 2025?

Ostatnie wydarzenia pokazały, że projekty często nie pokrywają się z rzeczywistością. Mamy teraz na uwadze kwestie powodziowe i stale monitorujemy sytuację. Premier Donald Tusk już przeznaczył 2 miliardy złotych na najpilniejszą pomoc. Nikt poszkodowany nie pozostanie bez pomocy i to jest dzisiaj najważniejsze. My – jako ministerstwo – być może będziemy musieli zwiększać subwencje na zapomogi dla studentów, może będą też potrzebne remonty zniszczonej infrastruktury na uczelniach.

Co do budżetu, możemy mieć pretensję, że nie rośnie w takim stopniu, jakbyśmy sobie życzyli, zarówno środowisko naukowe, jak i ja. Każdy minister narzeka, że budżet jego resortu jest za mały. Aby ocenić budżet nauki na rok 2025, trzeba spojrzeć na rok 2024, gdy nastąpił 22-procentowy wzrost nakładów na naukę. Teraz powiększamy tę kwotę o kolejne 8 procent. Trzeba jednak sobie zdać sprawę, że jest wojna, że klu-

czową sprawą jest bezpieczeństwo i obronność, a za tym idzie bezprecedensowo wysoki budżet na obronność, który sięga 4,7 procent PKB. Pamiętajmy też, że to jest dopiero projekt budżetu. Już składałem wnioski w sprawie niektórych punktów naszej części, m.in. w zakresie zwiększenia finansowania Narodowego Centrum Nauki. Będę zabiegał o zdobycie wyższych środków w miarę możliwości państwa. Trzeba do tego podejść ze spokojem. Musimy wiedzieć, na co potrzebne są te środki. Jestem w kontakcie z dyrektorem i Radą NCN. Wszyscy skupiliśmy się teraz na budżecie krajowym, tymczasem w stanowczo zbyt małym stopniu wykorzystujemy, to znaczy polscy naukowcy, dostępne dla nauki środki europejskie. W tym obszarze mamy naprawdę wiele do zrobienia, bo tu jesteśmy ewidentnie płatnikiem do budżetu Unii Europejskiej. Kwestia otwarcia polskiej nauki jest dziś fundamentalna. Musimy szukać środków na zewnątrz, tam gdzie one na nas czekają.

Ustawa o Polskiej Akademii Nauk, którą zaprezentował rząd, jest powszechnie krytykowana w środowisku PAN. Czy to prawda, że reforma PAN jest jednym z kamieni milowych KPO?

Już wykorzystujemy dla nauki środki FENG. Programy finansowane z tych środków prowadzą już choćby NCBR i FNP. Zatem mamy do nich dostęp niezależnie od reformy PAN. Jednego z drugim bym nie łączył. Natomiast z pewnością reforma PAN jest potrzebna, o czym świadczą liczne wcześniejsze próby takiego przedsięwzięcia. Stąd nasza inicjatywa. Polska Akademia Nauk powinna być silnym podmiotem w strukturze polskiej nauki, w grupie podmiotów, które podlegają Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego, bo przecież to nie tylko korporacja 350 uczonych, ale także 69 instytutów, 10 tysięcy zatrudnionych ludzi. Warto, aby te instytuty współpracowały z innymi jednostkami naukowymi, realizowały wspólne projekty, byśmy widzieli efekt synergii. Chcemy, aby w Akademii bardziej słyszalny był głos młodych badaczy, pracowników instytutów PAN. Nie robimy tu żadnej rewolucji.

Czego dotyczyła dyskusja podczas Zgromadzenia Ogólnego PAN?

Omawialiśmy projekt rządowy, który został już opublikowany na stronach Rządowego Centrum Legislacji. Jestem

zwolennikiem dyskusji o konkretnych zapisach, artykułach, a nie czytania protest songów, że nie, bo nie. Tak się w Polsce prawa nie stanowi. Od tego są odpowiednie instytucje wyposażone w prawo do inicjatywy ustawodawczej. Podmioty, które podlegają prawu, nie mogą pisać ustaw dla siebie. Od tego są rząd i Parlament RP. Gdyby każde środowisko pisało ustawy dla siebie, nie byłoby dobrze. W przypadku PAN mieliśmy już cztery różne projekty, a jeszcze więcej koncepcji. Spróbowaliśmy to zebrać w taki sposób, aby powstał dokument kompromisowy, służący rozwojowi Akademii, a jednocześnie uwzględniający interesy państwa i społeczeństwa, które potrzebuje zaplecza eksperckiego w nauce. Jestem pewien, że nasz projekt idzie w dobrą stronę, popiera go też część ludzi Akademii, choć nie zawsze publicznie to wyrażają, co może świadczyć o pewnej atmosferze w samej PAN.

Jesteśmy blisko zakończenia oceny uczelni, które otrzymały prawo kształcenia na kierunku lekarskim. Wydaje się, że zakończenie tego procesu nie będzie miało tak ostrych skutków, jak początkowo sądzono.

Kwestia utraty uprawnień ma charakter formalno-prawny. Nielatwo podjąć taką decyzję. Przyczyną obecnej sytuacji jest taka, że mój poprzednik wyraził zgodę na utworzenie kierunku lekarskiego na kilku uczelniach, mimo negatywnej opinii Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Pierwszy raz mieliśmy z czymś takim do czynienia. W związku z tym moje stanowisko było od początku jednoznaczne. Podjęliśmy decyzję, aby przeprowadzić ponowną ocenę tych uczelni, które ostatnio uzyskały prawo do uruchomienia kierunku lekarskiego. Te, które uzyskają pozytywną opinię, dostaną limity przyjęć. Natomiast te, które ponownie otrzymają ocenę negatywną, nie uruchomią studiów lekarskich, przynajmniej nie teraz. Faktycznie oznacza to, że nie dostaną limitów przyjęć na rok 2024/25, zatem nie uruchomią kształcenia na tym kierunku, ale jeszcze nie będziemy zabierali im uprawnień. Te podmioty dostały od PKA wytyczne, co należy zrobić, aby spełnić wymagane standardy. Jeśli dopracują wszystkie szczegóły zgodnie z zaleceniami ekspertów, być może w przyszłym roku otrzymają limity przyjęć, a jeżeli ich nie zrealizują, utracą uprawnienia. Mamy ciągłość władzy. Jeżeli jeden minister przyznał uprawnienia, to drugi nie może ot tak sobie ich odbierać. Narażamy się wtedy na sądy, roszczenia, odszkodowania. Uczelnie mówią nam o inwestycjach, które poczyniły w związku z zgodą na uruchomienie kierunku lekarskiego, to 50, to 80 milionów. Nie możemy tego wysiłku i tych środków publicznych lekceważyć. Staramy się załatwić sprawę tak, by publiczne środki nie zostały zmarnowane, a równocześnie zabezpieczyć jakość kształcenia lekarzy i interes przyszłych studentów. Generalnie uważam, że kształcenie lekarzy w małych ośrodkach, gdzie nie ma zaplecza technicznego, materialnego i ludzkiego, to błąd. Należało raczej rozwijać duże ośrodki, z tradycją naukową i kliniczną. Jednak to się już stało i musimy z tego wybrnąć, minimalizując straty, zabezpieczając interes państwa i studentów. Obszar kształcenia lekarskiego i kierunków medycznych jest bardzo mocno ujęty w Krajowym Planie Odbudowy; mamy dwa programy – o wartości 1,3 miliarda złotych i ponad 3 miliardy złotych – na podniesienie standardów kierunków lekarskich. Myślę, że te środki powinny w pierwszym rządzie trafić do renomowanych uczelni, by poprawiły swoje zaplecze i zwiększyły możli-



FOR. MANSW

Dariusz Wieczorek (ur. w 1965 r.) jest politykiem i samorządowcem. Absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Szczecińskiej oraz studiów podyplomowych z zakresu organizacji i zarządzania gospodarką turystyczną oraz prawa administracyjnego i samorządowego. Był wiceprezydentem Szczecina i radnym Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego II, IV i V kadencji. Był prezesem zarządu Energetyki Szczecińskiej, członkiem zarządu spółki akcyjnej Enea, a także dyrektorem oddziału przedsiębiorstwa Enea Operator. Od 2019 roku jest posłem na Sejm RP. W Sejmie IX kadencji był członkiem Komisji Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej oraz Komisji do spraw Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych, a także sekretarzem Klubu Parlamentarnego Lewicy. Jest wiceprzewodniczącym Nowej Lewicy. Od 13 grudnia 2023 r. pełni funkcję ministra nauki.

wości w zakresie kształcenia lekarzy, ale także tam, gdzie brakuje różnych elementów wynikających z wytycznych dotyczących jego jakości.

Wielokrotnie mówił pan o potrzebie zapewnienia wysokiej jakości kształcenia i możliwości likwidacji tych uczelni, które nie realizują obowiązujących standardów. Czy podjęto jakieś działania w tym kierunku?

W tej chwili minister nie ma możliwości likwidacji uczelni, niezależnie od tego, co by się tam działo, co widać na przykładzie Collegium Humanum. Natomiast wprowadziliśmy do projektu ustawy prawo o szkolnictwie wyższym i nauce odpowiednie zapisy, które umożliwią lepszą kontrolę jakości kształcenia. Chcemy w pierwszym rządzie wzmocnić Polską Komisję Akredytacyjną, zwiększając o połowę, czyli do 150 osób, liczbę jej członków, bo przy takiej liczbie uczelni i kierunków, jaką mamy dzisiaj – ponad 300 uczelni i około 10 tysięcy kierunków – sto osób to za mało, by sobie z tym poradzić. Mamy około 300-400 kontroli PKA rocznie, co przy aktualnej liczbie kierunków nie zapewnia jakości kształcenia przy obecnej formie nadzoru. Skończy się też eldorado z zakładaniem uczelni, podobnie ze

studiami podyplomowymi – jeśli ktoś chce prowadzić studia podyplomowe, musi prowadzić kształcenie pierwszego stopnia w danej dyscyplinie i na danym kierunku. Dzisiaj musimy prosić założyciela o likwidację takiej uczelni, która nie respektuje żadnych norm jakości kształcenia, a sami nie mamy żadnych skutecznych możliwości reakcji. Zamierzamy wzmocnić rolę nadzorczą ministerstwa i odwrócić sytuację – chcemy ministrowi dać prawo natychmiastowej likwidacji uczelni, która nie dba o jakość kształcenia i nagminnie łamie obowiązujące w tym zakresie prawo.

Pani minister Maria Mrówczyńska zapewne mówiła panu, jak Uniwersytet Zielonogórski traci na konsolidacji z sulechowską uczelnią zawodową. Co z konsolidacjami?

Uniwersytet podjął wówczas taką autonomiczną decyzję i ponosi jej skutki. Jednak rozumiem, że nie wszystko wówczas dało się przewidzieć, że to było ratowanie dorobku uczelni właściwie bez perspektyw, czyli upadającej. Będziemy się starali ten problem rozwiązać. Natomiast strategicznie konsolidacje są niezbędne, mamy zbyt wiele zbyt małych uczelni. Nasza pozycja na rynku międzynarodowym wynika także z tego rozdrobnienia. Nie będziemy nikogo do łączenia się zmuszać, natomiast będziemy stwarzać zachęty, aby to się opłacało. Konsolidacja uczelni z określonego miasta na pewno jest istotna z punktu widzenia efektywności działania i nie chodzi tylko o zmniejszenie kadry administracyjnej i obsługi, ale również wykorzystanie potencjału, w tym laboratoriów. Mamy teraz w wielu miastach rozproszony potencjał w różnych dyscyplinach, podobne laboratoria działające niemal w izolacji czy konkurujące ze sobą o środki i kadry. Konsolidacje zapewne dałyby efekt kumulacji, co przełoży się na lepsze wyniki, skuteczność naukową i edukacyjną. Zapewne dotyczy to także efektywności wykorzystania środków finansowych, szczególnie że uczelnie, które zdecydowały się na konsolidację, mogą liczyć na dodatkowe 10 procent subwencji.

Ostatnio nabrzmiał znany od lat problem wiz studenckich.

To stary problem, który w ostatnich latach nam nabrzmiał, co skutkowało rozwiązaniami zaproponowanymi przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a oprotestowanymi przez środowisko akademickie. Powstają w tej chwili dwa rozwiązania, jedno u nas w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym, drugie w MSZ; mam nadzieję, że będą się uzupełniały. Mają na celu pogodzenie interesów uczelni i studentów zagranicznych, którzy chcą się w Polsce kształcić, z bezpieczeństwem granic. Widać wyraźnie, że dla wielu uczelni studenci zagraniczni to nie kwestia prestiżu, ale wyłącznie finansowa – przyjmują, ile się da i skąd się da, a gdy zapłacą, nie interesuje ich, co się z nimi stanie. Taka postawa uczelni musiała spowodować reakcję państwa. Szukamy najlepszych rozwiązań, które zabezpieczą interesy tych, którzy naprawdę chcą u nas studiować, a równocześnie zabezpieczyć nas przed tymi, którzy za pewną opłatę na studia chcą przetrzymać wizę i dostać się do strefy Schengen – to bardzo szeroka brama. Być może NAWA mogłaby odgrywać większą rolę w weryfikacji tych spraw. Bylibyśmy gotowi przyznać dodatkowe środki na ten cel.

Kiedy poznamy zasady tworzenia nowej listy czasopism, samą listę i zasady ewaluacji nauki w latach 2024-25? Jesteśmy w trzecim roku okresu oceny...

Rzeczywiście, wciąż nie znamy na sto procent tego mechanizmu. Nigdy jeszcze nie udało się ustalić zasad oceny zawczasu, czyli przez rozpoczęciem okresu oceny. Reguły ewaluacji obecnego okresu są już bliskie ogłoszenia. Zmiany nie mogą w tym wypadku być rewolucyjne właśnie z tego względu, że jest już

na to za późno. Natomiast pilnym zadaniem dla środowiska, KRASP, RGNiSW, a zwłaszcza Komisji Ewaluacji Nauki, będzie przygotowanie na koniec roku 2025 zasad oceny okresu 2026-29. Taki jest plan, takie są oczekiwania. W tym wypadku zmiany będą zapewne rewolucyjne, bo takie są postulaty środowiska. Musimy odejść od powszechnie krytykowanej punktozy. Zapewne nie ma idealnego rozwiązania, trzeba będzie pójść na liczne kompromisy, ale mam nadzieję na wypracowanie modelu, który zostanie powszechnie zaakceptowany.

Jakie i kiedy rezultaty ma przynieść pański program dotyczący remontów i budowy akademików?

Studiowanie to nie tylko zajęcia na uczelni. Prawdziwe życie studenckie odbywa się w akademikach, wiem to z własnego doświadczenia. Zatem to jest nasz priorytet i to zostało pokazane w naszych pierwszych decyzjach finansowych w 2023 roku. W tej chwili jesteśmy na końcowym etapie przygotowania ustawy o funduszu dopłat mieszkaniowych, który ma wspomagać budowę mieszkań komunalnych, a jego część mogłaby być przeznaczona na remonty starych i budowę nowych domów studenckich. Dyskutujemy w tej chwili o wysokości środków finansowych i części, jaka mogłaby być przeznaczona na akademiki. Proponujemy wzrost o 50 procent, a zatem fundusz dysponowałby ok. 4 miliardami złotych, z których 10 procent, czyli 400 milionów złotych rocznie, można będzie wykorzystać na poprawę warunków w starych domach studenckich i budowę nowych. Ostateczna decyzja zapadnie jednak przy zatwierdzaniu budżetu. Zapotrzebowanie na ten cel wynosi ok. 2,5 miliarda złotych, takie uczelnie mają plany w zakresie remontów i budowy akademików w najbliższych latach. Zatem w ciągu czterech-pięciu lat funkcjonowania tego systemu możemy znacznie poprawić sytuację mieszkaniową studentów.

Ile miejsc w akademikach mamy, a ile przyniesie ten program?

Obecnie mamy około 100 tysięcy miejsc w akademikach, z czego 30 tys. do remontu, a realizacja tego programu dałaby w ciągu kilku lat kolejne 20 tysięcy.

Kiedy poznamy projekt nowej ustawy i co ważnego będzie zawierać, zmieniać?

Jesteśmy w końcowej fazie uzgodnień międzyresortowych i chciałbym, aby jeszcze we wrześniu pojawił się on w wykazie prac legislacyjnych. Głównym motywem jest poprawa jakości kształcenia, o tym już mówiliśmy. Na podstawie rozmów ze środowiskiem akademickim poprawiamy i precyzujemy wiele rzeczy, które nam zgłaszało środowisko. Ukróćmy wspomniany proceder fabryk dyplomów, nie będzie też możliwości prowadzenia zajęć on-line powyżej 50 procent ECTS wskazanych w programie. Studia podyplomowe zostaną włączone do zakresu oceny programowej PKA i w przypadku negatywnej oceny takie studia będą zamykane. Zmieniamy też kompetencje rad uczelni w wyborach rektora – chcemy, aby nie brały w tym udziału w żadnej formie. Był z tym problem w niektórych uczelniach podczas ostatnich wyborów.

Czy pozostaje mocna władza rektora?

Chcemy, żeby rektor miał duże kompetencje, żeby był skuteczny, ale zarazem chcemy zdemokratyzować uczelnie, bo widzimy niedostatki w tym zakresie spowodowane zapisami obecnej ustawy. W tym celu zwiększamy kompetencje organów kolegialnych, zwłaszcza senatów.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Modelowanie zjawisk i procesów biologicznych. Komputerowe symulowanie światów. Modele społeczeństw i modele jednostki. Filozoficzne modele świata. Gry wojenne... Nauka często operuje na modelach, co ma swoje dobre i złe strony (kwestionuje się na przykład użyteczność modeli klimatycznych i powstających za ich pomocą prognoz).

Prezentujemy w tym numerze kilka artykułów autorstwa badaczy z różnych dyscyplin (fizyki, filozofii, prawa), którzy wykorzystują w pracy badawczej modelowanie zjawisk i procesów występujących w przyrodzie czy społeczeństwie lub zajmują się refleksją teoretyczną na ten temat.

Szczególnie interesowały nas kwestie: Do czego potrzebujemy modeli w nauce? Jak się je konstruuje? Jaka jest ich przydatność i efektywność w poszczególnych dziedzinach nauki? Jakie błędy i niebezpieczeństwa są związane z używaniem modeli?

Red.

Krzysztof Brzechczyn

Modele w humanistyce

Zbliżony status do modeli stosowanych w nauce mają utopie społeczne, projekty polityczne, a nawet teksty popkultury. Piosenka *Imagine* Johna Lennona przedstawia nowy świat społeczny pozbawiony w porównaniu z tym aktualnie istniejącym pewnych cech: własności, religii i państw narodowych. Gdy czynniki te zostaną usunięte z życia społecznego – tak można rekonstruować przesłanie Lennona – zapanuje powszechne braterstwo i dobrobyt.

Pojęcie modelu w filozofii i metodologii nauki stosowane jest w nader wieloznaczny sposób, a różnice te pogłębiają się, gdy rozpatrzmy odmiany modelowania stosowane w rozmaitych dziedzinach nauk społecznych i humanistycznych. Najogólniej rzecz biorąc, modelem można nazwać pewien uproszczony fragment rzeczywistości. Jednakże konsensus ten się kończy, gdy zaczniemy analizować sposób i przedmiot tegoż upraszczania. Przykładowo wyróżnić można – a wymieniona lista bynajmniej nie jest pełna – modele symulacyjne, idealizacyjne czy ikonizacyjne. Model symulacyjny, zwany również prototypem, różni się może od modelowanego obiektu wielkością, lecz zachowując pewne parametry oryginału, może być zamiast niego poddawany badaniom, doświadczeniom lub eksperymentom. Tak pojęte modele wykorzystuje się w produkcji przemysłowej, np. przed wyprodukowaniem samochodu nowej marki przeprowadza się badania na jego prototypie.

Modele idealizacyjne są świadomym uproszczeniem i deformacją bardziej złożonych obiektów w celu wyjaśnienia ich dotychczasowych stanów/zachowań czy sformułowania prognoz. Przykładem konstrukcji takich modeli jest punkt materialny w fizyce, model zrównoważonego rynku w ekonomii czy model w pełni racjonalnego podmiotu stosowany w naukach społecznych. Model ikonizacyjny jest symboliczną reprezentacją danego zjawiska. Powszechnie używanymi są mapy odwzorowujące określony wycinek powierzchni Ziemi. Wyróżniamy więc mapy fizyczne, polityczne, ekonomiczne, drogowe, turystyczne itp.

Modelowanie w praktyce naukowej może wynikać z różnych źródeł. Stać za nią mogą przekonania ontologiczne zakładające, że zewnętrzna rzeczywistość jest obiektywnie zróżnicowana na istotę i akcydensy, co wymusza poznawanie jej za pośrednictwem modeli. Modelowanie wynikać może z przyczyn epistemologicznych – nauce stawiane są rozmaite cele poznawcze, co wymusza wybór badania jednych aspektów fragmentu rzeczywistości społecznego kosztem pozostałych. Taka selek-

cja wynikać może również z przyczyn antropologicznych: ograniczona natura władz poznawczych człowieka oraz skończony czas aktywnego życia narzucają pewien wybór zainteresowań badawczych. W naukach stosowanych typ i rodzaj stawianych przez społeczeństwo czy państwo celów badawczych wymusza koncentrację na tych aspektach rzeczywistości przyrodniczej bądź społecznej, które przynoszą wymierne korzyści społeczne, kosztem zaniechania eksplorowania innych jej aspektów. Wreszcie sama społeczna organizacja nauki: podział i wyodrębnienie dyscyplin naukowych oraz konstytuujących je metod badawczych sprawia, że poszczególne dyscypliny nauk społecznych bądź humanistycznych (historia, politologia, socjologia) ex definitione badają określony i w określony sposób wycinek rzeczywistości społecznej.

Ponadto wyróżnić można aksjologiczne źródła modelowania. Zbliżony status do modeli stosowanych w nauce mają utopie społeczne, projekty polityczne, a nawet teksty popkultury. Piosenka *Imagine* Johna Lennona przedstawia nowy świat społeczny pozbawiony w porównaniu z tym aktualnie istniejącym pewnych cech: własności, religii i państw narodowych. Gdy czynniki te zostaną usunięte z życia społecznego – tak można rekonstruować przesłanie Lennona – zapanuje powszechne braterstwo i dobrobyt. Utwory artystyczne tym się różnią od projektów politycznych, że pozbawione są wymiaru aplikacyjnego – nie wiadomo jak je wprowadzić w praktyce i do jakich doprowadzą skutków. Dzięki temu wizje świata zawarte w utworach artystycznych łatwo odróżnić od naukowych. Gorzej jednak, gdy zawarta utopia społeczna wyrażona jest w języku naukowym i jednocześnie umyka procedurze falsyfikacji.

Jak się konstruuje modele

Ta różnorodność modeli stosowanych w nauce sprawia, że nie ma jednej metody ich konstruowania. W referowanym tutaj ujęciu inspirowany jestem podejściem idealizacyjnej teorii nauki sformułowanej przez Leszka Nowaka, jednego z założycieli

Poznańskiej Szkoły Metodologicznej. Można wyróżnić cztery stadia konstrukcji modelu. W pierwszym stadium badacz, przyjmując określoną perspektywę ontologiczną, odróżnia czynniki, które wpływają na badane zjawisko od tych, które nie wywierają nań wpływu. Następnie na podstawie przyjętej perspektywy teoretycznej określa, jakiego typu czynniki z zakładanej przez niego perspektywy ontologicznej są główne, a jakie uboczne. W trzecim stadium badacz dokonuje hierarchizacji mocy wpływów w obrębie czynników głównych i ubocznych.

Wreszcie w czwartym stadium badacz formułuje twierdzenie ukazujące zależność badanego zjawiska od jego głównego (głównych) czynnika. Twierdzenie to ma postać okresu warunkowego. W jego poprzedniku występują kontrfaktyczne założenia, na których mocy pomija się wpływ czynników uznanych przez badacza za uboczne, zaś w następniku poszukiwana zależność. Otrzymane twierdzenie idealizacyjne obowiązuje zatem tylko pod określonymi założeniami idealizującymi, i to pod wszystkimi z nich. Z tego powodu budowana metodą modelową teoria naukowa przypomina bardziej karykaturę niż fotografię.

To ostatnie stadium nie występuje w metodzie typowo-idealnej pochodzącej od Maxa Webera. Zasada się ona na takim konstruowaniu pojęć naukowych, że obecne w nich cechy – w porównaniu z empirycznymi obiektami – występują w maksymalnym bądź minimalnym natężeniu. Typy idealne konfrontuje się z obiektami empirycznymi, które klasyfikuje się na podstawie dystansu (lub bliskości) pomiędzy nimi a danym typem idealnym oraz wyprowadza hipotezy wyjaśniające zachowanie badanych obiektów. Typy idealne pełnią więc heurystyczną rolę w formułowaniu hipotez i budowie teorii. Jeżeli natomiast pewne obiekty empiryczne są zbyt odległe od typu idealnego, wtedy zawęża się jego zakres obowiązywania i tworzy się nowy konstrukt lub tak modyfikuje wyjściowy, aby obejmował wyłączone przypadki.

Przydatność modeli w naukach humanistycznych

Zobrazujmy te stwierdzenia krótkim przykładem z historii sowietologii. W latach 50. ubiegłego wieku Zbigniew Brzeziński i Carl Friedrich sformułowali typ idealny społeczeństwa totalitarnego obejmujący sześć powiązanych ze sobą cech. Były to: oficjalna, wszechobejmująca ideologia; kierowana przez dyktatora monopartia; system terrorystycznej kontroli policyjnej obejmujący nie tylko społeczeństwo, lecz i członków partii; monopol kontroli środków społecznej komunikacji, środków przymusu oraz gospodarki. Na podstawie tak skonstruowanego typu idealnego totalitaryzmu autorzy sformułowali tezę o trwałej atomizacji społeczeństwa sowieckiego i niezagrożonego wewnętrznymi protestami panowania Partii.

Tak sformułowany typ idealny totalitaryzmu teoretycznie sterował pracami historycznymi i politologicznymi opisyjącymi dzieje społeczeństwa rosyjskiego w okresie panowania Stalina. Głównym czynnikiem przekształceń społecznych – przede wszystkim likwidacji prywatnego rolnictwa prowadzącego w latach 30. ubiegłego wieku do klęski głodu – była ideologia marksistowska, a przeprowadzane czystki partyjne w KPZR, propagandowo przedstawiane jako eliminacja wrogów klasowych i szkodników, miały być rezultatem realizacji ideologicznej wizji, której ofiarami padały niejednokrotnie przypadkowe osoby. Fundamentalna rola w tym procesie przypadać miała Stalinowi, który w pełni kontrolował proces totalitaryzacji społeczeństwa sowieckiego.

Jednakże powstania w Gułagu oraz protesty 1956 roku w Polsce i na Węgrzech podważyły tezę o trwałej atomizacji totalitarnych społeczeństw typu sowieckiego. W zachodniej sowietologii doprowadziło to do dwójakiej reakcji. Jedną z nich było ograniczenie zakresu obowiązywania typu ideal-

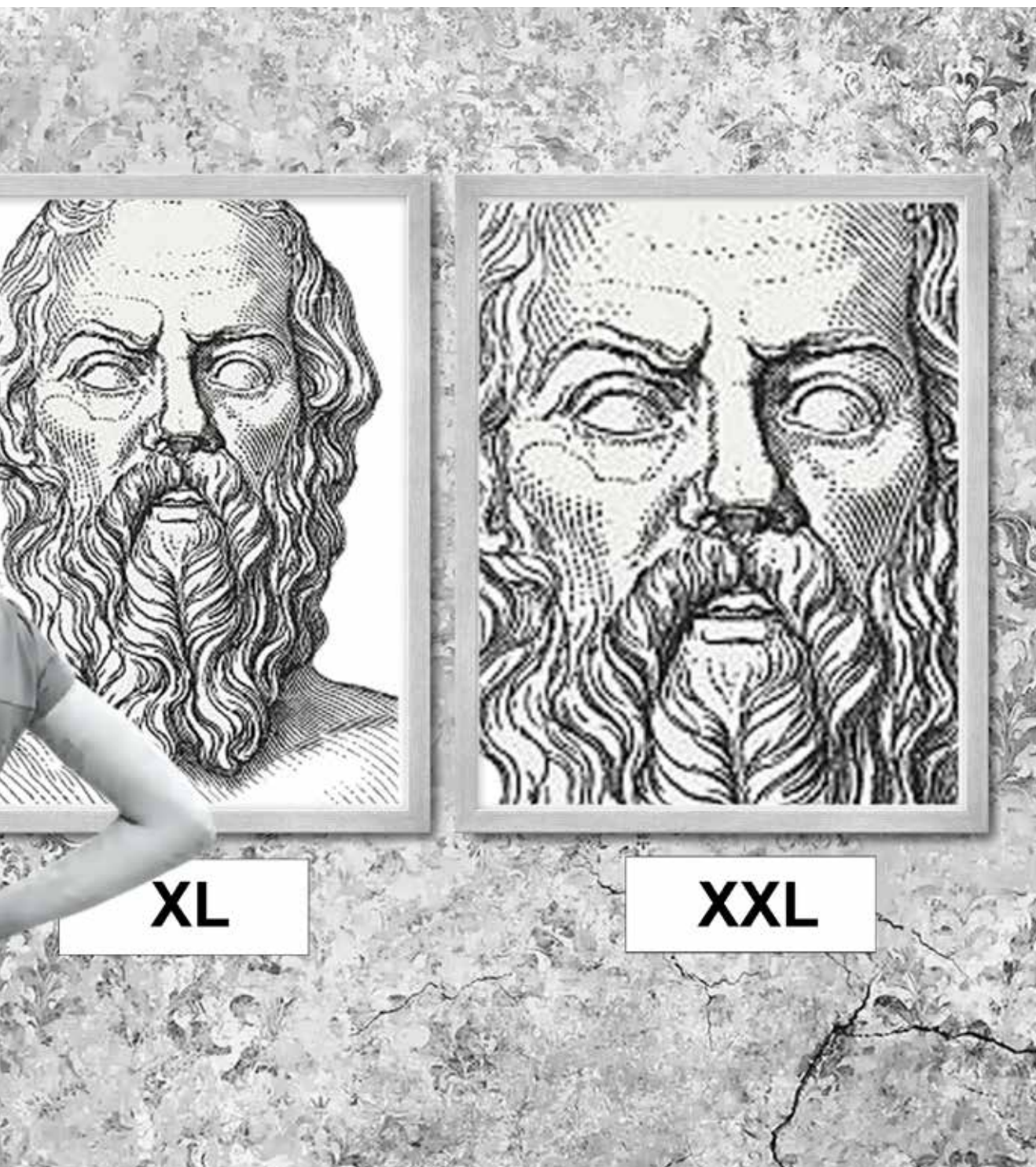
nego społeczeństwa totalitarnego, który miał dotyczyć okresu stalinizmu. Ponadto wprowadzono typ idealny społeczeństwa posttotalitarnego (w nauce światowej dokonał tego Juan J. Linz, zaś w Polsce zwolennikiem stosowania typu idealnego posttotalitaryzmu był Andrzej Walicki). Uwzględnia się w nim wpływ rytualizacji ideologii oraz narastający pluralizm ośrodków władzy. W takim systemie społecznym posttotalitarna władza nie jest już w stanie nieustannie mobilizować społeczeństwa, lecz swoje panowanie opiera na pasywności społeczeństwa, które może zajmować się swoim życiem prywatnym.

Całkowite odrzucenie założeń teoretycznych typu idealnego totalitaryzmu nastąpiło w paradygmacie rewizjonistycznym sformułowanym w amerykańskiej sowietologii w latach



70. ubiegłego wieku. Wedle Sheili Fitzpatrick, głównej eksponentki tego podejścia, stalinowskie czystki miały być sposobem wymiany wykształconych jeszcze przed rokiem 1917 kadr fachowców zatrudnionych w administracji i gospodarce. Ta wymiana była spowodowana koniecznością przeprowadzenia przyspieszonej modernizacji i industrializacji agrarnego społeczeństwa rosyjskiego. Rola Stalina w tym procesie miała być marginalna, gdyż musiał się dostosowywać do układu sił między partyjnymi koteriami i frakcjami. Same zaś czystki podlegały oddolnym naciskom i nieformalnym negocjacjom, a na ich uzasadnienie wpływała mentalność wywodzącego się z klasy chłopskiej aparatu partyjnego, w której obecne było myślenie piskowe.

Modele teoretyczne, które mając status paradygmatu, są często nieuświadomiane przez badaczy, sterują ich dalszymi krokami badawczymi: typem wykorzystywanych źródeł, stawianym im pytaniom czy konstrukcją narracji historycznej. Np. zwolennicy modelu totalitarnego wykorzystywali głównie oficjalne dokumenty partyjne i państwowe, zaś rewizjonistycznego – źródła (np. pamiętniki, listy do redakcji czasopism) zawierające informacje o nieformalnych praktykach społecznych. Za tym szła również budowa odmiennych narracji historycznych, np. przypisywanie centralnej roli Stalinowi lub opisywanie postępowania dyktatora koniecznością dostosowania się do układu sił w Biurze Politycznym KPZR.



Rys. Sławomir Makal

O niebezpieczeństwach pomylenia modelu z rzeczywistością

Zgodnie ze znanym powiedzeniem Hegla, „jeżeli teoria nie zgadza się z faktami, to tym gorzej dla faktów”. Dictum to oznaczać ma myśliciela, który nie zważając na empiryczne fakty i kontrprzykłady, jest dogmatycznie przekonany o prawdziwości swojego punktu widzenia. Tymczasem pewna doza dogmatyzmu jest jednak w nauce nieodzowna. Niewiele wspólnego z praktyką naukową ma bowiem Popperowski antydogmatyzm, wedle którego naukowiec formułuje oryginalną hipotezę rozwiązującą problem naukowy, a potem, jedynie pod wpływem krytycznej dyskusji naukowej, jest gotowy ze swojego pomysłu teoretycznego zrezygnować. Po pierwsze, trudno wpaść na pomysł oryginalnej hipotezy/teorii, a gdy się takową już sformułuje, to z reguły przez całe życie naukowe jej się broni. Bliżej praktyki naukowej jest Lakatosowska propozycja ograniczonego dogmatyzmu. Wedle niej naukowcy na mocy metodologicznej decyzji oddzielają niepoddający się modyfikacjom, twarde rdzeń programu badawczego od wskazujących jak ów program rozwijać heurystyk pozytywnych i negatywnych. Tutaj jednak wyodrębnienie twardego rdzenia jest kwestią konwencji.

Tymczasem w idealizacyjnej teorii nauki podział na tworzący rdzeń modelu teoretycznego zbiór czynników głównych i modyfikujący ich działanie zbiór czynników ubocznych ma charakter ontologiczny. W przywoływanym ujęciu przyjmowana jest zasada racjonalnego dogmatyzmu oparta na trzech dyrektywach. Pierwszą z nich jest zakaz reifikacji prawa idealizacyjnego zabraniający bezpośredniego odnoszenia twierdzenia idealizacyjnego do faktów empirycznych. Twierdzenie ma status hipotezy, dopóki nie przeprowadzi się serii konkretyzacji polegających na stopniowym uchylaniu założeń idealizujących i modyfikacji wyjściowej zależności idealizacyjnej. Ukazuje się w ten sposób, jak badane zjawisko zależy nie tylko od czynników głównych, ale i od ubocznych. Konkretyzacja taka przebiega w określonym porządku. Najpierw uchyla się założenia idealizujące dotyczące tego czynnika ubocznego, który wywiera największy wpływ na badane zjawisko. W praktyce badawczej nigdy nie przeprowadza się konkretyzacji ostatecznej, w trakcie której wszystkie założenia upraszczające twierdzenia idealizacyjnego zostają zniesione. Zwykle po przeprowadzeniu szeregu konkretyzacji wpływ pozostałych, mniej ważnych czynników ubocznych określa się w sposób przybliżony, lecz nieprzekraczający przyjętego w danej nauce i w danym czasie progu dokładności.

Drugą dyrektywą jest odróżnianie faktów pozornie przeczących modelowej teorii od faktów rzeczywiście ją negujących. Jeżeli badacz napotyka fakty przeczące wysuwanej przez siebie teorii idealizacyjnej, to najpierw zakłada, że są to fakty niezgodne z nią *prima facie*. Stara się zatem jej twierdzenia konkretyzować, uwzględniając wpływ czynników ubocznych. Dopiero wtedy, kiedy fakty nadal przeczą każdej z przeprowadzonych konkretyzacji, następuje odrzucenie danego twierdzenia. I wreszcie ostatnią dyrektywą jest zakaz idealizacji *ad hoc* polegający na wprowadzaniu dodatkowych założeń jedynie po to, aby uniknąć zarzutów krytycznych bez prób przeprowadzenia konkretyzacji.

Są to – przynajmniej nader subtelne – mechanizmy broniące naukę przed dogmatyzacją. Są skuteczne, gdy dana dziedzina nauki jest wieloparadygmatyczna a badania prowadzone są we względnej izolacji od ich innych dziedzin życia społecznego. Gdy jednak dana teoria staje się zarazem ideologią państwową – tak jak to było z marksizmem w Związku Sowieckim – lub jest sprzężona z ekonomicznymi interesami np. globalnych koncernów, te mechanizmy obronne okazują się są zbyt słabe, a rdzeń teorii jest niemodyfikowalny.

Modelowanie w nauce a inne sfery działalności kulturowej

W literaturze przedmiotu poświęconej modelowaniu często dostrzega się pokrewieństwo pomiędzy modelem a karykaturą i fikcją literacką. Przykładowo, Nancy Cartwright zauważa podobieństwo pomiędzy bajką i morałem oraz modelem i prawem naukowym. Według niej bajki przekształcają abstrakcyjne zasady etyczne w konkretne zasady postępowania. Bajka jest odpowiednikiem modelu zawierającego prawo naukowe. W bajce odpowiednikiem prawa naukowego jest płynący z niej moral. Ponadto stereotypizacja i antropomorfizacja występujących w bajce postaci zwiększa ma perswazyjność przekazu: lis odznacza się chytryścią, osioł jest uparty, a sowa mądra.

Niektóre przynajmniej z występujących tu intuicji można wyrazić w aparaturze pojęciowej idealizacyjnej teorii nauki, w której wyróżnia się dwie mocne i dwie słabe procedury deformacyjne. Załóżmy, że mamy wyjściowy obiekt O wyposażony w pewien zbiór własności występujących w określonym natężeniu. W wyniku transcendentalizacji obiekt O' zostaje wyposażony w pewne dodatkowe własności, których wyjściowy obiekt O nie ma. Odwrotną procedurą jest redukcja, polegająca na pozbawieniu wyjściowego obiektu pewnych własności. Natomiast w wyniku zastosowania potencjalizacji dodatniej własności obiektu O' występują w natężeniu wyższym niż własności wyjściowego obiektu O. Procedura potencjalizacji ujemnej prowadzi do uzyskania obiektu, którego własności występują w natężeniu niższym od natężeń własności obiektu wyjściowego.

Na wytwory intelektualne budowane w różnych dziedzinach kultury można spojrzeć jako na rezultat stosowania złożonych procedur deformacyjnych. Idealizacja w nauce ma być połączeniem redukcji i potencjalizacji ujemnej: badacz eliminuje czynniki niewpływające na badane przez niego zjawisko, a tym, które wywierają wpływ uboczny, przypisuje w twierdzeniu idealizacyjnym zerowe natężenia. Absolutyzacja/mitologizacja stosowana w teologii i myśleniu religijnym jest złożeniem transcendentalizacji i potencjalizacji dodatniej: teolog, tworząc konstrukt Boga, wyposaża go we własności waloryzowane w danej tradycji religijnej pozytywnie (dobroć, wszechmoc, wszechwiedza) w maksymalnym natężeniu. Fikcjonalizacja stosowana w literaturze i sztuce jest złożeniem redukcji i potencjalizacji dodatniej: konstruowane postaci literackie wyposażone są w cechy i własności o takich natężeniach, które nie występują w świecie empirycznym, o pewnych zaś cechach bohaterów literackich (np. kto był dziadkiem Boryny z *Chłopów* Władysława Reymonta) nie sposób nic orzec. Również stereotypy opierają się na procedurze fikcjonalizacji: z zestawu cech stereotypizowanej postaci pewne się pomija, a te, które są dlań w jakiś sposób charakterystyczne, występują w maksymalnym natężeniu.

Pomimo wspomnianych podobieństw wytwory kulturowe różnią się zasadniczo od modeli naukowych. Modele i teorie mogą się różnić stopniem sformalizowania, podlegają konkretyzacji, empirycznemu sprawdzaniu i falsyfikacji oraz – jeżeli są formułowane w naukach stosowanych – mogą być podstawą praktyk społecznych zmierzających do przekształcania i zmieniania świata. Takich oczekiwań nie formułuje się wobec wytworów innych dziedzin kultury, dlatego ich rolę społeczną jest ćwiczenie wyobraźni poprzez deformowanie w rozmaitych kierunkach aktualnego świata.

Prof. dr hab. Krzysztof Brzechczyn, kierownik Pracowni Epistemologii i Kognitywistyki,
Wydział Filozoficzny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Jacek Rodzeń

O czym nam (nie) mówią modele

Nie są wiernymi obrazami rzeczywistości, ale nie można się bez nich już dzisiaj obejść ze względu na korzyści poznawcze i praktyczne. Są instrumentami metodologicznymi w pracy badawczej większości nauk. Szeroko pojęte modele różnych aspektów świata, nawet nadprzyrodzonego, były już obecne w starożytnych cywilizacjach pozaeuropejskich. Od około stu pięćdziesięciu lat modelowanie i symulacja, w ścisłym tego słowa znaczeniu, są istotnymi motorami napędowymi rozwoju nauki, co nie oznacza, że nie mają one jakichkolwiek ograniczeń i słabości.

Modele są dzisiaj tak popularne i rozpowszechnione w nauce, że aż niewidoczne na pierwszy rzut oka. Mimo to współczesne pojęcie modelu nie ma jednej, powszechnie przyjmowanej definicji i jest notorycznie wieloznaczne. Najczęściej jest ono zrelatywizowane do określonej specjalności, dyscypliny czy dziedziny nauki. Mamy więc modele teoretyczne, praktyczne, statyczne, dynamiczne, numeryczne, mechaniczne i wiele, wiele innych. Jako obiekty językowe, wirtualne lub fizyczne zwykle reprezentują określony rodzaj i aspekt rzeczywistości. Rzeczywistość może też być szeroko i rozmaicie rozumiana, obejmując np. świat przyrody, relacji międzyludzkich, technologii, a nawet idei i fikcji. Dzisiaj modele są wszechobecne i niezbędne do rozwoju wiedzy oraz naszego rozumienia świata. Jako terminus technicus „model” pojawił się w praktyce i komunikowaniu naukowym dopiero w drugiej połowie XIX wieku na gruncie nauk matematyczno-fizycznych. Ale samo pojęcie modelu, modelowania lub imitowania jest o wiele starsze i sięga daleko w zamierzłą przeszłość aktywności ludzkiej, notabene nie tylko w obszarze cywilizacji europejskiej.

Poniżej zostaną zarysowane wybrane ciekawsze i, jak można sądzić, zarazem ważne wątki z dziejów pojęcia modelu i modelowania rzeczywistości. Miejmy nadzieję, że z przedstawionej skrótowo perspektywy wyłoni się interesujący obraz, czym są modele, który powinien nam zastąpić nawet najbardziej ambitne definicje i określenia ich funkcji. Jednocześnie obraz ten powinien odstąpić meandry myślenia naukowego oraz naszej kondycji poznawczej w ogóle, gdyż nie mając możliwości bezpośredniego wglądu w strukturę różnych obszarów świata – tego, w którym żyjemy i tego, którego sami jesteśmy twórcami – pozostajemy skazani na myślenie i działanie modelami.

Od egipskiej barki grobowej do automatów de Vaucansona

Zdaniem historyka i filozofa fizyki Maxa Jammera pierwsze modele były konkretyzacjami idei istotnych dla dawnych

religii. Jako przykład podał on barki grobowe wzorowane na prawdziwych łodziach nilowych, grzebane razem z doczesnymi szczątkami władców dawnego Egiptu. Barki te spełniały rozmaite funkcje kultyczne, w tym najczęściej miały na celu „towarzyszenie” faraonowi w drodze do wieczności lub w pielgrzymkach do świętych miast. Dla Jammera przykład łodzi grobowej był „jednym z pierwszych modeli mechanicznych procesów niemechanicznych”.

W okresie rozkwitu filozofii starogreckiej popularne były modele dydaktyczne, łączące mitologiczne wyobrażenia kosmosu z aspektami mechanicznymi, zaczerpniętymi z codziennej praktyki rzemieślniczej. Do najbardziej znanych należy metafora lub model kosmogoniczny z platońskiego dialogu *Timaios*, w którym boski demiurg na kole garncarskim ucieleśnia (modeluje!) w bezkształtnej glinie odwieczne idee struktur świata. O kolejnym antycznym modelu kosmologicznym opowiada wojownik Er z ostatniego rozdziału innego dialogu Platona *Państwo*. Tym razem funkcję modelu spełnia wręcz zapadkowe rozpowszechnione w tym czasie maszyny tkackie. Niebiosa w tym przedstawieniu obracają się wokół osi „wrzeczona konieczności (*ananke*)”. Oś i hak ze stali podpierają osiem kręgów, którymi są sfery niebieskie.

Obok tradycji filozoficznej, w starożytnej Grecji rozwijała się równoległa inna, o charakterze matematyczno-inżynierskim. Łączyła ona cele poznawcze z praktycznymi, a jej istotnym elementem stały się rozmaite modele mechaniczne. Jednym z najbardziej spektakularnych był tzw. mechanizm z Antykithery, odkryty na początku XX wieku i prawdopodobnie pochodzący z II w. p.n.e. Jego niezwykle skomplikowana jak na tamte czasy konstrukcja, złożona głównie z przekładni w formie kół zębatych i napędzana ręcznie, miała symulować numerycznie m.in. ruch planet, przewidywać fazy Księżyca i zaćmienia Słońca. Przez współczesnych badaczy mechanizm z Antykithery został określony mianem pierwszego „komputera analogowego”. Innym, nieco mniej skomplikowanym

urządzeniem, które można potraktować jako model mechaniczny, było tzw. planetarium, którego budowę Cyceron przypisał Archimedesowi. Nie był to oczywiście rodzaj współczesnego planetarium, jakie działa np. w Chorzowie lub Fromborku, a raczej geometryczno-mechaniczny model układu orbit ciał niebieskich poruszających się wokół Słońca. Tak więc mamy do czynienia w starożytności zarówno z numerycznymi, jak i wizualnymi modelami ówczesnego kosmosu. Nie można w tym miejscu pominąć sięgających czasów starożytnych prób modelowania, a właściwie symulowania dynamiki życiowej organizmów. Uważana początkowo za szarlatanerię, a jednocześnie podziwiana za widowiskowość sztuka budowania automatów zwierząt i ludzi nabrała rozpędu w renesansie, a następnie przeżywała rozkwit w okresie oświecenia. W pierwszej połowie XVIII wieku francuski wynalazca Jacques de Vaucanson, nazwany później „ojcem symulacji” technologicznej, skonstruował swoje słynne androidy: „Gracza na flecie”, „Gracza na tamburynie”, a także „Kaczkę trawiącą”. Ta ostatnia pływała po wodzie, symulowała połykanie ziarna, trawienie i wydalanie. Żaden z tych automatów de Vaucansona nie przetrwał do czasów współczesnych, ale jego „Kaczkę” stała się oświeceniową ikoną mechanizacji obrazu świata. Konstrukcje francuskiego wynalazcy można nazwać modelami istot żywych, świadczącymi o poszukiwaniu przez człowieka dróg do stworzenia sztucznego życia. Jak się z czasem okazało, sprawa nie jest bynajmniej tak prosta, ale jednak cała współczesna gama sztucznych narządów ludzkich, z wszczepialnym sztucznym sercem na czele, w swej istocie aktywnym modelem serca rzeczywistego, faktycznie wyznacza kierunek dalszych poszukiwań. Postrzeganie w komputerach (kiedyś „mózgach elektronicznych”) i sztucznej inteligencji modeli ludzkiego mózgu, a przynajmniej ludzkich operacji myślowych, jest również elementem tej samej narracji i tendencji w rozwoju technologii.

Epoka matematycznych modeli świata

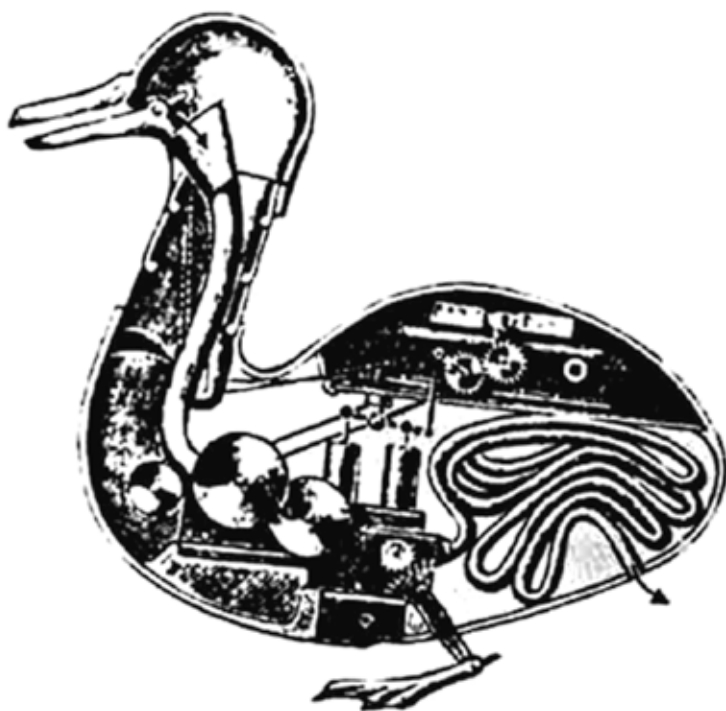
Tylko z niewielką dozą przesady można stwierdzić, że nowożytna i zarazem współczesna metoda modelowania naukowego ukonstytuowała się na dobre dopiero w XVII wieku. Fizyk Andrzej Staruszkiewicz stwierdził kiedyś, że „nauka [...]

powstała wówczas, gdy zrozumiano prawa ruchu kamienia rzuconego w powietrze”. Komentując te słowa kosmolog i filozof Michał Heller zauważył, że świat zjawisk przyrody nie tylko można modelować przy pomocy pojęć i struktur matematycznych, ale że dają się one badać przy pomocy struktur stosunkowo prostych. W związku z tym czasami mówi się, że świat jest przez to idealizowalny, a więc i upraszczalny. Szczególnie Kepler i Galileusz dali istotne impulsy tej metodzie w przypadku badania zjawiska ruchu ciał. Wkrótce Isaac Newton pokazał, że siła grawitacji działa zarówno na poruszający się kamień, jak i planety Układu Słonecznego. Tym, co jednak pozostawało zagadkowe, było jej działanie bezdotykowe, na odległość. Natura siły ciążenia powszechnego pozostawała nieznaną, także dla Newtona, dlatego nazwał ją „siłą matematyczną”. Kilka dekad przed Newtonem Kartezjusz opracował konkurencyjne modele zjawisk ruchu, w tym ruchu ciał niebieskich. Nie było w nich żadnych tajemniczych oddziaływań na odległość. Siły działały przez kontakt ciał, a ciała niebieskie poruszały się po swoich orbitach pod wpływem wirów eterycznego ośrodka wypełniającego całą przestrzeń. Obraz ten przypominał konstrukcję zegara mechanicznego. I choć to Newton był głównym twórcą nowożytnej zmatematyzowanej fizyki, model ruchu i sił przyrody Kartezjusza wyrażający się m.in. w obrazie świata jako maszyny zadomowił się na długie dziesięciolecia w większości umysłów.

O tym, jak trudno było zerwać z poglądowymi przedstawieniami mechanicznymi, niech świadczy zbudowane przez Jamesa Maxwella dwa wieki po odkryciach Newtona urządzenie modelujące zjawisko indukcji prądów elektrycznych. Model ten był oparty na znanym od starożytności i rozpowszechnionym w XIX wieku mechanizmie różnicowym, który jako tzw. dyferencjał, zastosował po raz pierwszy w 1885 roku w samochodzie Karl Benz. Bardziej złożoną konstrukcją podobnego urządzenia-modelu kazał na początku lat 90. XIX wieku zbudować swojemu pomocnikowi Ludwig Boltzmann. Nazwał go „bicyklem”, choć nie miał on nic wspólnego z rowerem. Chodziło raczej o to, że jeden cykl, czyli jeden prąd elektryczny, indukuje drugi cykl – inny prąd elektryczny. Myliłby się jednak ten, kto by uważał, że austriacki uczony sprowadzał zjawiska elektro-



Zrekonstruowana barka grobowa Cheopsa © Fot. Ovedc (praca własna). CC BY-SA 4.0.



Kaczka mechaniczna Jacquesa de Vaucansona

magnetyczne do wyobrażeń czysto mechanicznych (na modłę kartezjańską!). Boltzman był nie tylko wybitnym fizykiem, ale i przenikliwym metodologiem fizyki. Niejednokrotnie w swoich prelekcjach przedstawiał teorie i modele (teoretyczne) raczej jako „mentalne obrazy”, aniżeli dosłowne przedstawienia rzeczywistości. Można dziś śmiało powiedzieć, że podobnie jak w przypadku metodologii Maxwella, również Boltzmannowi nie chodziło w modelowaniu zjawisk przyrodniczych o podobieństwo ich przebiegu do „twardych”, mechanicznych modeli, lecz raczej o podobieństwo relacji matematycznych opisujących dany model z odkrywaniem i w zjawiskach relacjami między mierzonymi wielkościami fizycznymi.

Kolejny przełom w rozumieniu modeli fizycznych był głównie związany z powstaniem na początku XX wieku fizyki mikroświata nazywanej kwantową. Tak jak zjawiska elektromagnetyczne próbowano jeszcze wtłoczyć w ramy (modelować) tradycyjnego schematu mechanicznego, w przypadku fizyki kwantowej, m.in. z charakterystycznymi dla niej zasadą nieoznaczoności Heisenberga i dualizmem falowo-korpuskularnym, taka sztuka już nie miała prawa się udać. Mikroświat, choć badalny i ujmowalny przy pomocy struktur matematycznych, pozostawał całkowicie obcy dla naszych modeli mechanicznych i nawyków wyobraźniowych. I znowu, podobnie jak w przypadku Maxwella i Boltzmana, którzy choć byli dziećmi swojej epoki, potrafili zdystansować się od dosłownego traktowania poglądowych modeli, pojawił się uczonek, który może w bardziej wyrazisty sposób zwrócił uwagę na konieczność zrewidowania tradycyjnego pojęcia modelu teoretycznego. Erwin Schrödinger, który zapewne także dlatego, że sam był współtwórcą fizyki kwantowej, zwrócił uwagę na ewolucję modeli fizycznych i niemal całkowite odejście od ich charakteru wyobraźniowego. Uważał on, że z chwilą powstania nowoczesnej teorii mikroświata musimy przestać łączyć pojęcie poglądowości z wyobraźnią, a nauczyć się w nim dostrzegać raczej kwestię zrozumiałości przyrody. Kluczem do zrozumienia przyrody są w nauce teorie i modele matematyczne, a co za tym idzie raczej struktury

matematyczne, aniżeli struktury złożone z obiektów (na modłę makroskopową). Jeśli nawet w tym przypadku mówi się o czynniku wyobraźni ludzkiej, nie dotyczy on już świata zmysłów, lecz rodzaju wyobraźni abstrakcyjnej, matematycznej.

W objęciach pansymulacjonizmu

Niemal oczywistą cechą modeli teoretycznych, takich jak fizyczny Model Standardowy oddziaływań fundamentalnych czy modele kosmologiczne, jest ich nieużyteczność. Przyciągają one głównie uwagę tych, którzy chcą wiedzieć. Jednak większość konsumentów dokonań naukowych zainteresowana jest efektem tych prac badawczych, które wykorzystują modele nauk praktycznych. Dzisiejsze modele tych nauk, zwłaszcza inżynierskich, w prostej linii kontynuują tradycję symulacji numerycznych, której dawnym przykładem jest mechanizm z Antykithery. Ostatnie dziesięciolecie przyniosły przyspieszenie rozwoju metod i modeli numerycznych w związku z postępem w technologiach

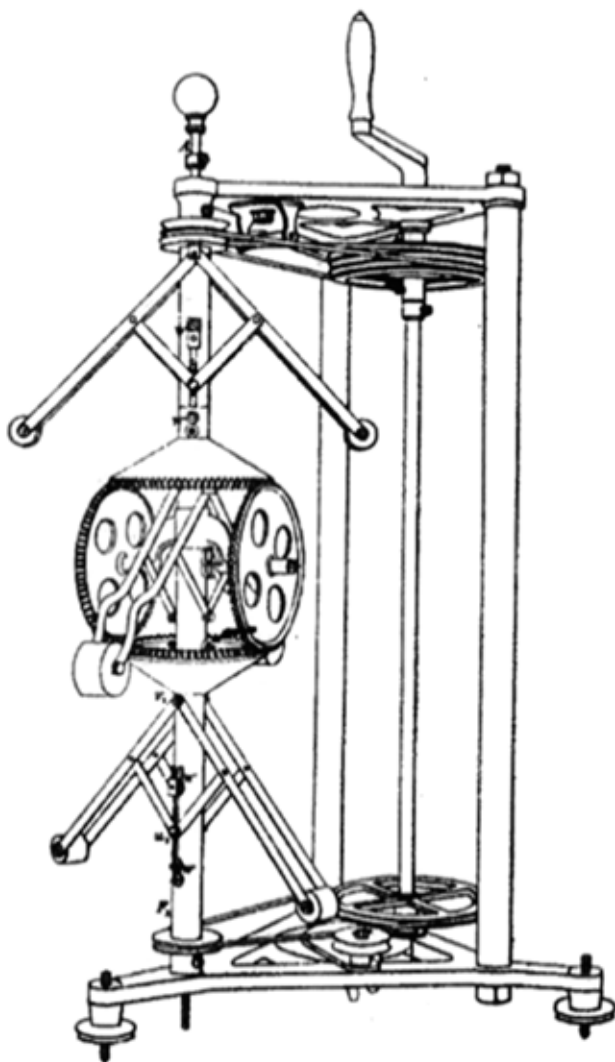
komputerowych, a obecnie z sukcesami w dziedzinie sztucznej inteligencji. Modelowanie i symulacja stały się przysłowiowym chlebem codziennym nie tylko nauk inżynierskich, ale niemal wszystkich obszarów badań, mających za główny cel zastosowania praktyczne.

Mimo zasadniczej różnicy dzielącej modele czysto poznawcze od modeli praktycznych, także te drugie oparte są na świadomie wprowadzanych uproszczeniach i idealizacjach. Ciekawym przykładem takiej „filozofii modelowania” jest wykorzystanie numerycznych modeli obiektów w inżynierii mostowej. Mamy w tym przypadku zwykle do czynienia z dwoma rodzajami modeli. Jeden rodzaj związany jest z procesem projektowania i budowy konstrukcji mostu, drugi z tzw. zarządzaniem obiektem eksploatowanym. W trakcie projektowania modelowanie dotyczy mostu wirtualnego, uwzględnia wybrane parametry techniczne zgodne z wyjściowym projektem koncepcyjnym oraz przepisami normami dla obciążeń planowanej konstrukcji. W przypadku mostu pozostającego w użytku jego model numeryczny wykorzystywany jest m.in. w sytuacji konieczności podjęcia decyzji o remoncie, ewentualnie przebudowie. W wyjątkowych przypadkach trudno jest jednak winić same modele za zdarzające się katastrofy w sytuacjach warunków ekstremalnych i nieprzewidywalnych, jak w przypadku zawalenia się w 2018 roku części mostu w Genewie podczas gwałtownej burzy. Najczęściej to nie uproszczony model projektu lub eksploatacji, lecz zaniedbania ludzkie czy fatalny zbieg okoliczności prowadzą do katastrofy i tragedii.

Z modelami i symulacją mamy do czynienia nie tylko w naukach technicznych. W obszarze tyle interesującym, co niewralgicznym strategicznie, którym jest pole walki zbrojnej, modelowanie ma już swoją ponadstuletnią historię. W 1916 roku brytyjski konstruktor samochodów i miłośnik lotnictwa Frederick Lanchester sformułował układ kilku równań różniczkowych mających modelować przebieg działań na polu walki dwóch ścierających się ze sobą wrogich sił powietrznych. Jak się wkrótce okazało, równania Lanchestera stosunkowo dobrze

symulowały dynamikę walki również innych formacji bojowych. Oparty na równaniach model zakładał jednak daleko idące idealizacje, pomijając np. wpływ czynników losowych czy interakcji między różnymi parametrami mającymi wpływ na przebieg działań militarnych. Nie uwzględniał również wpływu czynników indywidualnych, takich jak doświadczenie dowódców lub morale żołnierzy. Mimo tych uproszczeń równania Lanchestera, wzbogacone o nowe narzędzia matematyczne i moce obliczeniowe komputerów, do dzisiaj wykorzystywane są w studiach strategii wojskowej. Po pierwszym ataku Rosji na Ukrainę w 2014 roku think tank Rand Corporation zastosował je na przykład w grze wojennej symulującej potencjalną agresję wojsk rosyjskich na państwa bałtyckie.

Dramatyczny przebieg pandemii COVID-19 sprowokował w ostatnich latach szersze zainteresowanie modelami epidemiologicznymi symulującymi społeczną dynamikę infekcji tej niebezpiecznej choroby. Modele te, wykorzystujące komputery, były i są nadal nieocenionym narzędziem wspomagającym rządy państw oraz organizacje zdrowia w podejmowaniu optymalnych decyzji. Jednak mimo sukcesów w prognozowaniu dynamiki pandemii czy też skutków gospodarczych związanych z nią interwencji społecznych, ograniczenia takich symulacji płyną głównie ze strony często nieprzewidywalnych zachowań ludzkich czy pojawiania się nowych odmian wirusa.



Bicykel Ludwiga Boltzmanna jako model indukowanych prądów elektrycznych

Chemiczka Anna Ochab-Marcinek, analizująca skuteczność symulacji komputerowych epidemii COVID-19, zauważyła w sposób znamieny, iż najłatwiejsze byłoby „mechaniczne” traktowanie zależności społecznych na podobieństwo oddziaływań między cząsteczkami. Jednak „w życiu społecznym nie potrafimy [...] całkowicie przewidzieć, jak ludzie się zachowują w konkretnych sytuacjach” – stwierdziła. Ochab-Marcinek zauważyła, że „nawet w przypadku szczepień przeciwko COVID-19 trudno było dokładnie przewidzieć, ilu Polaków się im podda”.

Modelowanie nieznanego

Wróćmy na koniec do postawionego w tytule tego szkicu pytania: „O czym nam (nie) mówią modele?”. Jak widać, pytanie to ma dwie strony i, jak się wydaje, takie też są modele. Mówią coś o świecie, o czymś, co nas interesuje poznawczo, ale także o czymś, co nas skłania – jak w przypadku modeli praktycznych – do odpowiednich działań. Z drugiej strony modele nie mówią nam o świecie wszystkiego. Gdyby mówiły nam wszystko, byłyby wiernymi kopiami określonych jego aspektów. Tak jednak nie jest. Niejako z natury modeli płyną ich ograniczenia. W tym miejscu należy postawić dodatkowe pytanie: w jaki sposób modele „mówią” o reprezentowanej przez nie rzeczywistości. Pytanie to jest zasadne głównie w związku

z ukazaną powyżej jakościową zmianą w sposobie mówienia o świecie. Dotyczy to języka, który jest wehikułem modeli i symulacji, a ten diametralnie zmienił się w naszym dyskursie o przyrodzie i technologii przede wszystkim od XVII wieku. Duński historyk nauki Olaf Pedersen stwierdził, że od starożytności mieliśmy do czynienia z rodzajem dwujęzycznego dyskursu o świecie. Jednym był język metaforyczny, w którym wyrażały się m.in. modele religijne, a także platońskie modele garncarza i wrzeciona. Inną formą dyskursu był kwantytatywny język matematyki (numeryczny i geometryczny) ucieleśniony w urządzeniu z Antykithery, planetarium Archimedesesa, a także w pierwszych zmatematyzowanych prawach, jak choćby prawo dźwigni. Ten drugi dyskurs zdystansował język metaforyczny w XVII wieku i stał się językiem skutecznego modelowania świata do dziś.

Modelowanie matematyczne, mimo możliwości częściowego wglądu w świat, w tym opisu i prognozowania zjawisk, niesie ze sobą również istotne ograniczenia. Były i są one widoczne praktycznie w każdym modelu, o którym była mowa w tym szkicu. Uproszczenia i idealizacje związane z wyborem skończonej liczby parametrów ilościowych danego modelu są jego siłą, ale zarazem słabością. Słabością jest także często niekompletność wprowadzanych do modeli danych oraz brak identyfikacji wpływu nieznanych czynników danego zjawiska czy procesu. Mimo tego, jako istoty ludzkie, nie mamy jak dotąd skuteczniejszego sposobu poznawania świata, a co za tym idzie optymalnego w nim działania. Taka jest nie tylko natura modeli naukowych, ale także cząstka naszej własnej kondycji poznawczej.

Dr hab. Jacek Rodzeń, prof. UWK, pracuje w Instytucie Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Zajmuje się historią i filozofią nauk przyrodniczych oraz technicznych.

Hanna Wolska

Model jako forma poznania w naukach prawnych

Modele naukowe posługują się niemal zawsze uproszczoną siatką powiązań pomiędzy elementami, która działa na prostszej zasadzie niż rzeczywiste (faktyczne) struktury badanego zjawiska. Tym samym model odnosi się będzie do uproszczonego fragmentu badanego zjawiska naukowego.

Modele naukowe posługują się niemal zawsze uproszczoną siatką powiązań pomiędzy elementami, która działa na prostszej zasadzie niż rzeczywiste (faktyczne) struktury badanego zjawiska. Tym samym model odnosi się będzie do uproszczonego fragmentu badanego zjawiska naukowego.

Do czego potrzebujemy modeli w naukach prawnych?

W naukach prawnych model jest ujmowany jako obraz określonego zjawiska prawnego skonstruowany w drodze abstrakcji do konkretnych celów badawczych i na postawie przyjmowanych założeń upraszczających. Obraz ten ma stanowić narzędzie do zdobywania wiedzy o badanych zjawiskach prawnych, w szczególności tych słabo znanych, poprzez porównywanie ich hipotetycznych struktur oraz funkcji do zjawisk znanych i wystarczająco opisanych. Jest również środkiem pośredniego poznania określonych przepisów, a także sposobem dostarczenia informacji o zasadach ich interpretacji. Model pozwala także ocenić, czy stan prawny oraz rzeczywisty (stosowany w praktyce) pokrywają się oraz jak należałoby usprawnić nieprawidłowe elementy badanego zjawiska prawnego, m.in. poprzez formułowanie postulatów racjonalizacyjnych *de lege lata* i *de lege ferenda*.

Jak się konstruuje modele?

Modele naukowe stanowią konkretną konstrukcję myślową, którą konstruuje się za pomocą określonych elementów. Elementy te są zaś częścią składową modelu i nadają mu odrębną właściwość. Łączą się one w związki, na podstawie których wyprowadzane są wnioski w zakresie analizowanego obiektu badań. Zauważyć przy tym należy, że na podstawie tych samych elementów można budować różne modele. Badany obiekt może mieć także wiele modeli uwzględniających różne jego elementy w sposób bardziej lub mniej szczegółowy. Wybór tego, co ma lub nie ma zostać uwzględnione w modelu, zależy od celu konstruowanego modelu.

Każdy konstruowany przez badacza model naukowy posługuje się założeniami upraszczającymi z uwagi na złożoną postać badanych zjawisk (w tym prawnych). W modelu pomijane są

czynniki komplikujące dane zagadnienie, czyniąc odwzorowany przedmiot mniej skomplikowanym. Modele naukowe posługują się niemal zawsze uproszczoną siatką powiązań pomiędzy elementami, która działa na prostszej zasadzie niż rzeczywiste (faktyczne) struktury badanego zjawiska. Tym samym model odnosi się będzie do uproszczonego fragmentu badanego zjawiska naukowego.

Z perspektywy nauk prawnych model różni się także charakterem od takich terminów jak „system”, „teoria”, „postulat” i „standard”.

Po pierwsze, termin model jest węższy niż pojęcie systemu prawa. Model dotyczy wyłącznie fragmentarycznych oraz ilościowych rozważań prawnych, natomiast system prawa obejmuje ogół obowiązujących norm, zasad, reguł, klauzul generalnych i teorii. W konsekwencji różnica pomiędzy tymi pojęciami polega na tym, że system prawa stanowi spójną oraz kompletną całość, podczas gdy model jest uproszczoną konstrukcją, powstałą na podstawie przyjętego zbioru norm i załączeń. Model jako pojęcie odnoszące się do węższego fragmentu rzeczywistości, może stanowić jedynie element stanowiący wyłącznie część „owego” systemu.

Po drugie, charakteryzującą cechą zasadniczo wyróżniającą model jest stopień wyrażenia abstrakcji, pojęć oderwanych i uproszczeń. Treść teorii wyraża się m.in. w postaci zbioru sądów i twierdzeń, które są związane ze sobą prawami logiki i szczegółowymi prawami nauki oraz odzwierciedlających związków właściwych dla rzeczywistości.

Po trzecie, postulat – jako propozycja wyznaczająca kierunki w zakresie kształtowania, systematyzowania, porządkowania norm prawnych oraz ich interpretacji – wskazuje wyłącznie na możliwość realizacji pewnego działania w prawie. W przeciwieństwie do tego w przypadku modelu przypisuje się pewne właściwości samemu obiektowi (zjawisku prawnemu). Ponadto istotnym elementem treściowym postulatu jest korekta stanu badanego, polegająca np. na zmodyfikowaniu, dodaniu lub usunięciu pewnej części składowej działania będącego przedmiotem opisu. W powyższym znaczeniu postulaty mogą stanowić wyłącznie jeden z elementów

budujących model, niemniej nie mogą być utożsamiane z jego całokształtem.

Po czwarte, standardy odnoszą się do sytuacji idealnej (doskonałej, pożądanej), natomiast modele opisują zjawisko zastane i w tym kontekście mogą one mieścić się lub wykraczać poza teoretycznie wytyczone standardy. Ponadto standard może służyć jako punkt odniesienia albo cel, do którego należy dążyć, podczas gdy model wyłącznie odbija lub odtwarza przedmiot badany (zjawisko).

Abstrakcyjny i teoretyczny model w naukach prawnych

Za przykład abstrakcyjnego i teoretycznego modelu w naukach prawnych uznać należy model prawa technologii kwantowych. Wspólnie z mecenas Olgą Zinkiewicz-Będzirowską (Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego) oraz dr. hab. Marcinem Pawłowskim, prof. UG (kierownikiem Zespołu Kwantowego Cyberbezpieczeństwa i Komunikacji w Międzynarodowym Centrum Teorii Technologii Kwantowych) przygotowaliśmy wniosek o dofinansowanie badań naukowych w zakresie skonstruowania pierwszego na świecie teoretycznego modelu prawa technologii kwantowych,

który sprostą wyzwaniom stawianym przez technologie kwantowe w obszarze ochrony danych osobowych i cyberbezpieczeństwa. Model ten określać będzie wytyczne, zasady i standardy (w tym etyczne), które powinny warunkować działanie technologii kwantowych.

Konstrukcja modelu oparta będzie na szeregu wzajemnie ze sobą powiązanych elementów, na które znaczący wpływ będą miały czynniki o charakterze technicznym (fizycznym, informatycznym), aksjologicznym, politycznym oraz normatywnym. Czynniki te wyznaczać będą wzajemne zależności i powiązania w ramach określonych płaszczyzn badawczych (ochrony danych i cyberbezpieczeństwa). Ich połączenie zaś doprowadzi do skonstruowania i wskazania cech teoretycznego modelu prawa technologii kwantowych w obszarze ochrony danych oraz cyberbezpieczeństwa. Będzie to model wypracowany w oparciu o dialog pomiędzy prawnikami a fizykami kwantowymi.

Teoretyczny model prawa technologii kwantowych będzie mógł być wykorzystywany w ramach rozmaitych regulacji krajowych i międzynarodowych. Pozwoli on bowiem dogłębnie zrozumieć wpływ, jaki rozwijające się technologie kwantowe mogą wywierać na obowiązujące przepisy prawne, a także zidentyfikuje potrzeby legislacyjne, które mogą pojawić się



Rys. Sławomir Makal

w wyniku tych dynamicznych zmian. Będzie on także wskazywał, w jaki sposób różne jurysdykcje mogą współpracować, aby harmonizować regulacje dotyczące technologii kwantowych.

Ponadto wyniki badań będą stanowić podstawę do tworzenia jeszcze niezdefiniowanego prawa technologii kwantowych. Będą one stanowić także materiał do opracowania podręczników akademickich oraz dalszych badań w obszarze prawa technologii kwantowych.

Pojęcie „prawa technologii kwantowych” nie zostało dotychczas zdefiniowane (nie posiada definicji legalnej ani doktrynalnej). Z uwagi na brak wyznaczonych ram prawnych wstępnie w projekcie badawczym (wniosku) pt. „Sprint or shortness of breath? Legal regulations in collision with quantum technologies: a dialogue between lawyers and physicists” prawo technologii kwantowych rozumiane będzie jako ogół czynników regulacyjnych dotyczących rozwoju, wdrażania i użytkowania technologii opartych na mechanice kwantowej, w tym m.in. norm prawnych zapewnających ich bezpieczne i etyczne wykorzystanie, chroniących dane osobowe. Szczegółowa definicja tego pojęcia zostanie sformułowana przez zespół badawczy po przeprowadzeniu wnikliwych badań w ramach niniejszego projektu.

Przydatność i efektywność modeli w poszczególnych dziedzinach nauki

W naukach modele pełnią różne funkcje. Wśród nich można wymienić funkcję wyjaśniającą, heurystyczną, reprezentującą. Pierwsza z nich polega na wytłumaczeniu powstałej rzeczywistości oraz uzasadnieniu przyczyn powstającego zjawiska. Tworzone przez naukowców modele pozwalają zrozumieć funkcjonowanie danych zjawisk (w tym prawnych). Stanowią także środek poznawczy, m.in. regulacji prawnych, co ma istotne znaczenie dydaktyczne jako podsumowanie stanu wiedzy o badanych przedmiotach. Funkcja wyjaśniająca przejawia się również w konstruowaniu analogii pomiędzy prawidłowościami różnych grup zjawisk (podmiotów), co umożliwia zaś odkrywanie elementów ich struktury. Mieści się ona w zakresie tak rozumianego poznania pośredniego, w którym przedmioty badane są dwoma różnymi przedmiotami o wspólnych cechach. Dzięki modelowi naukowemu można także, w niektórych sytuacjach, drogą rozumowań dedukcyjnych ustalić prawidłowości, które nie mogłyby być uprawnione naukowo, albo z powodu braków w istniejącym stanie danych, regulacji prawnych, albo z uwagi na niedostateczny zasób wiedzy ogólnej (teoretycznej).

Funkcja heurystyczna związana jest z wykrywaniem nowych informacji (faktów) i związków między nimi. Model naukowy jako pewnego rodzaju „obraz” pojęciowy stanowi narzędzie zdobywania informacji w danej dziedzinie prawa. Jest on jednocześnie nośnikiem informacji o zjawiskach prawnych. Funkcja heurystyczna modelu jest także użyteczna w procesie stosowania teorii. Za pomocą modeli możliwe jest „określenie czy między różnymi założeniami i twierdzeniami istnieją sprzeczności, czy założenia są konieczne i wystarczające i czy hierarchię można uporządkować pod względem praw bardziej ogólnych i bardziej szczegółowych”. Z kolei, gdy teoria jest zbyt skomplikowana dla obrazowania danej klasy zjawisk, to część badaczy konstruuje na jej podstawie model, za pomocą którego badają dane zjawisko.

Natomiast funkcja reprezentująca stanowi odwzorowanie lub reprezentowanie pewnego układu zjawisk prawnych. Odwzorowanie to opiera się na przyporządkowaniu modelu i przedmiotu badanego w zakresie podobieństwa ich struktur. W aspekcie rozważanej funkcji w piśmiennictwie wyróżnia się dwa stanowiska. Pierwsze ujmuje model jako „aproxymację” w stosunku do rzeczywistości, zaś drugie charakteryzuje modele jako wyidealizowane twory stanowiące ekonomiczną reprezentację systemu praw.

Podsumowując uwagi na temat wielości podstawowych funkcji przypisywanych modelom w badaniach naukowych, należy zauważyć, że wskazanie decydującej roli jednej z nich będzie zazwyczaj podporządkowane celowi (potrzebie), któremu ma służyć dany model naukowy.

Opracowanie zostało przygotowane na podstawie badań naukowych, których efektem jest monografia pt. *Model relacji pomiędzy krajowymi organami administracji publicznej a przedsiębiorcami* (Wydawnictwo C.H. Beck, Warszawa 2022) oraz artykułu naukowego pt. *Model jako forma poznania naukowego. Próba zdefiniowania* („Prawo i więź”, nr 2 (45), 2023, s. 53-72). Ponadto opracowanie odnosi się do projektu badawczego pt. *Sprint or shortness of breath? Legal regulations in collision with quantum technologies: a dialogue between lawyers and physicists*, złożonego do konkursu NCN.

Dr hab. Hanna Wolska, Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego.
Koordynator Laboratorium Praktyki Prawa
Centrum Interdyscyplinarnych Badań nad Prawem UG



0 modelowaniu agentowym

Oczami fizyczki w świecie nauk społecznych

Byłam gorącą zwolenniczką zasady KISS (Keep it simple and short), jednej z fundamentalnych zasad projektowania, często przytaczanej w środowisku osób zajmujących się układami złożonymi. W kręgach, w których się obracałam, mawiano również, że modelem mającym więcej niż trzy parametry można opisać wszystko, nawet słońca.

Czy mógłbym sfotografować państwa na tle albo może obok waszego modelu? Mniej więcej takie pytanie usłyszeliśmy, ja i mój współpracownik, ponad dwadzieścia lat temu od fotografa jednego z popularnych czasopism. Planowano przygotowanie artykułu na temat naszych badań dotyczących dynamiki opinii społecznej i to zdjęcie miało być jego ilustracją. Problem w tym, że nasz model był tzw. modelem agentowym (agent-based), zbiorem reguł, które można zapisać w postaci kodu komputerowego, a w niektórych uproszczonych przypadkach w postaci równań. Dlatego jedynym, co mogliśmy pokazać, był slajd z ilustracją i jakieś bazgroły na tablicy. Fotograf spodziewał się czegoś bardziej namacalnego, czegoś, co da się dotknąć i będzie stanowiło główną atrakcję fotografii. Może dlatego ostatecznie artykuł nie powstał? Mimo wszystko do dziś tworzę agentowe modele układów społecznych, a moim celem jest nie tyle odwzorować rzeczywistość, co pomóc lepiej ją zrozumieć.

Czym jest model agentowy i w jaki sposób może pomóc w zrozumieniu rzeczywistości? Wyjaśnię to na przykładzie modelu uznawanego powszechnie za pioniera społecznych modeli agentowych. Wyobraźcie sobie Państwo mapę Stanów Zjednoczonych z punktami w różnych kolorach. Każdy punkt reprezentuje koło 100 osób, a różne kolory odpowiadają różnym grupom etnicznym: kolor niebieski odpowiada ludności czarnej, kolor zielony ludności białej itd. Właściwie nie muszą sobie Państwo tego wyobrażać, wystarczy wejść na stronę <https://www.nytimes.com/interactive/2015/07/08/us/census-race-map.html>. Co można dostrzec na takiej mapie? To, czego pewnie większość się spodziewała: silną segregację przestrzenną ze względu na grupę etniczną. Dlaczego występuje tak silna segregacja? To pytanie zadał pod koniec lat 60. Thomas Schelling, amerykański ekonomista, laureat Nagrody Banku Szwecji im. Alfreda Nobla w dziedzinie ekonomii za prace dotyczące zastosowania teorii gier w naukach społecznych i mikroekonomii. Jak pisał Schelling w swojej słynnej pracy z 1971, przyczyn segregacji może być

wiele. Część segregacji etnicznej jest konsekwencją innych form segregacji: miejsce zamieszkania jest skorelowane z dochodami, lokalizacją pracy, transportem. Część może wynikać ze strategii organizacji, które posiadają mieszkania lub całe osiedla przeznaczone dla swoich pracowników. Jednak pewna część segregacji może również być wynikiem dyskryminacyjnych zachowań jednostek. I właśnie tę część opisuje model Schellinga.

Żeby zrozumieć działanie jego modelu, wystarczy wyobrazić sobie kartkę w kratkę i koraliki w dwóch kolorach. Koraliki reprezentują agentów (osoby albo całe domostwa), którzy mogą przynależeć do jednej z dwóch grup etnicznych, na przykład białych i czarnych, jak to oryginalnie rozważał Schelling. Koraliki rozmieszczamy losowo na kartce, co najwyżej jeden koralik w jednej kratce. Koralików powinno być mniej niż kratek, wtedy część pól pozostanie pusta. Teraz zaczynają działać reguły modelu Schellinga. Sprawdzamy sąsiedztwo każdego koralika, czyli 8 kratek przyległych do kratki zajmowanej przez sprawdzanego, centralnego agenta. Jeśli co najmniej T z nich, gdzie T jest parametrem modelu, jest zajętych przez koraliki tego samego koloru co on, wówczas agent jest szczęśliwy i zostaje na swoim miejscu. W przeciwnym wypadku przenosimy go do losowo wybranej pustej kratki. Powtarzamy to do momentu, gdy już dalsze przenoszenie koralików nie zmieni liczby szczęśliwych. Można by się spodziewać, że takie reguły doprowadzą do segregacji, jeśli agenci będą nietolerancyjni, czyli T wysokie. Okazuje się jednak, że segregacja się pojawi nawet wtedy, gdy do szczęścia wystarczy nam w sąsiedztwie tylko 30% takich samych jak my.

Jedną ze swoich książek, w której opisuje mechanizmy segregacji ze względu na grupę etniczną, płeć, wiek i zarobki, Thomas Schelling zatytułował *Micromotives and Macrobehavior*. Ten tytuł znakomicie oddaje sedno modelowania agentowego. Tworzymy wirtualny świat zamieszkały przez agentów, którzy mogą reprezentować pojedyncze osoby, ale równie dobrze

całe rodziny czy nawet organizacje. Agenci mogą być bardzo skomplikowani, posiadać wiele indywidualnych cech, motywacji i strategii, ale mogą też być tak prości jak dwukolorowe koraliki w modelu Schellinga. To jest poziom mikro. Agenci na poziomie mikro oddziałują ze sobą i w wyniku tych oddziaływań na poziomie makro (całego układu) mogą pojawić się przeróżne, tzw. kolektywne, zjawiska. W modelu Schellinga była to segregacja.

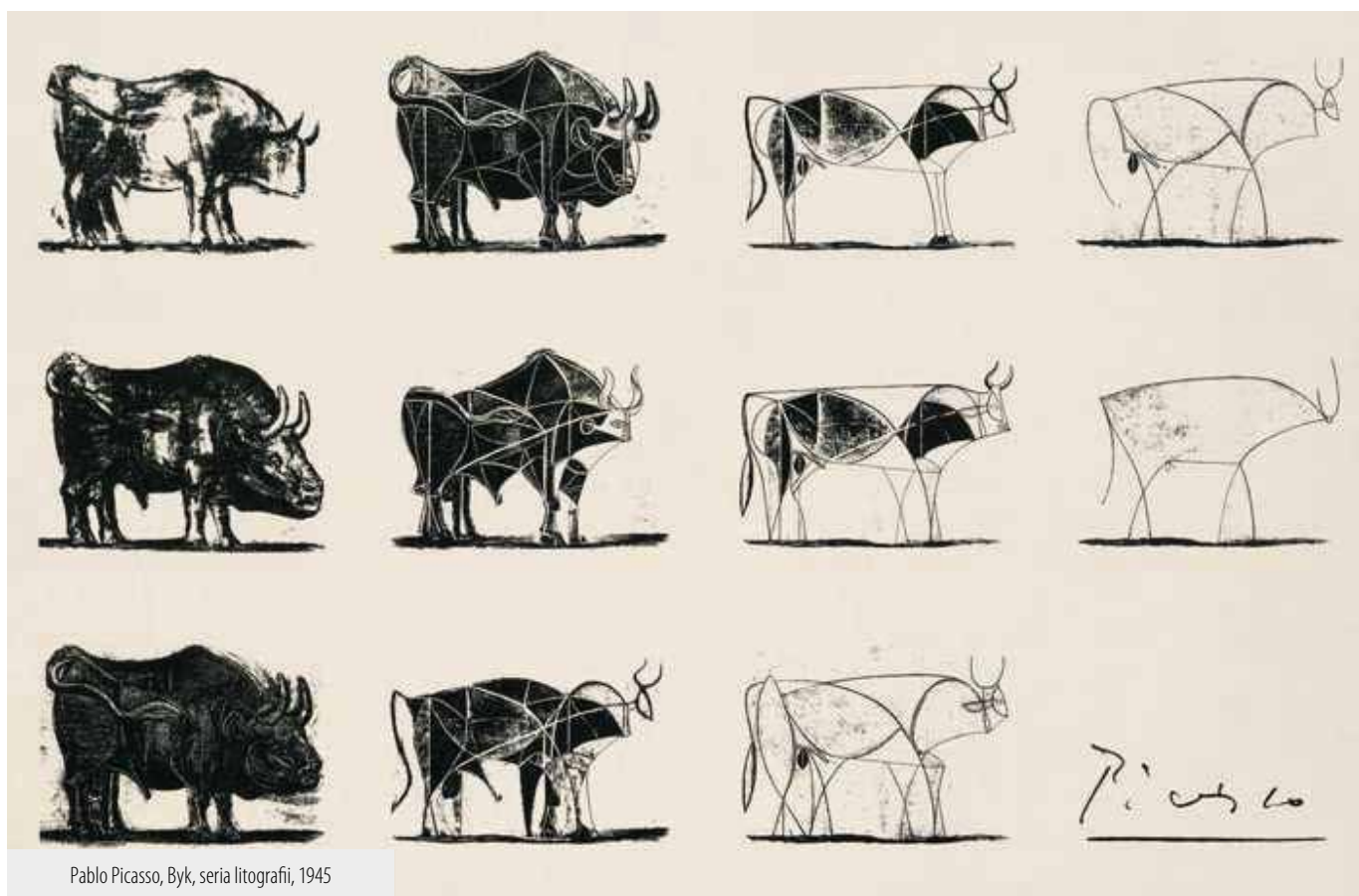
Badania z wykorzystaniem modelowania agentowego

W naszych badaniach, które prowadzimy obecnie w ramach projektu NCN Opus, jest to histereza społeczna, która może być rozumiana jako swego rodzaju pamięć zbiorowa – pojedyncze jednostki jej nie mają, ale już cały układ tak. Dlatego zachowanie układu zależy od jego historii, co może na przykład utrudniać kolektywną adaptację do zmieniających się warunków zewnętrznych. Nasze badania z wykorzystaniem modelowania agentowego wykazały między innymi, że publiczne wyrażanie preferencji niezgodnej z prywatną przez osoby odczuwające presję społeczną, wzmacnia zjawisko histerezy.

W języku nauki o układach złożonych pojawianie się takich jakościowo nowych struktur lub zjawisk na poziomie makro, które nie były widoczne na poziomie mikro, nazywamy emergencją od łacińskiego czasownika *emergeo*, który oznacza „wynurzać się”, „pojawiać się” lub „wyłaniać się”. Fizyk mógłby zapytać: coż w tym wszystkim niezwykłego i nowego? Przecież cała fizyka statystyczna to nic innego jak opis zjawisk makroskopowych z poziomu mikro. Poza tym w fizyce od dawna posługujemy się modelami mikroskopowymi, które w języku nauk społecznych mogłyby być nazwane modelami agentowymi. Najlepszym przykładem jest model Isinga, najsłynniejszy model fizyki statystycznej, który powstał już ponad sto lat temu do opisu prze-

mian fazowych w układach magnetycznych. Gdybym zaczęła go opisywać, zrobiłabym to identycznie jak dla modelu Schellinga: wyobraźcie sobie kartkę w kratkę i koraliki w dwóch kolorach... Pamiętam jak trzydzieści lat temu, kończąc studia magisterskie z fizyki komputerowej, dziwiłam się, że model Schellinga uważa się za pionierski. Przez te trzydzieści lat nauczyłam się jednak kilku istotnych rzeczy. Po pierwsze, przedstawiciele różnych środowisk naukowych często w ogóle się ze sobą nie komunikują. Po drugie, bardzo podobne modele powstają niezależnie w wielu różnych dyscyplinach naukowych. Po trzecie, do opisywania tych samych problemów używa się bardzo różnorodnego nazewnictwa. Dodatkowo powody i metody budowania modeli mogą być bardzo odmienne. Modelem może być wszystko: obiekt fizyczny (materialny), obiekt abstrakcyjny, ilustracja, opis, układ równań, kombinacja niektórych elementów itd.

Moim głównym narzędziem badawczym są modele agentowe – to się nie zmieniło od początku mojej drogi naukowej. Jednak to, w jaki sposób je buduję i jakiego typu pytania stawiam w ramach tych modeli, ewoluowało z czasem, podobnie jak ewoluowały moje zainteresowania – od fizyki, poprzez biologię, aż do nauk społecznych. Prawdę mówiąc, ewoluowało powoli, bo od zawsze fascynowały mnie przemiany fazowe. Jeśli więc nawet zajmowałam się modelowaniem układów społecznych, to zwykle zadawałam pytania typu: „Co wpłynie na to, że w modelu będziemy mieli do czynienia z danym typem przemiany fazowej?”. Słyszałam wówczas często od moich kolegów z nauk społecznych: „Kaśka, kogo to obchodzi? Musisz zacząć zadawać interesujące pytania”. Skokowa zmiana mojego podejścia do modelowania agentowego zaszła w momencie, gdy „na poważnie”, w sensie zmiany deklarowanej dyscypliny naukowej oraz miejsca pracy, przenieśliśmy się z fizyki do nauk społecznych.



Pablo Picasso, Byk, seria litografii, 1945

Promotor mojej rozprawy doktorskiej zwykł mawiać, że dobry model jest jak dobra karykatura: podkreśla najbardziej charakterystyczne cechy obiektu, jednocześnie upraszczając lub pomijając inne. Zawsze podobało mi się to porównanie i nadal bardzo je lubię. Jednak z czasem odkryłam, że nie wszyscy są entuzjastami karykatur. Niektórzy dążą do jak najwierniejszego odzwierciedlenia rzeczywistości. Ostatecznie wszystko zależy od celu, w jakim tworzymy model.

Zdziwienie na twarzy prelegenta

Wiele lat temu, na jednej z międzynarodowych, interdyscyplinarnych konferencji poświęconych układom złożonym, usłyszałam o modelu agentowym obejmującym całe miasto. Był on tak skomplikowany, że wydawał się niemal nie do ogarnięcia. Z tego, co pamiętam, model ten miał pomóc w podejmowaniu decyzji dotyczących inwestycji w odnawialne źródła energii. Uwzględnił nie tylko różnorodne firmy, producentów energii, wszystkie budynki i liczbę mieszkańców, ale także to, kto zamieszkuje poszczególne lokale (w sensie liczby lokatorów, osób pracujących itp.). Zapytałam wtedy: „A co, jeśli jeden z mieszkańców tego miasta umrze?”. Do dziś pamiętam zdziwienie na twarzy prelegenta.

W tamtym czasie pracowałam jeszcze w Instytucie Fizyki Teoretycznej na Uniwersytecie Wrocławskim. Zarówno doktorat, jak i habilitację uzyskałam w dziedzinie nauk fizycznych za badania dotyczące interdyscyplinarnych zastosowań fizyki statystycznej i teorii przemian fazowych. Doskonale więc zdawałam sobie sprawę, że nawet niewielka zmiana jednego z parametrów modelu może diametralnie zmienić jego zachowanie. Dlatego byłam gorącą zwolenniczką zasady KISS (Keep it Simple and Short), jednej z fundamentalnych zasad projektowania, często przytaczanej w środowisku osób zajmujących się układami złożonymi. W kręgach, w których się obracałam, mawiano również, że modelem mającym więcej niż trzy parametry można opisać wszystko, nawet słonia. Popularne były też maksymy „less is more” (mniej znaczy więcej) oraz „wszystko powinno być tak proste, jak to możliwe, ale nie prostsze” (cytat często przypisywany Einsteinowi, choć prawdopodobnie nigdy tego nie powiedział, mimo że sens jego wypowiedzi był zbliżony). Nadal wolę proste modele, jednak dopiero niedawno zrozumiałam, dlaczego czasami konieczne są bardziej skomplikowane rozwiązania.

Około dwóch lat temu, podczas jednej z obron doktorskich na Wydziale Zarządzania Politechniki Wrocławskiej, gdzie obecnie pracuję, zadałam doktorantowi pytanie dotyczące złożoności jego modelu. Doktorant, który jednocześnie pracował w jednej z dużych sieci supermarketów, prowadził badania nad optymalną liczbą kas samoobsługowych w sklepach tej sieci. Zdecydował się na budowę modelu agentowego, który miał wspomagać podejmowanie decyzji dotyczących zarządzania procesami kasowymi. Dzięki rzeczywistym danym z kas mógł przypisać agentom pewne indywidualne cechy. Pamiętam, że zapytałam go: „Czy konieczne jest tworzenie tak skomplikowanego modelu? Może te wszystkie indywidualne cechy agentów nie mają większego znaczenia i model oparty na pewnych uśrednionych wartościach mógłby dać te same wyniki?”. Odpowiedź, którą wtedy otrzymałam, zmieniła moje spojrzenie na rolę modeli agentowych. Po pierwsze, dowiedziałam się, że dla menedżerów, którzy ostatecznie decydują o zmianach procesów, model agentowy jest bardziej zrozumiały niż abstrakcyjne układy równań. Taki model, jeśli zostanie odpowiednio zaimplementowany jako program komputerowy z przyjaznym interfejsem, przypomina grę komputerową. Użytkownik może samodzielnie ustawiać liczbę wszystkich kas, w tym samoobsługowych, rozmieszczać je

w przestrzeni sklepowej, zmieniać liczbę klientów itd. Uwzględnienie indywidualnych cech agentów, zwłaszcza gdy wynikają one z danych empirycznych, dodatkowo zwiększa wiarygodność modelu. Rolą takiego modelu jest zatem nie tylko planowanie i optymalizacja infrastruktury czy wsparcie podejmowania decyzji, ale również zwiększenie akceptacji i zaufania do proponowanych rozwiązań przez decydentów.

Zacznąć od najprostszego

Czy to oznacza, że stałam się miłośniczką skomplikowanych modeli? Zdecydowanie nie. Tyle, że używam modeli agento-



wych przede wszystkim po to, żeby zrozumieć, dlaczego (być może) coś się dzieje tak, a nie inaczej. Dlatego nadal uważam, że zawsze należy zaczynać od możliwie najprostszego modelu, który można stopniowo komplikować, dodając kolejne elementy, jeśli okaże się to konieczne. Dlaczego, moim zdaniem, należy zaczynać od jak najprostszego modelu? Po pierwsze, prosty model jest łatwy do opisania, co oznacza, że inni badacze mogą powtórzyć nasze wyniki, co jest kluczowe dla rzetelności i wiarygodności badań. Niektórym może się wydawać dziwne, że wymieniam ten powód jako pierwszy, ale przekonałam się, że w społecznym modelowaniu agentowym

dokładny opis modelu stanowi często niemałe wyzwanie. Wielokrotnie spotykałam się z sytuacjami, w których opis modelu w publikacji był na tyle nieprecyzyjny, że uniemożliwiał samodzielną implementację komputerową w celu powtórzenia wyników. Co więcej, nawet jeśli do publikacji dołączano kody, często okazywały się one niezgodne z koncepcją opisaną w artykule. Wyglądało to tak, jakby jedna osoba opracowała model, a inna go zakodowała, lecz model był na tyle skomplikowany, że autor nie potrafił przekazać swojej myśli programiście. Drugim powodem, dla którego warto zacząć od prostego modelu, jest możliwość jego dogłębnej analizy. Jeśli model jest prosty,



Rys. Sławomir Makal

możemy dokładnie zbadać wpływ wszystkich parametrów na jego zachowanie, przeprowadzić tzw. analizę wrażliwości na zmianę parametrów itd. Innymi słowy, z łatwością moglibyśmy odpowiedzieć na pytania typu: „A co, jeśli jeden z mieszkańców tego miasta umrze?”. Po trzecie, tylko proste modele są uniwersalne, co jest szczególnie cennie przez fizyków, a przecież z fizyki wyrosłam. W końcu po czwarte i dla mnie najważniejsze, proste modele pomagają odkryć, które czynniki są kluczowe dla obserwowanego zjawiska. Pytanie jak modelować w sposób rzetelny? Posłużę się tym razem przykładem z modelowania agentowego w ekologii, które ma już ponad pięćdziesięcioletnią tradycję.

W latach 80. XX wieku Adam Łomnicki, wybitny polski biolog ewolucyjny i ekolog, wprowadził koncepcję modeli opartych na jednostkach (individual-based), jako sposób na badanie procesów ekologicznych poprzez symulację zachowań i interakcji poszczególnych organizmów w populacji. Historycznie istniały pewne subtelne różnice pomiędzy modelami opartymi na jednostkach i agentowymi. Obecnie jednak te różnice zanikają i coraz częściej używa się obu terminów zamiennie. W obu przypadkach, podobnie zresztą jak w modelowaniu mikroskopowym, w ramach fizyki statystycznej, chodzi o modelowanie zjawisk makroskopowych z poziomu mikro. Dlatego metody modelowania oparte na jednostkach wypracowane w ramach ekologii mogą być z powodzeniem stosowane również poza nią. Jedną z takich metod, którą uważam za wyjątkowo cenną, jest modelowanie oparte na wzorcach (pattern-oriented modeling) poprzez kontrastowanie alternatywnych, mikroskopowych reguł decyzyjnych.

Istotę tej metody znakomicie opisano w artykule przeglądowym pt. *Pattern-Oriented Modeling of Agent-Based Complex Systems: Lessons from Ecology*, opublikowanym w 2005 roku w „Science”. Jednym z opisanych tam przykładów jest model agentowy ławic ryb. Jako punkt wyjściowy przyjęto ogólny model zachowania stadnego, tzw. boidów, opracowany przez Craiga Reynoldsa w 1986 roku. Boidy, czyli obiekty przypominające ptaki (bird-oid), starają się unikać kolizji (tzw. reguła separacji), dopasowywać prędkość do sąsiadujących jednostek (tzw. reguła wyrównania) oraz trzymać się blisko sąsiadów (tzw. reguła spójności). W ramach tego uniwersalnego modelu można zbudować wiele alternatywnych, doprecyzowując w odpowiedni sposób trzy reguły modelu, tj. separację, wyrównanie i spójność. Ta uniwersalność sprawia, że model boidów można stosować nie tylko do opisu stad ptaków i ławic ryb, ale również zachowań stadnych wielu innych zwierząt, a nawet ludzi.

Wpływ antykonformizmu na polaryzację w organizacjach

W jaki jednak sposób doprecyzować reguły, tak aby model był realistyczny, ale jednocześnie, żeby można było się z niego dowiedzieć, jak działa układ? W opisanym przykładzie posłużono się ilościowymi danymi z obserwacji prawdziwych ławic ryb dla dwóch cech: odległości między rybami oraz polaryzacji (czyli zgodności kierunków pływania). Te dwie cechy posłużyły jako wzorce do walidacji modeli. Na bazie ogólnego modelu boidów zbudowano jedenaście alternatywnych wersji modelu: w dziewięciu z nich na zachowanie ryb wpływało pewne uśrednione zachowanie wszystkich ryb w sąsiedztwie, a w dwóch ryby reagowały tylko na najbliższego sąsiada z przodu. Wszystkie jedenaście modeli odtworzyło poprawnie pierwszy wzorzec, ale już nie drugi. Te dwa, w których oddziaływanie zachodziło tylko z jedną rybą, a nie wszystkimi w sąsiedztwie, nie odzwierciedliły dobrze polaryzacji. Jak widać, aby ocenić poprawność konkretnego założenia w przytoczonym przykładzie dotyczącego

wpływu sąsiedztwa na sposób poruszania się ryb, nie wystarczy analizować tylko jednego wzorca ani też pojedynczego modelu.

Podobnie staramy się robić w przypadku społecznych modeli agentowych. Weźmy jako przykład modele dynamiki opinii, które są głównym przedmiotem moich badań. Nawet jeśli koncentrujemy się na najprostszych modelach, w których agenci są jak koraliki w modelu Schellinga, to okaże się, że istnieje cała rodzina modeli opisujących jak zmieniają się opinie pod wpływem oddziaływań pomiędzy agentami. W niektórych modelach bierzemy pod uwagę wpływ całego sąsiedztwa, w innych tylko jego mały wycinek itd. Dlatego, gdy badamy jakieś zjawisko, robimy to równolegle w ramach kilku alternatywnych modeli. Na przykład ostatnio zaczęliśmy badania dotyczące wpływu antykonformizmu na polaryzację w organizacjach. Z jednej strony odmienne poglądy mogą przynosić korzyści, takie jak wzrost innowacyjności, elastyczności oraz lepsze rozpoznawanie potencjalnych zagrożeń. Z drugiej strony, głęboka polaryzacja jest często destrukcyjna. W związku z tym jednym z największych wyzwań, przed którymi stają liderzy zespołów, jest skuteczne zarządzanie różnorodnymi punktami widzenia. Wiele badań pokazało, że antykonformizm, czyli przeciwstawianie się grupie, wzmacnia polaryzację. Jednak antykonformizm niejedno ma oblicze. Nasze wstępne badania pokazały, że pewne formy antykonformizmu mogą nie tylko sprzyjać osiągnięciu konsensusu, ale również przeciwdziałać polaryzacji, a nawet depolaryzować wcześniej spolaryzowane grupy. Badania będziemy kontynuowali przez następne cztery lata w ramach grantu Opus Lap „Rola antykonformizmu w kolektywnej adaptacji społecznej”, we współpracy z grupą psychologów z Complexity Science Hub w Wiedniu. Jednym z zadań w tym projekcie jest rozwinięcie modeli agentowych w celu zrozumienia roli antykonformizmu w depolaryzacji spolaryzowanych grup społecznych. Będziemy to robić w ramach kilku alternatywnych modeli, w oparciu o eksperymenty społeczne.

Mówiąc o modelowaniu, często przytacza się brytyjskiego statystyka George E.P. Boxa: „Wszystkie modele są błędne, ale niektóre są przydatne”. Zawsze gdy słyszę lub czytam tę sentencję, to myślę sobie, że w sumie to dobrze, że „modele są błędne”, przecież nam wcale nie chodzi o dokładne odtworzenie rzeczywistości. Gdy o tym teraz piszę, to przypominam mi się dzieło Pabla Picassa *Byk*. Składa się ono z jedenastu litografii ukazujących byka na różnych etapach abstrakcji, zaczynając od szczegółowego, realistycznego przedstawienia, a kończąc na uproszczeniu go do kilku abstrakcyjnych linii. Ta droga od złożoności do prostoty pokazuje poszukiwania prawdziwej istoty byka. Podobny jest cel mojej pracy badawczej: znaleźć istotę danego zjawiska i dzięki temu lepiej zrozumieć mechanizmy, które nim rządzą. Nie zapominajmy jednak o drugiej części cytatu, która mówi, że „niektóre są przydatne”. Przecież to, do czego ma się przydać model, określa, jak powinien być zbudowany. Niektórzy wykorzystują modele agentowe do prognozowania, na przykład wyborów prezydenckich czy wyników referendum. Inni używają modeli agentowych do budowania scenariuszy, jako narzędzia wspierającego podejmowanie decyzji, a jeszcze inni, jako narzędzia dydaktycznego czy promocyjnego. Dlatego niektóre modele są bardzo rozbudowane. Jako fizyczka w świecie nauk społecznych rozumiem i akceptuję to, że nie zawsze budujemy model, by odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego?”. Wciąż jednak uważam, że zawsze warto sprawdzić, co się stanie, jeśli się taki model uprości. Rzeczywistość jest skomplikowana, ale czy to zawsze ma znaczenie?

Prof. dr hab. Katarzyna Sznajd-Weron, Katedra Nauk Humanistycznych i Społecznych Wydziału Zarządzania Politechniki Wrocławskiej

Zbigniew Drozdowicz

Rodzaje krytyki

Problem nie tylko w tym, aby nie wypowiadać się w sposób niegrzeczny, ale także w tym, aby ugrzecznione wypowiedzi nie zastępowały merytorycznej krytyki. Rzecz jasna, zdarza się to nie tylko w nauce. Jednak w niej jest szczególnie szkodliwe, bowiem może oznaczać przyzwolenie na bylejąkość lub nawet powielanie starych błędów.

Bez krytyków i krytyki ludzkość zapewne znalazłaby sobie jakieś jaskinie do życia i współżycia z innymi, jednak być może pozostawałaby w nich do dzisiaj. Problem w tym, że nie każda krytyka buduje lepszą przyszłość nie tylko w życiu codziennym, ale także akademickim. W tych rozważaniach wskażę jedynie na dwa jej rodzaje, które jeśli nawet nie rujnują, to hamują jego rozwój. Spróbuję również odpowiedzieć na pytanie, jakie kwestie są szczególnie istotne w naukowej krytyce.

Dzika krytyka

Tytułowe określenie nawiązuje do obrazów dzikich ludów, które kreślone były w opozycji do wykreowanego w okresie oświecenia mitu „szlachetnego dzikusa”. Jednym z krytyków tego mitu był Karol Dickens. W eseju pt. *Szlachetny dzikus* (1853) stwierdził: „Nie mam najmniejszej wiary w Szlachetnego Dzikusa. Uważam go za ogromne utrapienie i ogromny przesąd. (...) Szlachetny dzikus wyznacza króla, aby panował nad nim, któremu bez szemrania i pytania poddaje swoje życie i członki, i który przez całe życie brodzi głęboko w jeziorze krwi; ale który po nieustannym zabijaniu zostaje z kolei zabity przez swoich krewnych i przyjaciół w chwili, gdy na jego głowie pojawia się siwy włos. Wszystkie wojny szlachetnego dzikusa z innymi dzikusami (a nic innego nie sprawia mu przyjemności) są wojnami eksterminacyjnymi (...). Nie ma on żadnego rodzaju uczuć moralnych; a jego «misję» można podsumować jako po prostu diabelską”. Nie podzielam opinii, że taki dzikus nie miał żadnego rodzaju uczuć moralnych. Moim zdaniem je miał, tyle tylko że były one związane z jego elementarnymi potrzebami, jak zaspokajanie głodu, oraz elementarnymi instynktami i popędami, takimi jak instynkt przetrwania oraz popęd do rozmnażania się i zapanowania nad swoim bliższym i dalszym otoczeniem. Występują one nie tylko u ludzi, ale także u zwierząt. Ewolucja, która doprowadziła do pojawienia się homo sapiens, polegała m.in. na tym, że taki dzikus w większym stopniu niż inne gatunki potrafił opanować umiejętności, które pozwoliły mu przejąć kontrolę nad swoim bliższym i dalszym otoczeniem. Jedną z nich jest umiejętność krytykowania, które przynajmniej z założenia ma przynieść więcej korzyści niż strat.

Na pytanie, czy rodzaj krytyki, jaki był udziałem dzikus, przetrwał wielowiekowe próby, skłonny jestem odpowiedzieć twierdząco. Potwierdzeniem tego są m.in. dzikie krytyki ideologów komunizmu wszystkich tych, których uznawali oni za

klasowych wrogów, oraz dzikie krytyki różnego rodzaju rasistów, którzy przyjmują założenie o wyższości swojej rasy nad wszystkimi innymi. Nie chciałbym zanadto wchodzić na grunt polskich realiów politycznych. Powiem zatem jedynie ogólnie, że warto się nieco uważniej przyjrzeć pod tym kątem słowom krytyki pojawiającym się na mównicy sejmowej oraz na politycznych wiecach. Sporo takiej krytyki pojawia się również na forach internetowych, na których prym wiodą tzw. hejterzy. Dzikie „obrzucanie błotem” (z nadzieją, że coś z niego się „przyklei” do krytykowanych osób lub instytucji) pojawia się również od czasu do czasu na łamach prasy. Bardziej złożona jest odpowiedź na pytanie, czy pojawia się ono w akademickim życiu. Zapewne nie ma na to przyzwolenia w publicznych wystąpieniach uczonych. Takie przejawy dzikiej krytyki jak odmawianie innym prawa do bycia pełnoprawnym członkiem społeczności wprawdzie się pojawiają, ale raczej w rozmowach prywatnych. Podobnie jest z używaniem takich dyskredytujących słów jak „dureń” czy „kretyn” oraz takich gestów jak pukanie się w czoło po wypowiedziach konkurentów do akademickiego panowania. Życie akademickie jest jednak tak bogate w słowa i gesty, że nawet najbardziej prymitywne instynkty i popędy można wyrazić bez narażania się na uznanie za dzikusów w tym bądź co bądź cywilizowanym towarzystwie. Potwierdzeniem mogą być chociażby opinie w procedurach awansowych, w których opiniujący nie potrafią się zdobyć ani na jedno tzw. dobre słowo o osiągnięciach osób opiniowanych. Natomiast formułują zarzuty budzące zdumienie nie tylko u ocenianych osób, ale także u postronnych obserwatorów.

Ugrzecznona krytyka

Zapewne dzikie ludy wypracowały swoje formy grzecznościowe. Jednak przestały one być przydatne w okresie, gdy przeszedł proces ucywilizowania i doszły do grzeczności, jaka obowiązuje chociażby w dyplomacji. Rzecz jasna, nawet w niej zdarzają się przypadki krytyki, która budzi poważne zastrzeżenia krytykowanych. Jeśli nie została ona wcześniej uzgodniona z tymi, którzy powołali dyplomatów na stanowiska, to zwykle oznacza ona dla nich koniec dyplomatycznej kariery. W środowisku akademickim reakcja krytykowanych na nieokrzesanego krytyka może się sprowadzać do uznania go za źle wychowanego i ewentualnie unikania z nim kontaktów. Wiele jednak zależy od tego, jaką pozycję w środowisku ma krytyk i kogo krytykuje. Można powiedzieć, że im większego formatu jest to

uczony, tym ma większe przyzwolenie na krytykowanie tych, którzy nie podzielają jego poglądów. Rzecz jasna, niejednokrotnie korzysta z takiego przyzwolenia. O jego wielkości świadczy jednak również to, w jaki sposób z niego korzysta i kogo krytykuje. Przynajmniej w przypadku najbardziej znaczących uczonych jest to krytyka, w której nie brakuje grzecznościowych zwrotów w rodzaju: „wielce szanowny kolego” czy „mój drogi

przyjacielu”. Przykładem może być chociażby bogata korespondencja Alberta Einsteina z innymi uczonymi, w tym z Maxem Bornem, którego wprawdzie uznawał za swojego przyjaciela, ale którego poglądów na indeterminizm nie podzielał. Niestety nikt nie jest tak doskonały, aby nie można mu było zarzucić jakiejś niegrzeczności. Dotyczy to również Einsteina. Żona Borna - Hedwig Born - „wspominała, że pewnego razu Einstein oświad-



Rys. Sławomir Medal

czył: «Jeśli chodzi o was, kobiety, waszym narządem twórczym nie jest mózg». Natomiast jego biografowie - R. Highfield i P. Carter - dodają przy tym, że „wykazywał niewiele zrozumienia dla dążeń do równouprawnienia płci”.

Problem jednak nie tylko w tym, aby nie wypowiadać się w sposób niegrzeczny, ale także w tym, aby ugrzecznione wypowiedzi nie zastępowały merytorycznej krytyki. Rzecz jasna, zdarza się to nie tylko w nauce. Jednak w niej jest szczególnie szkodliwe, bowiem może oznaczać przyzwolenie na bylejąkość lub nawet powielanie starych błędów. Z takimi przypadkami można spotkać się zarówno u mało, jak i bardziej doświadczonych uczonych. Ci pierwsi mogą się tłumaczyć nie tylko brakiem akademickiego doświadczenia, ale także obawą, że merytoryczna krytyka mogłaby im bardziej zaszkodzić niż pomóc w dalszej karierze. Niejednokrotnie też pozostają oni pod takim „urokiem” swoich mistrzów i nauczycieli, że nawet do głowy nie przychodzi im krytykowanie, a jeśli już któryś dostrzeże u nich jakieś błędy, to są one w gruncie rzeczy drugorzędne. Z takimi przypadkami spotykałem się niejednokrotnie jako opiniodawca w procedurach awansowych. Z kolei bardziej doświadczeni uczeni ugrzecznionej krytyce mogą się kierować zarówno źle pojmowaną spolegliwością, jak i zwyczajnym wygodnictwem. Znacznie łatwiej bowiem jest sformułować opinię ugrzecznoną niż zakończoną negatywną konkluzją. W grę wchodzić może jednak jeszcze wiele innych czynników, jak chociażby zrozumienie dla sytuacji osób, dla których negatywna opinia może oznaczać koniec akademickiej kariery, czy presja otoczenia, aby mimo wszystko dać im kolejną szansę na „rozwiniecie naukowych skrzydeł”. To, że osiągnęli oni już apogeum swoich intelektualnych możliwości i żadna ugrzecznona krytyka tego nie zmieni, oznacza wprawdzie, że blokują miejsca dla zdolniejszych od siebie, ale nie musi przecież oznaczać katastrofy w nauce. Jeśliby zastosować wobec nich „brzytwę Ockhama” i „wyciąć” nią wszystkie mało uzdolnione osoby, to zapewne pozostałaby jeszcze grupa uzdolnionych badawczo uczonych, ale byłaby dużo mniej liczna niż obecnie. Co więcej, można byłoby spotkać się z zarzutem, że takie postępowanie nie różni się w swoich następstwach od tego, które K. Dickens przypisywał dzikim ludom, a tego przecież nie chcą nawet ci, którzy wypowiadają się bardzo krytycznie o uzdolnieniach i kwalifikacjach zawodowych członków akademickiej społeczności.

Naukowa krytyka

Na temat tej krytyki wypowiadali się zarówno naukowcy, jak i filozofowie. Karl. R. Popper w swoim dziele pt. *Wiedza obiektywna* przypisał jej główną rolę nie tylko w rozwoju nauki, ale także w innych obszarach zachodniej kultury. W świetle tego dzieła jest ona kulturotwórcza wtedy i tylko wtedy, gdy wychodzimy w niej od jasno sformułowanej sytuacji problemowej, następnie formułujemy możliwie wiele śmiałych hipotez oraz poddajemy je falsyfikacji (próbie wykazania ich fałszywości) i dochodzimy do nowej sytuacji problemowej, w której prawo bytu mają jedynie hipotezy, których fałszywości nie udało się wykazać. Powtarzamy jednak próby, zawiązując coraz bardziej „pola możliwości”, zbliżając się z każdym kolejnym krokiem do wiedzy, którą uznajemy za obiektywną. Takie pojmowanie krytycyzmu spotkało się z krytyką m.in. Jürgena Habermasa. W *Teorii działania komunikacyjnego* zarzucił on Popperowi „uwięzienie w empirystycznym kontekście”. Przywołując te poglądy na naukową krytykę przede wszystkim dlatego, że zawierają takie jej sztandarowe pojęcia jak: obiektywizm, sprawdzalność hipotez czy empiryzm.

Problem nie tylko w tym, że pojęcia te mają charakter wieloznaczny, ale także w tym, że dzisiaj jest już stosunkowo

niewielu skłonnych podążać za wskazaniami filozofów. Nie brakuje również głosów, które stawiają pod znakiem zapytania miejsce filozofii na liście dyscyplin zasługujących na miano naukowych. Dziedziny i dyscypliny, które mają na niej mocną pozycję, są jednak tak mocno zróżnicowane, że to, co może być i jest w nich przedmiotem naukowej krytyki, również jest mocno zróżnicowane. W naukach formalnych (takich np. jak matematyka) szczególnie istotna jest zarówno niesprzeczność, którą może dać jedynie rygorystyczne trzymanie się reguł logicznego wynikania, jak i jednoznaczność, którą mogą dać jedynie jasne i jednoznaczne definicje. Pojawienie się tzw. błędu kwantyfikacji, w którym kwantyfikator przesłanki jest sprzeczny z kwantyfikatorem wniosku, może być i nadal jest uznawane za najpoważniejsze uchybienie. W naukach empirycznych (takich np. jak biologia) priorytetem może być m.in. sprawdzanie twierdzeń poprzez eksperymenty. Przedmiotem naukowej krytyki mogą jednak w nich być zarówno błędy merytoryczne, np. oparcie rozumowania na fałszywych założeniach, jak i błędy formalne, np. nieprecyzyjne formułowanie twierdzeń. Jeśli jednak takie błędy się nie pojawiają, to pozostaje jeszcze szerokie pole do ich popełnienia w procedurze sprawdzania prawdziwości lub fałszywości formułowanych twierdzeń. Zdaniem przywoływanego tutaj K.R. Poppera, większe ryzyko popełnienia błędu występuje w sprawdzeniu przez weryfikację (próbę wykazywania ich prawdziwości) niż falsyfikację (próbę wykazywania ich fałszywości). Problem w tym, że w tych naukach twierdzenia ogólne nie mogą być bezpośrednio rozstrzygane empirycznie, lecz muszą być „przełożone” na twierdzenia jednostkowe. Takie „przekładanie” może również dawać okazję do popełnienia poważnych błędów, jak np. błąd podwójnego liczenia zdarzeń w rozumowaniu probabilistycznym. Jeszcze więcej okazji do naukowej krytyki dają nauki humanistyczne i społeczne, bowiem w nich niejednokrotnie do wymienionych tutaj błędów dochodzą błędy ekwiwokacji (swobodnego używania terminów mających wiele różnych znaczeń), błędy historyczne (używanie współczesnych standardów poprawności do oceniań zdarzeń niekiedy z odległej przeszłości) oraz bazowanie na autorytetach, które swoje znaczące osiągnięcia miały w przeszłości, ale zostały skorygowane albo nawet sfalsyfikowane.

Istotne role w każdej grupie tych nauk odgrywać mogą również negatywne lub pozytywne nastawienia oraz uprzedzenia, od których trudno się uwolnić nawet najwybitniejszym uczy-nym. Przykładem może być chociażby uprzedzenie Einsteina do możliwości intelektualnych kobiet. Można również zasadnie postawić pytanie: czy opinia Dickensa o dzikich ludach nie była także wynikiem uprzedzenia lub negatywnego nastawienia? Przebywając w Stanach Zjednoczonych, zapoznał się on wprawdzie z wystąpieniami Indian przeciwko białym kolonizatorom, którym towarzyszyły krwawe rozrachunki, jednak mimo wszystko nie było to „brodzenie w jeziorze krwi” przez indiańskich wodzów. Rzecz jednak w tym, że Dickens był literatem, nie zaś uczy-nym, a jego dokonania pisarskie oceniane były i są w kategoriach literackich, jak chociażby używanie sugestywnych metafor. Nie potrafię jednak krótko i jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, co jest szczególnie ważne w krytyce literaturoznawczej. Rzecz jasna Dickensa można chwalić za oryginalność stylu, ale raczej należałoby go krytykować za takie przedstawianie dzikich ludów, jakby nie miały nic lepszego do roboty niż mordowanie swoich wrogów oraz starców, którzy byli dla nich już tylko ciężarem w zdobywaniu i dziele-niu się wojennym łupami. W XIX w. mogło ono bowiem mieć wpływ na kreowanie i upowszechnianie obrazu „szlachetnego” kolonizatora, który przekazuje dzikim ludom wszystko to, co w cywilizowanym świecie najlepsze.

0 habilitacji i nie tylko

Postulaty przed nowelizacją ustawy

O ile dla nauki A zniesienie habilitacji nie stanowiłoby większego problemu, to w nauce B i C istnienie habilitacji ciągle stanowi istotny bodziec stymulujący ukierunkowaną aktywność naukową po doktoracie. Ocena wniosków habilitacyjnych pozostawia wprawdzie wiele do życzenia, jednak samo istnienie bariery habilitacji ogranicza choćby możliwości uzyskania puli stanowisk decyzyjnych przez osoby o kiepskim dorobku, ale dużych ambicjach.

W ostatnich miesiącach, zanim kwestia niefortunnego projektu ustawy o PAN zdominowała dyskusje o polskiej nauce, przedmiotem wielu rozważań była kwestia habilitacji. Grupa naukowców postulowała jej zniesienie; podniosły się jednak także głosy za utrzymaniem habilitacji. Co można jeszcze dodać do listy argumentów przedstawianych w tej dyskusji?

Argument przeciw habilitacji: Wybitne osiągnięcia naukowe, będące w naukach przyrodniczych zwykle wynikiem zbiorowego (także koncepcyjnego) wysiłku, są „niehabilitowalne”. Obowiązująca ustawa mówi (Art. 219 p. 1 ust 2): „Osiągnięcie [...] może stanowić część pracy zbiorowej, jeżeli opracowanie wydzielonego zagadnienia jest indywidualnym wkładem osoby ubiegającej się o stopień doktora habilitowanego”. Czy Watson i Crick mogliby uzyskać w Polsce habilitację, przedstawiając jako osiągnięcie stanowiące jego podstawę jedną z najważniejszych prac biologii XX wieku („Nature” 1953), a będące wynikiem wspólnej pracy koncepcyjnej? Obawiam się, że nie, byłby nawet kłopot z zaliczeniem jej do „cyklu powiązanych tematycznie artykułów naukowych” ze względu na przytoczony warunek. Przykład, powiecie Państwo, jest abstrakcyjny, odkrycie tej rangi nam nie grozi (choć właściwie dlaczego?), ale chcę zwrócić uwagę na konieczność wyboru przez habilitanta własnej tematyki, która jest z reguły (tak być nie musi, lecz zwykle jest) tematyką raczej indywidualną, niekoniecznie związaną z główną linią badań jednostki. Perspektywa habilitacji wymusza więc w naukach przyrodniczych partykularyzację tematyki badawczej.

Argument za: Znaczenie habilitacji zależy od punktu, z jakiego na nią patrzymy. Niewątpliwie mamy w Polsce naukę A, B a nawet C. Ten rozkład jakości (w istocie ciągły) niekoniecznie pokrywa się z wynikami kategoryzacji (większość jednostek ma status B+; ministerialna punktoza nauczyła prawie wszystkich należytego zdobywania punktów za publikacje, niekiedy przy pomocy firm wyspecjalizowanych w takich usługach). O ile dla nauki A zniesienie habilitacji nie stanowiłoby większego problemu, to w nauce B i C istnienie habilitacji ciągle stanowi istotny bodziec stymulujący ukierunkowaną aktywność naukową po doktoracie. Ocena wniosków habilitacyjnych

pozostawia wprawdzie wiele do życzenia, jednak samo istnienie bariery habilitacji ogranicza choćby możliwości uzyskania puli stanowisk decyzyjnych przez osoby o kiepskim dorobku, ale dużych ambicjach.

Finanse, konkursy, staże...

Wydaje mi się jednak, że dla polepszenia statusu polskiej nauki kwestia istnienia czy nieistnienia habilitacji ma znaczenie marginalne. Oczywiście główną bolączką stanu polskiej nauki jest niski poziom jej finansowania. Nie chcę tu rozważać kwestii wynagrodzeń pracowników nauki, bo to wymagałoby odrębnego artykułu, ograniczając się do kwestii skromnych funduszy, które mają „podtrzymywać potencjał badawczy”, umożliwiając podstawową działalność naukową. Zwiększenie poziomu finansowania tych działań (gdyby kiedyś miało nastąpić) nie powinno być jednak automatyczne (np. wzrost finansowania każdej jednostki o 100 czy 200%). Istnieją zespoły, które nie mają pomysłu, jak wydać środki na podtrzymanie działalności badawczej; są miejsca, gdzie zakupiona aparatura stoi nierozpakowana bądź nie jest użytkowana przez lata. Zwiększenie poziomu finansowania polskiej nauki (wierzymy, że kiedyś nastąpi) musi być sprzężone z radykalnymi zmianami jej funkcjonowania.

Na całym świecie istnieją lepsze i gorsze ośrodki naukowe. Poziomu badań nie da się polepszyć czy wyrównać administracyjnie. Słuszne jest wspieranie najlepszych, ale czy nie należy też zadbać o to, by znacząco poprawić poziom funkcjonowania tych, które nie należą do czołówki, a które przez swoją liczebność pochłaniają większość środków?

Celowe byłoby rozszerzenie roli funduszy grantowych jako źródła środków na badania w oparciu o otwarte, przejrzyste, uczciwe ogólnokrajowe konkursy, premiujące innowacyjne badania. Konieczne byłoby wprowadzenie rzeczywistych, a nie pozornych konkursów na etaty uczelniane i na tej podstawie zatrudnianie zarówno nowych pracowników, jak i obsadzenie zwalnianych i nowych stanowisk liderów grup badawczych. Taka praktyka stosowana jest w wielu instytutach naukowych, natomiast uczelnie zazwyczaj stosują strategię sukcesji przez

osoby z własnego, wsobnego chowu. Ogłaszane konkursy są zazwyczaj pozorne i zasadne jest nieoficjalne pytanie kandydata z innego ośrodka, czy konkurs jest rzeczywisty i czy ma sens składanie kandydatury (bardzo często odpowiedź jest negatywna).

Niektóre instytucje wprowadziły wymóg podoktorskiego stażu zagranicznego jako warunku stałego zatrudnienia. Pokrywało się to z pierwotnie sformułowanym wymogiem stażu jako warunku habilitacji. Warunek ten został stopniowo złączony do granic absurdu (killkudniowy pobyt po konferencji czy wspólna publikacja z ośrodkiem zagranicznym uznawane są za spełnienie tego wymogu przez niektóre komisje habilitacyjne). A przecież wymóg jest w moim przekonaniu głęboko uzasadniony. Wprawdzie obecnie nie trzeba nigdzie wyjeżdżać, by być nawet w codziennym kontakcie z kolegami pracującymi w Stanach Zjednoczonych czy Australii, jednak przebywanie w innym, dobrym środowisku naukowym daje coś więcej: rozszerzenie horyzontów myślowych, przekonanie się (a możliwe jest to w ramach dłuższego pobytu), że praca naukowa polega na czymś więcej niż obecność w pracy między dziesiątą a czternastą, by poplotkować przy kolejnych kawach i odbyć zajęcia dydaktyczne, że pracuje się przez wiele miesięcy, zwykle we współpracy z innymi ośrodkami, na dobre publikacje, że okresowo krytycznie dyskutuje się postęp badań własnych zespołu i aktualne prace związane z badanym zagadnieniem, że punktoza nie jest naczelnym kryterium działalności zawodowej.

Chodzi o strzelenie gola

Nieporozumieniem wydaje się istnienie armii wykładowców i starszych wykładowców niemających obowiązku uczestnictwa w pracy badawczej. Przekazywanie przez lata stanu wiedzy z momentu ostatniego osobistego kontaktu z nauką nie służy jakości nauczania. Bardziej celowa wydaje się stosowana w niektórych krajach zasada płynnego regulowania stosunku pomiędzy pracą badawczą a pracą dydaktyczną, zależnie od predyspozycji i osiągnięć na obu polach, z reguły w kierunku pracy dydaktycznej w miarę upływu czasu, ale bez ograniczenia do niej.

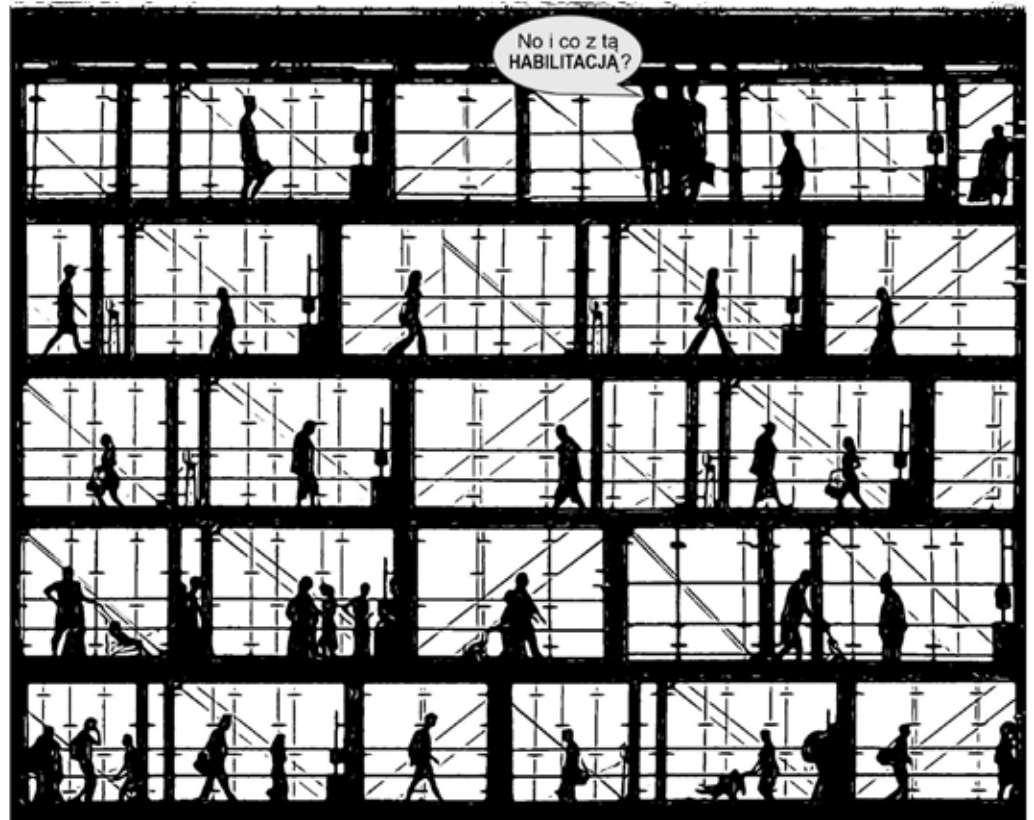
Konieczność odejścia od punktozy, szczególnie w obowiązującej obecnie postaci, wydaje się oczywista. Obecny system porównać można do systemu oceniania piłkarzy na podstawie liczby kroków zrobionych na boisku. System ten jest oczywiście obiektywny, chodzi jednak o coś innego – o strzelenie gola (wniesienie cennego wkładu do nauki), który może, ale nie musi korelować z liczbą poczynionych kroków.

Pomocny mógłby być w takiej ocenie system oceny jednostek naukowych wzorowany na systemie oceny instytutów PAN przez działające przy poszczególnych wydziałach PAN rady kuratorów. Komisje rady kuratorów nie mają wprawdzie uprawnień do kategoryzacji, ale analizują osiągnięcia instytutów i ich słabe punkty, struk-

turę kadry naukowej, współpracę międzynarodową, atmosferę pracy i inne aspekty, formułując zalecenia i oceniając ich realizację przy następnej wizycie. W skrajnych przypadkach formułowane są wnioski o rozwiązanie lub fuzję instytutów. Czy nie można byłoby analogicznej ocenie merytorycznej, komplementarnej do oceny punktowej, poddać wydziałów uczelni? Dydaktyka prowadzona na uczelniach podlega ocenie Państwowej Komisji Akredytacyjnej; dlaczego ocena działalności naukowej ma być oparta wyłącznie na punktozie? Kompetentna ocena merytoryczna badań, wskazania, które kierunki badań rokuja, a których nie warto rozwijać, jaką politykę kadrową prowadzić – z pewnością byłaby pomocna. W komisjach oceniających mogliby także uczestniczyć członkowie PAN i PAU, służąc swoją wiedzą, doświadczeniem i dbałością o obiektywność ocen; takie rozwiązanie dałoby tym instytucjom nowe pole aktywności.

No dobrze, ale co z habilitacją? W obecnej sytuacji, charakteryzującej się mniejszościowym udziałem ilościowym nauki A, jej zniesienie wydaje się przedwczesne. Co więcej, konieczne jest podniesienie jakości oceny wniosków habilitacyjnych. Obowiązujący system losowania recenzentów zwiększa szanse bezstronności oceny, jednak zmniejsza szanse oceny maksymalnie kompetentnej. Czy nie byłoby celowe umożliwienie wyrażania opinii o wniosku habilitacyjnym wszystkim zainteresowanym na zasadzie otwartych recenzji? Opinie te nie musiałyby być wiążące dla komisji habilitacyjnej, ale byłyby pomocne w ocenie. Nie wątpię, że istnieje wiele pomysłów w kwestii habilitacji i funkcjonowania polskiej nauki; dobrze byłoby, aby szeroka dyskusja poprzedziła nowelizację ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce, a najcenniejsze postulaty tej dyskusji znalazły odbicie w nowej wersji ustawy.

Prof. dr hab. Grzegorz Bartosz, biofizyk, pracownik Katedry Biofizyki Molekularnej na Wydziale Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego



Rys. Sławomir Makal

Harwardzki Yard

Wolność słowa a idea uniwersyteckiej edukacji

Wchodząc na zamknięty dla postronnych gości kampus Uniwersytetu Harvarda, w jego najstarszej części zobaczyłem obóz solidarności ze Strefą Gazy. Harvard Yard, z propalestyńskim miasteczkiem namiotowym i hasłami: „Stop z ludobójstwem!” z jednej strony, i hasłami „przeciw antysemityzmowi” wykrzykiwanymi przez studentów żydowskich przed bramą wejściową przy Harvard Square z drugiej strony, stał się tej wiosny symbolem wolności słowa, a zarazem przestrzenią zderzenia światopoglądowej odmienności.

Jak pogodzić opowieść o ponadczasowych wartościach uniwersyteckiej edukacji z reakcjami studentów na bieżące konflikty? Proponuję połączenie intelektualnego wiatru dwóch Noblistek Marii Ressay i Olgi Tokarczuk.

Dwie nieprzenikające się narracje. Mur pozbawiony czułości

Wchodząc na Harvard Yard na początku maja 2024 r., widziałem miasteczko namiotowe i protestujących studentów. Obserwowałem wiece i czytałem transparenty z hasłami: „Stop z ludobójstwem w Gazie!”. Słuchałem przemówień absolwentów podczas ceremonii wręczania dyplomów, słów noblistki Marii Ressay, dziekan Bridget Long i okrzyków: „Let them walk!” podczas marszu w obronie studentów ukaranych dyscyplinarnie za udział w proteście na kampusie. Najwyższy organ zarządzający Harvardu odmówił im bowiem nadania stopni naukowych. Wiedziałem o przesłuchaniach przed Kongresem, na które wezwano rektorów największych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych.

W dniach ceremonii rozdawania dyplomów i wygłaszania przemówień na Harvard Yard widziałem też, jak protestujący studenci z flagami Autonomii Palestyńskiej mierzą się wzrokiem z rodzinami rozciągającymi flagę Izraela z przyklejonymi zdjęciami masakry z 7 października 2023 r. Wzrok oddawał przepaść, tworzył szczelny mur dzielący przestrzeń na dwie nieprzenikające się narracje.

Szybko się przekonałem, że bieżące sytuacje społeczne, wyborcze konflikty rozniecają debatę o zaangażowaniu uniwersytetów w bieżące sprawy świata i zderzają ją z pragnieniem wolności słowa. Wir wydarzeń wciągnął uniwersytety w kontekst sporu i wymusza ponownie przemyślenie tego, jak zmieścić w jednej przestrzeni opowieść o wartościach, zdolność odpowiedzi na bieżące konflikty z nauczaniem przekraczającym teraźniejszość. Jak spiąć w całość kulturową różnorodność studentów, ich światopoglądowe odmienności i umocnić wiarę w wolność słowa? Taki plan sytuacyjny zastałem na Harwardzkim Yardzie.

Studentka: Walka ze współczesnym kolonializmem

W czasie ceremonii rozdania dyplomów w Harvard Graduate School of Education głos zabrała studentka Aryana Kamelian. Wyszła od przypomnienia wymarłego plemienia Masachusetts (ang. Massachusetts – stąd nazwa stanu, w którym mieści się Uniwersytet Harvarda), których Anglicy najeźdźcy spotkali po swoim przybyciu na tereny dzisiejszego Bostonu. Mówiąc o okrucieństwie kolonializmu, szybko zbudowała pomost do zasadniczej części wypowiedzi: „Dzisiaj my także musimy przeciwstawić się współczesnemu kolonializmowi i powiedzieć, że zgłaszamy wsparcie dla determinacji oraz chęci samostanowienia dla Strefy Gazy. Wyrazić sprzeciw wobec okrucieństwa i ludobójstwa, jakie tam się odbywają”. To wywołało falę aplauzu. Gdy dodała, że Harvard musi odstąpić od czerpania jakichkolwiek profitów ze współczesnego kolonializmu, flagi palestyńskie poszły w górę. W oddali z kolei było widać transparenty z flagą Izraela z napisami o rodzącym się antysemityzmie.

Dziekan: Wolność słowa, neutralność i prywatność

Kluczowe jest to, co się stało po wystąpieniu Aryany Kamelian. Dziekan Bridget Long weszła na podium, uśmiechnęła się i powiedziała: „Wolność słowa jest integralną częścią naszej instytucji”. Znów flagi Autonomii Palestyńskiej powędrowały w górę, a okrzyki o ludobójstwie wypełniły wielki namiot, ustawiony przed Harvard Radcliffe Institute. Druga część wypowiedzi Long jednak mocno ostudziła entuzjazm. Dziekan zaznaczyła, że słowa studentki Kamelian to jej prywatny głos i tego głosu nikt nie będzie uciszał. Dodała jednak stanowczo, że nie jest to głos ani stanowisko instytucji czy społeczności harwardzkiej. Według Long, niebawem po odejściu z urzędu jej głos także należeć będzie do prywatnej obywatelki i będzie mogła ponownie eksponować swoje osobiste poglądy. Jednocześnie wyczuwając sprzeciw i brak aprobaty u młodych słuchaczy, dziekan przypomniała, że jako społeczność i jako instytucja HGSE zablokowała ciężarówkę, prezentującą twarze studentów, którzy podpisali tzw. solidarnościowy pakt propalestyński.

Rektorzy uniwersytetów na dywaniku

Dynamika rozmowy w czasie ceremonii wręczenia dyplomów na Harvardzie oddaje trzy zasadnicze komponenty szerokiej i burzliwej dyskusji, która finalizuje się dzisiaj nie tylko w mediach, ale na dobre zagościła również w salach Kapitolu Stanów Zjednoczonych. To właśnie w kontekście rozbudowanych akcji protestacyjnych z okrzykami i hasłami antysemitycznymi, pojawiającymi się w trakcie stawiania miasteczek namiotowych na uniwersytetach amerykańskich, rozpoczęły się przesłuchania rektorów wielu instytucji naukowych. Jedno z nich przykuło uwagę wszystkich, a mianowicie przesłuchanie i słowa senator E. Stefanik (R-NY) do rektor Uniwersytetu Harvarda, Claudine Gay.

Sedno sporu z rektor Harvardu i przedstawicielami innych uniwersytetów sprowadza się do kwestii, że wszystkie głosy krytykujące Izrael, wedle wielu, w tym senator Stefanik, mają w sobie komponent antysemityzmu i jako takie winny być potępione i nigdy niebronione jako wolność wypowiedzi. W trakcie przesłuchania w Kongresie rektor Harvardu mówi mniej więcej tak: Uniwersytet odrzuca nękanie lub zastraszanie osób ze względu na ich przekonania, i dodaje, że to zobowiązanie obejmuje nawet poglądy, które wielu z nas uważa za nie do przyjęcia lub nawet skandaliczne. Uzupełnia swoją wypowiedź stwierdzeniem: nie karzemy ani nie sankcjonujemy ludzi za wyrażanie takich poglądów. Dziekan HGSE, słuchając wypowiedzi studentki grzmiącej o ludobójstwie dokonywanym przez Izraelczyków, również nie kwestionuje jej wolności słowa, nie krytykuje, nie wyłącza jej mikrofonu. Utrzymuje w mocy zobowiązanie do wolności wypowiedzi. Ale nie potępiając indywidualnej wypowiedzi, nie zatwierdza jej w żaden sposób instytucjonalnie.

Napięcie między neutralnością a zaangażowaniem

Wracając ponownie do głosu senator Stefanik, skierowanego do rektor Harvardu, i biorąc pod uwagę odpowiedź Claudine Gay, słyszymy, że Harvard potępia barbarzyńskie okrucieństwa popełnione przez Hamas, zaś wydalenie studenta, o co

dopytuje senator, może odbyć się tylko wtedy, kiedy dochodzi do niedopuszczalnych czynów, czyli kiedy wypowiedź przeraża się w zachowanie. Dociskana, czy słowa o intifadzie nie są przekroczeniem czerwonej linii, Claudine Gay odpowiada dwutorowo, że dla niej osobiście takie słowa są nie do przyjęcia i budzą w niej sprzeciw, ale nawet dalece idące słowa nie niweczą podtrzymywanego zobowiązania do wolności wypowiedzi. To zobowiązanie jest powiązane z neutralnością instytucjonalną. Tak chce się to widzieć, choć jednocześnie istnieje silna presja, aby wydawać oświadczenia w reakcji na terażniejszość, co też Harvard zrobił ostatnio, zawieszając na maszcie flagę Ukrainy. Czuje się więc napięcie między zachowaniem neutralności a potrzebą wygłaszania sprzeciwu czy opowiadaniem się za określonymi wartościami.

Strategia obrony wolności słowa

W wypowiedziach oficjeli widać też dokładnie, że owe hasła i głosy protestujących studentów chce się traktować jako wyrazy opinii i poglądów, a nie jako wypowiedzi nękające i wyrażające znamiona znęcania się nad kimś. To przemyślana strategia obrony wolności słowa – mówienie, że nie doszło do złamania zasad Harvardu, który przeciwstawia się zastraszaniu i nękaniamu.

Co więcej, obroną obejmuje się wypowiadające je osoby. Milczy się zatem o konkretnych osobach, dlatego na liczne pytania senatorów rektorzy uniwersytetów odpowiadają, że nie będą omawiać konkretnych przypadków. Ceną za zobowiązanie do wolności słowa okazała się jednak wymuszona rezygnacja rektor Harvardu ze stanowiska. Ale zobowiązanie do wolności zostaje utrzymane, a głos studentki w czasie Ceremonii Rozdawania Dyplomów w Harvard Graduate School of Education może wciąż brzmieć w uszach słuchaczy.

Zaufanie, wrażliwość, rozmiłowanie – splecione głosy noblistek

Wolności słowa, swobody wyrażania opinii broniła pośrednio również filipińska dziennikarka, laureatka Pokojowej



Campus Uniwersytecki, Harvard



Namioty protestujących studentów: Campus Uniwersytecki, Harvard, maj 2024

Nagrody Nobla za 2021 rok, Maria A. Ressa (główna mówczyni w czasie ceremonii), mówiąc: „Protesty dają głos; nie powinny być uciszane”. Odniosła się bezpośrednio do głosu studentów, którzy w swoich wystąpieniach podczas ceremonii rozdania dyplomów na Harvardzie wspominali o trzynastu z nich, pozbawionych stopni naukowych przez Harvard Corporation.

Spróbujmy spojrzeć na debatę na Harvardzkim Yardzie szerzej, niejako jeden most dalej, do czego – jak sądzę – zachęcał głos Ressa. Nawiązując do wolności słowa, Ressa mówiła o czymś, co trzeba uznać za fundamenty tej wolności. Laureatka Pokojowej Nagrody Nobla wskazywała, że na powrót na pierwszym planie w życiu społecznym trzeba postawić fakty i prawdę: „Bez faktów nie ma prawdy, a bez prawdy nie ma zaufania”. „Zderzając się z ogromną ilością dezinformacji – kontynuowała Ressa – straciliśmy przede wszystkim zaufanie do siebie, bowiem odchodząc od faktów i prawdy utraciliśmy

coś, co można nazwać dzieleniem wspólnej rzeczywistości”. Bez dzielenia wspólnej rzeczywistości nie ma mowy o zaufaniu. Zaufanie dokonuje się w horyzoncie wspólnej rzeczywistości. Bez faktów tworzących wspólny horyzont poznawczy i komunikacyjny dochodzi do erozji demokracji wraz z wolnością słowa. Wówczas, jak dodaje, budzą się i nabierają mocy faszystowskie demony.

Emocjonalna wrażliwość w społecznej debacie

Zatrzymując się w tym miejscu, byłibyśmy w połowie drogi. W przekazie Ressa do młodych ludzi było coś więcej. Prawda i fakty budujące zaufanie wymagają jeszcze czegoś subtelniejszego, a mianowicie „emocjonalnej wrażliwości i uznania polegającego na pozwoleniu sobie na bycie widzianym i poznanym takim, jakim naprawdę się jest, zamiast jakim chciałoby się być”.

Wedle mówczynie „oznacza to bycie otwartym i szczerym w kwestii swoich uczuć, myśli i potrzeb oraz bycie podatnym na



Ceremonia rozdawania dyplomów, Campus, Harvard 2024

emocje i reakcje innych”. Czytam to tak, że mówienie o faktach musi się zacząć od prawdy o sobie samym, czyli od stanu, w którym jesteśmy otwarci na możliwość pokazania siebie takimi, jakimi jesteśmy. Noblistka uważa, że ta prawda o sobie samym otwiera okienko na wpływ innych na nasze życie. Ale tylko szczerosc na swój temat jest początkiem przywołania faktów, przez to jest krokiem do zbudowania zaufania. Osadzenie w tak zakreślonej przestrzeni wolnej debaty samo ją ograniczy i nada jej głębszy sens. Są już fakty i jest zaufanie.

Czułość i wielkie idee unoszą się w powietrzu

Odczułem w tym przekazie rodzaj intelektualnego wiatru, który spiał w mojej głowie wypowiedź Ressa z głosem drugiej noblistki, Olgi Tokarczuk. Wielkie idee unoszą się przecież w powietrzu i łączą ze sobą. To, co jedna noblistka (Ressa) nazywa dzieleniem wspólnego świata i zaufaniem oraz potrzebą poddania się wpływowi innych, druga (Tokarczuk) nazywa czułością. Chodzi mi o czułość, którą laureatka Literackiej Nagrody Nobla za 2018 rok określa jako spontaniczną i bezinteresowną. Czułość, która wykracza daleko poza empatyczne współodczuwanie. Bo czułość – jak pisze Olga Tokarczuk – jest „głębokim przejściem się drugim bytem” i – co ważne, a co czytamy w kolejnym akapicie – „czułość dostrzega między nami więzi, podobieństwa i tożsamość”. Dlatego właśnie „jest tym trybem patrzenia, który ukazuje świat jako żywy, żyjący, powiązany ze sobą, współpracujący i współzależny”.

Przy takim zestawieniu wypowiedzi dwóch noblistek można zatem powiedzieć, że wolność słowa musi się zacząć od dzielenia wspólnej rzeczywistości, od faktów, prawdy i zaufania, a jednocześnie musi być to powiązane z takim trybem patrzenia na innych, w którym dostrzegamy, że w naszym życiu jesteśmy współzależni, zatem nasze słowa muszą tę współzależność i zaufanie cementować. Wówczas samorzutnie słowa stają się zawsze za czymś, nigdy przeciwko komuś.

Nie dajmy się zarekwirować przez ekstremizm

Brakuje w tym wszystkim jeszcze jednego elementu. Odnalazłem go w pasjonującym przemówieniu Irvina Scotta, głównego mówcy podczas uroczystości wręczenia dyplomów w HGSE. Mówił on o postawie radykalnej miłości, w którą współczesny młody człowiek musi być wyposażony. A my

jako nauczyciele musimy im w tym pomóc. W wielkim skrócie, radykalna miłość to nade wszystko radykalna zdolność słuchania innych. Słuchając innych w trybie czułości i przyjaźni, jak mówił Scott, przekraczamy istniejące między nami różnice, nie dajemy się zarekwirować przez ekstremizm podziałów. Co mnie uwiódło w tym przemówieniu, to zestawienie radykalnej postawy sympatii do innych z radykalną postawą wytrwałego słuchacza. Wytrwałość to kluczowa cnota w edukacji.

Włączmy tryb czułego rozmówcy i wytrwałego słuchacza

Podsumowując, warto zacząć od pasji słuchania, uzbrojenia się w wytrwałość. Radykalizm dezinformacji musi spotkać się z radykalizmem z drugiej strony. Sednem tego radykalizmu ma być postawa słuchacza z wrażliwością i włączonym trybem czułości dostrzegania między nami więzi, podobieństwa oraz tożsamości. Wówczas fakty o nas samych zaczynają tworzyć współdzieloną rzeczywistość, a wraz z nią rodzi się zaufanie. W takiej przestrzeni wolność słowa jest wewnątrznie niejako samorzutnie regulowana, odmienne opinie nie są przeciwko komuś, ale są zawsze za czymś. Poruszają się w przestrzeni faktów, a ich wyrażanie uwzględnia współodczuwanie.

Słuchając wykładów na Harvard Yard, wylapałem idee krążące w powietrzu po dwóch stronach Atlantyku, płynące z umysłów dwóch wyjątkowych noblistek. Skłoniło mnie to do refleksji nad naszymi uniwersytetami. Zastanawiam się, jak dalece w Polsce kieruje uczącymi taka pasja i siła, aby zaszczerpieć studentom opisany radykalizm słuchacza, przywiązanie do prawdy i włączanie trybu czułego rozmówcy, głoszącego z dumą własne opinie, ale i z otwartością na zmianę samego siebie. Nie wiem, czy tak jest. Nie mam jednak wątpliwości, że bez tak nakreślonej edukacji każdy uniwersytet wcześniej czy później odzwierciedli wewnątrznie ów zawieszony w powietrzu mur, który zobaczyłem między osobami trzymającymi flagi Izraela i Palestyny na Harvard Square.

Dr hab. Arkadiusz Gut, profesor na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, kierownik Katedry Kognitywistyki. Doktor filozofii (KUL) i psychologii (UW). Dwukrotny stypendysta FNP, Fundacji Fulbrighta, Fundacji Batorego. Wielokrotny beneficjent grantów NCN i MNiSW. Prowadzi Fundację Pro Liberis et Arte.



Rozmowa z Januszem Koziółem, kierownikiem Muzeum Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie

„Gipsy” i modele

Muzeum w sensie ekspozycyjnym nie zamyka się na współczesność, jednak łatwiej nam jest ściągnąć odbiorców i zwiedzających, jeżeli puszczyliśmy oko do historii, bo takie są wobec nas oczekiwania.

Muzeum ASP w Krakowie powstało w 2003 roku dzięki decyzji ówczesnego rektora, prof. Jana Pamuły. Tymczasem tradycje gromadzenia zbiorów sięgają początków uczelni. Jaki charakter miały najstarsze kolekcje?

Kiedy profesor Jan Pamuła podejmował decyzję o utworzeniu Muzeum, istniały już metody pozwalające realizować te zadania, których muzeum wobec dziedzictwa musi się podjąć, mimo że funkcjonujemy w codzienności muzeum uczelnianego. Pamiętajmy, że szkoła nazywana już wówczas Akademią została powołana w 1818 roku w strukturach Uniwersytetu Jagiellońskiego i zaczęła tworzyć swoją tradycję, której kontynuatorem jesteśmy. Już w XIX wieku pojawiła się świadomość, że jeżeli istnieje potrzeba kształcenia artystów, a nie tylko rzemieślników czy ludzi doraźnie zajmujących się sztuką, to trzeba też świadomie tworzyć kolekcje, które dzięki tej wartości, jaką jest czas, będą przybierać na wartości materialnej oraz wartości w sensie dydaktycznym, dokumentalnym, sentymentalnym, a także narracyjnym, bo pozwolą na rozpostarcie skrzydeł i stworzenie opowieści np. o początkach szkoły czy o XIX-wiecznym Krakowie. Ojcowie założyciele szkoły, dwaj Józefowie, Brodowski i Peszka, podróżują więc po całej Europie i kupują prace, których oryginały sięgają wielu wieków wcześniej. Gdy szliśmy na to spotkanie, minęliśmy całą kolekcję gipsowych odlewów rzeźb antycznych. Czas ich powstania jest niemal współczesny założycielom Szkoły Rysunku i Malarstwa.

Paradoksalnie więc – pierwsze zbiory to kopie dzieł sztuki.

Tak, musimy pamiętać, że świadomość potrzeby utworzenia muzeum w szkole artystycznej pojawiła się dużo później. Ergo – ta kolekcja rzeczywiście składała się z kopii, ale nie nazwałbym jej jeszcze kolekcją muzealną, tylko kolekcją tworzoną na potrzeby szkoły. Należy jednak z całą mocą podkreślić: kolekcją tworzoną świadomie.

Co mówią obecne zbiory muzealne na temat XIX-wiecznej dydaktyki prowadzonej w krakowskiej uczelni?

Wiele osób odwiedzających akademię jest zaskoczonych tym, że eksponowany w budynku zbiór odlewów nie służył tylko dekoracji, ale zaspokajał potrzeby dydaktyczne. Studium rysunku „z gipsu” było przedmiotem obowiązkowym, do zaliczenia. Pozostajemy pod wrażeniem umiejętności, ale także cierpliwości ówczesnych studentów.

Czy podstawą nauki malarstwa także było wykonywanie kopii uprzednio skopiowanych dzieł dawnych mistrzów?

Rozmawiamy, siedząc w Sali Senackiej. Patrzy na nas Jerzy Nowosielski i patrzy Zygmunt Papiński namalowany przez Jacka Malczewskiego. Ale mamy tu także przedstawienia kobiet i mężczyzn w konkretnym świetle, w konkretnych pozach. Aby zrozumieć wartość takich prac, musimy cofnąć się do XIX wieku. Dzisiaj jesteśmy obdarzeni olbrzymią łaską dostępu do informacji, kiedyś takiej łatwości nie było. Wyobraźmy sobie sytuację młodego człowieka, który rozpoczynał kształcenie z nadzieją, że zostanie artystą – kopie oraz te dzieła, które wiszą dzisiaj na ścianach, stanowiąc stałą ekspozycję, były dla niego okazją zanurzenia się w świat tego, co może spotkać w oryginałach, gdy w przyszłości będzie podróżować po Europie. Nie kto inny, a wielki Wojciech Korneli Stattler w 1830 roku wyjechał do Rzymu, by uzyskać wsparcie materialne tamtejszej Polonii i przeznaczyć je na zakup odlewów gipsowych i kopii malarzkich. Zresztą pozwolę sobie odejść od tematu kopii i odwołać się do oryginałów. W gabinecie rektora znajduje się zbiór prac przypisywanych Philippo Ferdinandowi de Hamiltonowi, malarzowi flamandzkiemu, który żył w latach 1664-1750 i stworzył na dworze cesarskim w Wiedniu. Zbiór określany jest jako *Atlas roślin i zwierząt*. W sensie artystycznym prace nie budzą wielkiego zachwytu, natomiast na pewno silnie oddziaływały na wyobraźnię ówczesnego studenta, który mógł zobaczyć egzotyczne rośliny i zwierzęta, jakich nigdy nie spotka w Polsce. Metody kształcenia artystów były na tyle ciekawe oraz odmienne od naszych współczesnych wyobrażeń, że stały się przedmiotem zainteresowania historyków. Zresztą, jeśli o historykach mowa, Salę Senacką zdobi obraz *Audycja posła polskiego u sultana* autorstwa Lucjana Wędrzychowskiego. Wiadomo, że ten malarz, kształcący się u Feliksa Szyndlerowskiego, szlifujący później umiejętności u samego Matejki, znajdował inspirację w pracach Jeana Baptiste’a Vanmoura lub Pierre’a-Paula Sevina, niemniej mam przyjemność, jako historyk z wykształcenia, przynajmniej raz do roku spotykać się z historykami specjalizującymi się w relacjach Rzeczypospolitej z Imperium Tureckim, którym bardzo zależy na możliwości obejrzenia tego płótna.

Zasady kształcenia artystów ulegają pewnej zmianie w czasach Juliana Fałata, oprócz kopiowania odlewów czy obrazów wprowadza się także pracę z modelem.

Naturalnie, musimy jednak pamiętać o tym, że do pracy z modelem, z żywym człowiekiem, można było przejść dopiero po zaliczeniu rysunku z gipsu. Taka kolejność miała związek

z nabywaniem swobody technicznej, po prostu posąg się nie poruszał, studenci mieli więcej czasu na rysunek i dopiero po nabyciu pewnej biegłości mogli rysować modela, który potrzebuje przerw w pracy albo może nieco zmienić pozę. To interesująca historia, albowiem od czasów Juliana Fałata, który chciał zrzucić bagaż historii na rzecz artystycznego „tu i teraz”, zaczęły się pojawiać spory o znaczenie rysunku. Byli i tacy, którzy chcieli go wyeliminować zupełnie. Co ciekawe, przeciwny takiemu rozwiązaniu był Jacek Malczewski, który twierdził, że figurę trzeba umieć narysować, by mieć swobodę jej późniejszego dowolnego potraktowania.

Jaka jest rola darczyńców w tworzeniu kolekcji obecnie Muzeum ASP?

Artyści związani z uczelnią mieli świadomość, że jeżeli kształcenie ma być coraz lepsze, to kolekcja musi się powiększać, także w ten sposób, aby studenci mieli kontakt z pracami swoich nauczycieli i mistrzów. Dziś może byśmy określili kolekcję tych prac jako muzealną, ale wówczas miała ona działać w sposób motywujący i dowartościowujący: „popatrzcie, jakie nazwiska pojawiają się w naszych murach; jeśli tak uznani artyści przekazują nam swoje prace, to nie jesteśmy zwykłą szkołą malarstwa i rysunku”. Trzeba jasno powiedzieć, że szkoła w Krakowie szybko uzyskała renomę, co spowodowało przyływ wartościowych dzieł. Józef hrabia Załuski, pełniący od 1826 roku funkcję kuratora generalnego instytutów naukowych Wolnego Miasta Krakowa, wprowadził zasadę zobowiązującą profesorów akademii do przekazywania jednej ze swoich prac do zbiorów uczelnianej galerii. Zarządzający szkołą, a później akademią, byli świadomi tego, że kolekcji nie tworzy się na rok, ale na całe dziesięciolecia czy nawet

stulecia. Rola darczyńców miała wtedy oraz ma dzisiaj fundamentalne znaczenie.

Kolekcja zapewne poszerzała się także za czasów Jana Matejki, który choć rzadko bywał w Szkole Sztuk Pięknych, to bardzo dbał o jej sprawę...

Tak, jednocześnie ze wspomnień ówczesnych słuchaczy wyłania się obraz Matejki, którego często fizycznie nie było w pracowni, ale wszyscy czuli jego obecność. Jest w tym jakaś metafizyka. Jan Matejko na pewno nie zaniedbywał swoich obowiązków jako dyrektor, co jest bardzo ważne chociażby z perspektywy tego budynku, w którym się znajdujemy. Dwa piętra wyżej, w naszym archiwum, są komplety dyplomów, a zarazem świadectw tego, w jaki sposób odbywało się kształcenie i ta administracja prowadzona była doskonale. Najważniejsze jest to, co Matejko dał akademii, bo przecież jesteśmy w budynku, który powstał na parceli ofiarowanej przez niego szkole – wówczas jeszcze nie w ścisłym centrum Krakowa, ale na Kleparzu – zaraz przy plantach i barbakanie. Budynek Szkoły Sztuk Pięknych według projektu Macieja Moraczewskiego, wykształconego w Berlinie architekta, został wzniesiony bardzo szybko. Uroczyste otwarcie gmachu nastąpiło w 1880 roku. To nie było przypadkowe budowanie; świadomie wznosi się gmach, w którym będzie się kształcić artystów, który buduje zaufanie tych, co na niego patrzą, i w którego murach mogą kształtować się kolekcje przydatne do kształcenia malarzy, rysowników czy rzeźbiarzy, chociaż muszę dodać, że już za wspomnianego wcześniej Juliana Fałata miały miejsce studenckie protesty wynikające z niewystarczających warunków pracy. Wracając jednak do czasów Matejki, naszą wielką wartością są rysunki ilustrujące działania młodych artystów. Rysunki gipsów, ale także modeli,



Janusz Koziół ze zwiedzającymi Muzeum ASP, kwiecień 2023

Fot. Robert Słusznik



Fot. Robert Szusznak

Otwarcie wystawy *Tadeusz Kantor – Cafe Europe* w Muzeum ASP, listopad 2023

mężczyzn. To stanowi trwałe dziedzictwo Akademii, a będąc świadomymi jego istnienia i znaczenia, jesteśmy zobowiązani wykorzystać muzealne instrumenty, by je chronić, zachować, ale także, a może przede wszystkim, informować o nich i zachęcać do dialogowania z artystyczną przeszłością i reinterpretowania jej.

Prace składające się na kolekcję były pozyskiwane także od społeczności Krakowa oraz od studentów, którzy

niejednokrotnie działali potem jako czynni artyści, można więc obserwować całą ich drogę twórczą.

Prace pozyskuje się na skutek świadomego działania ludzi związanych z akademią. My deklarujemy, że chcemy budować sieć przyjaciół i mecenasów ASP. Dość wcześnie, wszak już w połowie XIX wieku, powstał pomysł przekazywania prac studenckich, ale nie jesteśmy w stanie stwierdzić, na ile był on skuteczny. Mamy jednak piękne zespoły i teki rysunków, dzięki którym widać, jak wiele samodyscypliny i zaangażowania ówcześni studenci wkładali w to, żeby zaliczyć przedmiot, żeby ich praca została zaakceptowana i oceniona pozytywnie. Są też i słabsze prace studentów, którzy gdzieś przemknęli przez akademię, widać w nich tęsknotę do przedstawienia tego, co widzą, co jednak przychodzi im z trudem. Żeby była jasność: tych tzw. nieudanych prac nie jest wiele.

A w jaki sposób obecnie pozyskuje się prace?

Każde muzeum powiększa zbiory na drodze zakupów, darów lub przekazów. Nasze dzisiejsze działania głównie oparte są na tym, co możemy zaobserwować podczas wystawy końcoworocznej. Próbujemy zjednać sobie sympatię studentów, aby przekazywali swoje prace do zbiorów. Chcemy pozyskiwać i pokazywać zwłaszcza dobre prace, świadczące o tym, co młodych ludzi fascynuje w danym czasie, aby gdy nas tu już nie będzie, za 50 czy 60 lat, można było uchwycić pewne tendencje, które dotychczas np. obecnego dziesięciolecia.

Studenci przekazują swoje prace w darze, czy może akademia dysponuje środkami na ich zakup?

Nie różnimy się tutaj od muzeów w Rzeczypospolitej. Wiemy, że naszym zadaniem jest powiększanie kolekcji, a jed-



Fot. Robert Szusznak

Otwarcie wystawy *Tadeusz Kantor – Cafe Europe* w Muzeum ASP, listopad 2023

nocześnie borykamy się z niewielką ilością środków, jakimi dysponujemy. Wciąż liczymy na sympatię studencką i chęć wsparcia naszej misji. Przed nami jednak bezwzględnie jest konieczność określenia warunków i sposobów pozyskiwania prac do kolekcji w oparciu o transfer środków płatniczych. Ufam, że ten duch przekazywania prac, zostawienia jakiegos śladu po sobie w akademii nie zagaśnie. Natomiast – szczęśliwie – mamy olbrzymią konkurencję. To mnie cieszy, że bardzo dużo prac jest pokazywanych poza Akademią, są one przedmiotem zainteresowania ludzi, którzy prowadzą galerie, kuratorów, którzy organizują wystawy. Z jednej strony trochę zatem żałuję, widząc, co opuszcza ten gmach i już tu nie wróci, ale z drugiej mam świadomość, że muzeum podlega pierwotnej funkcji akademii. Niech więc studenci idą w świat, bo to jest dla nich najważniejsze.

Sytuacja muzeów jest różna. Muzea samorządowe w większości borykają się z absolutnym brakiem środków i toczą walkę o utrzymanie się na powierzchni, jeśli chodzi o powiększanie kolekcji. Towarzyszy nam świadomość tego, jak istotne jest budowanie dziedzictwa miejsca, dziedzictwa czasu, w którym dane dzieło powstało. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ma program, który sprzyja tworzeniu kolekcji sztuki współczesnej, ale jak zawsze środki są niewspółmierne do potrzeb. Instytucje, niezależnie czy to wiodące muzea państwowe, czy mniejsze, samorządowe, muszą dialogować z twórcami, także z posiadaczami prywatnych kolekcji, których istnienie może być w przyszłości zagrożone. I podobnie może być w Akademii Sztuk Pięknych. Co prawda nie jesteśmy w koszyku muzeów uprawnionych do aplikowania o środki ministerialne ze wspomnianego programu, ale często uczelnie i instytucje mają przyjaciół i my też tę ścieżkę eksplorujemy. Jeżeli będziemy robić dobre wystawy, dobre programy edukacyjne, to ściągniemy tu nie tylko osoby zainteresowane studiami, ale ludzi, którzy wcześniej bali się przekroczyć próg akademii, tymczasem teraz mogą wejść do akademii jak do muzeum, nasycić się wystawami, ale także tym niepowtarzalnym zapachem, tą

atmosferą... Jeżeli zbudujemy i utrwalimy w Krakowie markę miejsca, gdzie dzieją się ciekawe rzeczy, to będzie nam łatwiej występować w roli partnera działań kulturalnych, a w sensie muzealnym – godnego przechowawcy dzieł sztuki.

Jak skomentuje pan stwierdzenie, że wystawy aranżowane w budynku ASP „mówią o przeszłości, ale zawsze w kontekście tego, co jest istotne teraz”?

Fantastyczny dla mnie jest dwugłos pomiędzy muzeum ASP a naszą galerią uczelnianą, która świetnie funkcjonuje i proponuje znakomity program. Galeria nie ma swoich zbiorów, zbiory gromadzi tylko muzeum, ale dzięki współpracy jesteśmy w stanie zwrócić uwagę na to, co w danym momencie historii jest istotne. Muzeum w sensie ekspozycyjnym nie zamyka się na współczesność, jednak łatwiej nam jest ściągnąć odbiorców i zwiedzających, jeżeli puszcza my oko do historii, bo takie są wobec nas oczekiwania. Nie znaczy to, że mamy mówić tylko o Matejce czy Wyspiańskim. Mówimy o przeszłości, ale i terażniejszości.

A które ekspozyty muzealne są panu szczególnie bliskie?

Cały czas chciałbym stawiać się w roli widza, nawet w muzeum, w którym pracuję. Jest fascynujące, że jeszcze mnie nie znudziło codzienne przekraczanie tych samych korytarzy. Patrząc na to, co mijam w drodze do muzeum, jak akademia żyje, i mimo że jestem muzealnikiem i drogi jest mi numer inwentarzewy na każdym muzealium, to z olbrzymią radością patrzę, co się tworzy w galeriach zarządzanych przez studentów, co ciekawego jest na wystawach. Jako muzealnik wiem, że chciałbym te prace mieć wpisane we własne inwentarze, nie po to, by je schować na zawsze, ale z przekonaniem, że będą jeszcze wykorzystane. Z tego, co zastałem, fascynuje mnie wiele wątków, a zwłaszcza zbiór rysunków studenckich, ilustrujący to, co się tutaj dzieje. Niektórzy z autorów stali się później profesorami i przyznam, pomimo tego, że fizycznie jest uciążliwe przygoto-



Fot. Robert Słusznik

Spotkanie w Sali Senackiej ASP w Krakowie, kwiecień 2024 Fot. Robert Słusznik

wanie się do kwerendy, żeby pokazać komuś rysunki, które być może wejdą do wystawy, to jednak przeglądanie każdej teczki jest dla mnie fascynującą przygodą, także dlatego, że patrzę na człowieka, który został w rysunku utrwalony. Nie przestanie mnie to fascynować.

Kto zajmuje się konserwacją prac zdeponowanych w muzeum?

Mam przywilej codziennej pracy z koleżanką dr Magdaleną Szymańską-Alonso, która jest konserwatorką i zarazem absolwentką krakowskiej ASP. Jak w każdym muzeum przeglądamy i typujemy muzealia do konserwacji, a jeżeli przychodzi prośba o wypożyczenie jakiegoś muzealium, to sprawdzamy, czy jego stan zachowania na to pozwala. Bardzo się cieszę, że studenci przychodzą do naszego muzeum przynajmniej na wernisaże. Marzy mi się sytuacja wysuniętego przyczółku ASP i to nam się powoli udaje. Ostatnio mamy dobry czas. W 2022, dzięki uprzejmości i zaangażowaniu Andrzeja Starmacha, pokazaliśmy wystawę obrazów Nowosielskiego, w ubiegłym roku mieliśmy wystawę rysunków Kantora dzięki współpracy z Cricoteką. Mamy cudowne wnętrza, a więc marzy mi się także sytuacja, w której ta współczesna, pełna fantastycznych studentów akademii będzie miejscem, do którego można wejść, ale gdzie nikt nie będzie krzychał „proszę nie dotykać eksponatów”. Wydaje mi się, że akademii potrafi już o sobie opowiadać i ta opowieść jest bardzo ciekawa: z różnych punktów widzenia, o różnych okresach, o różnych postaciach, które się tutaj przewinęły. Wiem, że zasadniczą misją akademii jest kształcenie, ale czemu nie pokazywać, jak to kształcenie wyglądało, albowiem tych, którzy się tutaj wykształcili, możemy dziś spotkać w różnych



foto: Krystyna Matuszewska



foto: Krystyna Matuszewska

muzeach narodowych i w najlepszych galeriach europejskich. Chciałbym więc, żeby w naszym wielkim gmachu te małe drzwi wejściowe coraz częściej się uchylały.

Czy pojawia się idea narracyjnej wystawy opowiadającej o historii akademii poprzez prace osób z nią związanych, a zarazem mówiącej o specyfice dydaktyki artystycznej, która zmieniała się na przestrzeni lat?

Nasze Muzeum jest częścią Akademii Sztuk Pięknych. Jedną z moich niewielu zalet jest to, że umiem mierzyć siły na zamiary. Na wielką wystawę brakuje nam miejsca, natomiast będziemy pokazywać idee związane z historią czy postaciami ważnymi dla uczelni. W zeszłym roku odwołaliśmy się do naszego patrona, pokazując ekspozycję *W Szkole Sztuk Pięknych Jana Matejki*. Gdybyśmy zapytali kogoś pod barbakanem, kto założył Akademię Sztuk Pięknych, wszyscy odpowiedzą: Jan Matejko. Tymczasem tak nie jest, choć szkoła zawdzięcza Matejce bardzo dużo. Na wystawie pokazaliśmy to, co mamy w zbiorach, nad czym pracowali studenci w czasach Matejki. Krakowskie muzea zapewniają narrację o dziejach miasta i nierzadko całej Polski, natomiast Muzeum ASP, jak każde uczelniane, powinno zadawać sobie jak najczęściej pytanie o to, jakie chce być dla odwiedzających, dla wspierających, jak ma współgrać z Akademią, której jest częścią. Choć mamy ponad 200-letnią tradycję, najważniejsze dzieje się teraz, w głowach i sercach osób studiujących, i to jest żywioł akademii. Mamy całkiem silne karty w tej rozgrywce: jedni z największych artystów patrzą ze ścian na to, że akademii żyje i wypełniona jest fantastycznymi młodymi ludźmi, którzy niebawem także zostaną artystami.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Marek Misiak

Skąd to wiesz?

Dzięki dostępności danych badawczych stają się one własnością całej społeczności naukowej nie tylko do replikowania, ale i do prowadzenia nowych badań. Inni naukowcy mogą operować dzięki temu na większych zbiorach danych, do których wyłącznie we własnym zakresie nie mieliby dostępu i np. dochodzić do wniosków prawdziwych dla dużych, zróżnicowanych populacji.

Jako redaktor czasopisma naukowego słyszę czasem cierpkie słowa od autorów, którzy starają się spełnić wstępne warunki przyjęcia manuskryptu do recenzji lub dotarli do etapu korekty autorskiej i okazuje się, że ona również odbywa się według konkretnych reguł. Kultura osobista i odporność na stres sprawiają, że nie pozwalają sobie na jawne okazanie irytacji czy zniecierpliwienia – w tej pracy można przyjrzeć się z bliska ludziom naprawdę opanowanym (i uczyć się na ich przykładzie). Cierpkość polega na ironii, a przekaz najczęściej da się streścić tak: „Publikuję w czasopismach naukowych od X lat i pierwszy raz stykam się z takimi wymaganiami”. Doświadczenie to cenna rzecz, ale jeśli się z czymś wcześniej nie spotkaliśmy, to nie znaczy, że to jakaś nowinka o wątpliwym sensie. Świat nauki trapią rozliczne problemy i nowości wprowadzane przez czasopisma są często próbami zaradzenia im. Nie ma i w przyszłości na pewno nie będzie możliwości, aby po zebraniu iluś lat doświadczenia usiąść wygodnie i mieć ten komfort, aby stwierdzić: „Teraz już wiem, jak to się robi”. Jako redaktor muszę uczyć się przez całe życie i w podobnej sytuacji są autorzy, nie tylko w swojej dziedzinie badawczej, ale także w bardziej technicznych kwestiach związanych z publikowaniem w czasopismach naukowych.

Wiele nowych rozwiązań nie jest tak naprawdę zupełnie nowych, są już stosowane, ale tylko przez niektóre czasopisma (np. te najbardziej renomowane). Rzadko kiedy następuje szeroko zakrojona rewolucja, częściej ewolucja, gdy dana idea zdobywa prawo obywatelstwa przez lata. Dla przykładu: publikowanie artykułów naukowych w pierwszej kolejności lub wyłącznie online zaczęto praktykować już trzydzieści lat temu, ale normą stało się ono dopiero po ponad dwudziestu latach. Warunkiem szerszego wdrożenia jakiegось rozwiązania jest najczęściej splot dwóch czynników: świadomości, po co to robimy, i łatwej dostępności technologii, dzięki którym możemy robić daną rzecz. Przykładem innowacji szeroko znanej już np. w USA i Wielkiej Brytanii, która jednak wciąż może się wydawać egzotyczna wielu badaczom o ugruntowanej pozycji, jest wymóg (lub przynajmniej mocno sugerowana możliwość) udostępniania czytelnikom danych badawczych (research data sharing). Nie zamierzam tu omawiać jednej, wzorcowej strategii w tym obszarze, chcę tylko nakreślić, jakie są najczęściej praktykowane rozwiązania, aby czytelnik, który wcześniej nie zetknął się z takimi oczekiwaniami przy nadsyłaniu artykułu do czasopisma naukowego, nie był zupełnie zaskoczony.

Jaki jest cel udostępniania

Ktoś mógłby wskazać, że przecież wszystko, co istotne, zawarto w treści artykułu. Podstawowym celem jest przeciwdziałanie konkretnemu, poważnemu problemowi – kryzysowi replikowalności w nauce (reproducibility crisis). Jeśli inni badacze mają mieć możliwość powtórzenia cudzych badań w celu potwierdzenia prawidłowości rezultatów, muszą mieć dostęp do pełnej wiedzy na temat tego, jak pierwszy zespół doszedł do opisanych wniosków. Są też jednak inne zalety łatwej dostępności danych badawczych: w ten sposób stają się one dostępne dla całej społeczności naukowej nie tylko do replikowania, ale i do prowadzenia dalszych, nowych badań. Inni naukowcy mogą operować dzięki temu na większych zbiorach danych, do których wyłącznie we własnym zakresie nie mieliby dostępu, i np. dochodzić do wniosków prawdziwych dla dużych, zróżnicowanych populacji, a nie jedynie niewielkich grup badawczych. Może się też zdarzyć, że ktoś użyje tego samego zestawu danych w nowy sposób i ustali coś zupełnie innego (a też ważnego). W literaturze naukowej na ten temat wskazuje się też, że udostępnianie danych może ułatwiać nawiązywanie współpracy między naukowcami z różnych ośrodków i różnych krajów – od razu można rozmawiać o konkretnych. Zdarza się też, że grantodawcy oczekują nie tylko opublikowania wyników badań w otwartym dostępie, ale także ujawnienia zgromadzonych danych, aby całość efektów wytworzonych za publiczne pieniądze była również publicznie dostępna. Nie są wreszcie rzadkością nierzetelne publikacje naukowe i wymóg ujawniania danych, na których oparto analizy, ma utrudniać próby oszustwa lub pozwalać łatwiej obnażyć niekompetencję.

Co należy udostępnić? Charakter danych zależy od dziedziny nauki i dokładnej tematyki artykułu, nie ma zatem żadnych uniwersalnych standardów co do zakresu lub formatu ujawnianych materiałów. W niektórych węższych obszarach tematycznych wypracowano pewne zasady, ale one również niekoniecznie są powszechnie uznawane. Aby niektórzy autorzy nie udostępniali całych hektarów danych, niektóre redakcje posługują się pojęciem minimalnego zestawu danych (minimal dataset), najczęściej rozumianego jako: 1) tylko dane bezpośrednio związane z badaniami opisanymi w artykule i 2) tylko dane umożliwiające replikację przeprowadzonych działań. Warto też wskazać, że w niektórych obszarach wiedzy istotne może być

ujawnienie tylko danych surowych, w innych tylko przetworzonych, a w jeszcze innych i jednych, i drugich.

Stworzono już klasyfikacje polityk przyjmowanych przez czasopisma naukowe, jeśli chodzi o data sharing. Na użytek tego tekstu przyjmijmy podział jak najprostszy. Jeśli dany periodyk w ogóle wprowadził jakieś regulacje w tym obszarze, to udostępnianie danych może być rekomendowane lub obowiązkowe (poza wyjątkami, o których niżej) oraz następować już w momencie zgłoszenia manuskryptu do danego czasopisma lub dopiero przed publikacją (wówczas wymóg dotyczy tylko artykułów zaakceptowanych do druku). Jeśli natomiast chodzi o kwestie techniczne, dane mogą być dostępne: od autora do korespondencji na żądanie czytelnika (on reasonable request); w repozytorium zewnętrznym – wskazanym/rekomendowanym przez redakcję lub wybranym przez autorów.

Pierwsze rozwiązanie jest rzecz jasna najprostsze, wystarczy wówczas zobowiązywać autorów, aby na końcu artykułu lub w osobnej rubryce (np. przy innych deklaracjach) znalazło się jednozdaniowe sformułowanie, że dane można uzyskać od autora do korespondencji; jeśli zaś jest to niemożliwe, w tym właśnie miejscu powinno być wskazane,

dłaczego tak jest. Takie podejście ma jednak kilka ograniczeń. Po pierwsze, papier przyjmie wszystko i deklarację o udostępnieniu danych mogą także bezrefleksyjnie zamieścić autorzy, którzy nie są wcale przygotowani do podzielenia się nimi, wypełniają po prostu kolejny wymóg redakcji, nie zastanawiając się w ogóle nad jego sensem. Gdy faktycznie ktoś zażąda danych, pojawiają się problemy. Ponadto sformułowanie reasonable request może być różnie rozumiane i można sobie wyobrazić sytuację, gdy ktoś odmawia dostępu do danych, manipulując jego sensem. Po drugie, pozyskiwanie danych na żądanie od autora utrudnia dostęp do nich po stronie recenzentów – niektóre czasopisma (na ile się orientuję, jest to na razie dość rzadkie) ostrzegają autorów, że peer reviewers mogą zajrzeć nie tylko do tekstu, ale także do danych. Taka praktyka jest spotykana także wśród recenzentów statystycznych (jeśli w danym czasopiśmie jest taka osobna funkcja), którzy nierzadko sami żądają od autorów surowych danych statystycznych, ale tego rodzaju dane bywają też udostępniane czytelnikom osobno – jako tzw. Supplementary files – i nie odbywa się to w ramach stricte data sharing, choć za pomocą tych samych metod technicznych (czyli poprzez repozytoria).



Dostęp powinien być możliwy przez wiele lat

Największe ograniczenie rozwiązania opartego na oświadczeniu o możliwości zapewnienia dostępu do danych na żądanie wynika z tego, od czego wyszedłem w niniejszym wywodzie – ze zmienności świata. W artykule zawsze podany jest e-mail autora do korespondencji; co jednak, jeśli autor ten zmieni adres, przejdzie na emeryturę lub umrze? Zwłaszcza na Dalekim Wschodzie namierzenie kogoś, kto nie publikuje regularnie i w cenionych czasopiśmie po angielsku, może być bardzo trudne. Z kim się wówczas kontaktować? Z innymi autorami danego artykułu? Z instytucją podaną w afiliacji autora do korespondencji? Żadna z tych opcji nie daje gwarancji, że uzyskamy cokolwiek, a dostęp do danych powinien być możliwy nawet wiele lat po publikacji artykułu, nie jedynie dopóki dana osoba posługuje się danym adresem e-mail.

Niekiedy autorzy proponują, że udostępnią dane poprzez zwykłą stronę WWW, a nie repozytorium. Taka metoda jest nieco bardziej niezawodna, ale tylko nieco, repozytorium tym właśnie różni się od strony, że ta ostatnia może zniknąć w każdej chwili, a repozytorium daje znacznie większą gwarancję dostępności zdeponowanych plików przez całe dekady i na jasnych warunkach. Dlatego redakcje rosnącej liczby czasopism oczekują umieszczenia pakietów danych w zewnętrznych repozytoriach, optymalnie tych cieszących się największą renomą i najbardziej rozpoznawalnych wśród badaczy

różnych specjalności, np. Zenodo, Figshare, Harvard Dataverse czy Mendeley. W niektórych dziedzinach nauki powstały też bazy przeznaczone do przechowywania i udostępniania danych określonego typu. Niektóre z nich (np. cztery wymienione wyżej) są bezpłatne. Łączą je trzy cechy: 1) są afiliowane przy cenionych instytucjach lub stowarzyszeniach naukowych (np. Zenodo przy CERN); 2) zdeponowane dane może zmieniać tylko osoba mająca dostęp do danego konta, ale pobrać może każdy; 3) przy depozycowaniu plików nadają całemu pakietowi identyfikator DOI. To ostatnie jest kluczowe z punktu widzenia późniejszej dostępności danych dla czytelników danego artykułu. Identyfikator DOI są trwalsze niż adresy URL, będą prowadziły do tego samego obiektu w sieci nawet jeśli URL się zmieni (o ile zostały prawidłowo nadane). Nie każde internetowe repozytorium ma możliwość nadawania DOI, dlatego jest to ważny

argument przy wybieraniu konkretnego repozytorium. Dane w repozytorium są dostępne dla każdego mającego odpowiedni DOI, ale zazwyczaj nie są wyszukiwalne za pomocą wyszukiwarek takich jak Google, Bing czy Yandex.

Sytuacje, gdy podzielenie się danymi nie jest możliwe, można podzielić na pięć kategorii. Pierwszy wyjątek zachodzi wówczas, gdy nie zostały wytworzone żadne nowe dane, np. jeśli autorzy korzystali tylko z danych pozyskanych przez kogoś innego i już publicznie dostępnych; wówczas wystarczy odeśłać do miejsca w sieci, skąd dany zbiór danych można pobrać. Druga możliwość to embargo ze względów komercyjnych, np. jeśli badania były prowadzone w laboratorium prywatnej firmy i posłużą w najbliższym czasie do wniosku patentowego, to dane są uwalniane dopiero po pewnym czasie (możliwe są tu różne rozwiązania ze względu na indywidualne uwarunkowania). Może się też zdarzyć (to trzecia opcja), że dysponentem danych jest podmiot inny niż autorzy (third party), np. jakaś instytucja; to ona będzie decydować o ich ujawnieniu i to tam, a nie do autorów trzeba kierować ewentualne zapytania. Takie sytuacje zdarzają się dość rzadko i również są indywidualnie wyjaśniane, aby w miarę możliwości zapewnić dostęp do danych, ale z pełnym poszanowaniem cudzych praw. Trafiają się wreszcie artykuły (czwarty wyjątek), w których nowe dane są na tyle związane (np. dane liczbowe pomieszczone w kilku tabelach rozsądnych rozmiarów), że można je wszystkie umieścić w artykule i nie ma potrzeby ujawniać niczego więcej poprzez repozytorium.

Gdy trzeba zanonimizować zbiór danych

Zdecydowanie najczęściej zdarza się wyjątek ostatniego, piątego typu: danych nie można udostępnić, gdyż groziłoby to ujawnieniem tożsamości uczestników badań – jest to szczególnie częste w medycynie, ale i psychologii czy socjologii. W takiej sytuacji redakcja wskazuje autorom, jak można zanonimizować dany zbiór danych; trzeba mieć wówczas na uwadze także to, że niekiedy pojedyncze dane nie umożliwiają odkrycia tożsamości badanych, ale powiązania między nimi już tak („łącząc kropki” można np. ustalić, na pacjentach jakich placówek prowadzono badania). Niekiedy pełna anonimizacja jest niemożliwa i wówczas czytelników jasno się informuje, z jakich powodów dane nie są dostępne. Czasami w takiej sytuacji autorzy zgadzają się na udostępnianie danych na żądanie pojedynczym badaczom (którzy np. pisemnie zobowiążą się do zachowania tajemnicy), ale nie na umieszczenie ich w publicznie dostępnym repozytorium. Rozwiązaniem może być też ujawnienie tylko przetworzonych danych, gdyż pełna anonimizacja jest niemożliwa tylko w odniesieniu do surowych.

Polityka poszczególnych czasopism w ogóle oczekujących udostępniania danych badawczych różni się natomiast w odniesieniu do sytuacji, gdy autorzy nie chcą się nimi dzielić, ponieważ mogą być przydatne w dalszych badaniach, a w ten sposób mogłaby uzyskać do nich dostęp konkurencja z innych zespołów czy ośrodków. Nie jest natomiast na ogół akceptowana odmowa bez podania powodu, zakłada się, że autorzy nie dysponują danymi według uznania i jeśli czasopismo wymaga ich ujawnienia, a nie zachodzi żaden z powyższych wyjątków, to taka odmowa jest podstawą do odmówienia publikacji, a jeśli udostępnienie danych jest wymagane już przy zgłaszaniu artykułu – do odmowy skierowania go do recenzji (a zatem do desk rejection).

Na koniec ważne spostrzeżenie: niektóre redakcje jednocześnie z wymogiem udostępnienia danych zabraniają używania w tekście sformułowania data not shown – jeśli zostały zgromadzone jakieś dane, to trzeba je ujawnić; po prostu nie musi się to odbywać w treści artykułu.



Gdzie się ukryły patenty?

Nowoczesne społeczeństwa potrzebują innowacyjnych rozwiązań. Niewyczerpanym źródłem generowania unikatowych pomysłów są bez wątpienia uczelnie. Naukowcy bowiem codziennie prowadzą setki przełomowych niejednokrotnie badań, prezentując potem ich wyniki na łamach różnego rodzaju czasopism. Problem polega jednak na tym, że tego typu przekaz adresowany jest głównie do wąskiego grona specjalistów, podczas gdy większość z nas nie ma zazwyczaj pojęcia, o tym, co dzieje się za murami uniwersytetów. Zdarza się, że najciekawsze idee i rozwiązania zamiast ujrzeć światło dzienne i dotrzeć do szerokiej opinii publicznej, tkwią zamknięte gdzieś głęboko w szufladach. A przecież tylko dzięki upowszechnieniu



specjalistycznej wiedzy można myśleć o wywieraniu realnego wpływu na społeczeństwo. Dzięki temu wpływowi proponowane przez naukowców innowacje staną się opłacalne dla biznesu, który widząc konkretne korzyści, zechce zainwestować środki niezbędne do wdrożenia poszczególnych pomysłów. Jak jednak sprawić, by opatentowane wynalazki nie pozostawały ukryte przed światem?

Z pomocą przychodzi koncepcja ekosystemu innowacji.

Jak czytamy w „Gazecie Uniwersyteckiej” (nr 9/2024), miesięczniku Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, chodzi o to, że w takim systemie uczestnicy dzielą się między sobą informacjami w świadomy i odpowiedzialny sposób. To oznacza, że komunikacja między nauką, biznesem i społeczeństwem odbywa się na zasadach otwartości, a zaangażowanie jest równomiernie rozłożone po każdej ze stron. W przywołanym modelu zakłada się, że podmioty spoza akademii będą zainteresowane tym, co dzieje się na uczelniach. Te z kolei wykażą się otwartością na otoczenie i zechcą podzielić się z nim swoimi dokonaniem. Opisany przepływ informacji między wszystkimi podmiotami jest kluczowy o tyle, że właściwie tylko w oparciu o niego możliwe jest zbudowanie owocnej współpracy. Bez niej bowiem, jak czytamy, nawet najlepszy wynalazek, nie sprawi, że wydajność innowacji ulegnie poprawie.

Kosmiczny filtr

Zainteresowanie wykorzystaniem potencjału transferu technologii kosmicznych na Ziemię sprawiło, że działający na Politechnice Rzeszowskiej im. Ignacego Łukasiewicza zespół „HydroPure” podjął się realizacji innowacyjnego projektu. Wchodzący w skład zespołu badacze postanowili przekształcić filtr stworzony przez Europejską Agencję Kosmiczną



w praktyczne narzędzie, które pozwoli w sposób efektywny i zrównoważony oczyszczać wodór na naszej planecie.

Filtr, o którym mowa, wyróżnia się w sposób wyraźny od dostępnych na rynku rozwiązań. Opiera się bowiem na nowatorskim podejściu wykorzystującym metodę przyrostową w druku 3D z proszku tytanowego. Jego przewagą jest między innymi wysoka odporność na korozję, lekkość, a także monolityczna konstrukcja oraz przekrój wielowarstwowy. Posiadane właściwości sprawiają, że stanowi unikalną konstrukcję, która może znaleźć zastosowanie w wielu różnych obszarach. Na przykład w produkcji i magazynowaniu wodoru czy też w technologiach paliwowych. Dobrze sprawdzi się także w pojazdach wodorowych. Tak szeroki zakres funkcjonalności z pewnością pozwala realnie myśleć o dalszej dywersyfikacji jego użycia w przyszłości.

Zainteresowanych większą ilością szczegółów odsyłamy do lektury „Gazety Politechniki” (nr 1-3/2024).

Drzewa zamiast kozetki

Wywodząca się z Japonii praktyka shinrin-yoku, czyli prozdrowotnych kąpiei leśnych, robi się coraz bardziej popularna na całym świecie. Do wzrostu zainteresowania tego typu aktywnością przyczyniła się z pewnością pandemia COVID-19. Okres przymusowego zamknięcia w domach uzmysłowił wielu ludziom, jak ważny i kojący może być kontakt z naturą. W trakcie takich kąpiei można otworzyć wszystkie zmysły, wyciszyć się i głęboko wniknąć w swoje jestestwo, opowiada „Więściom Akademickim” (nr 2/2024), czasopismu Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, dr hab. Marlena Baranowska.

To nie jest zwykły spacer po lesie, któremu przyświeca jakiś konkretny cel, podkreśla rozmówczyni. Shinrin-yoku można raczej porównać do pewnej formy medytacji. Tu także



liczy się spokój i wyciszenie. Taka forma spędzania czasu, najlepiej w towarzystwie dbającego o bezpieczeństwo przewodnika, przyda się zwłaszcza osobom zabieganym i zapracowanym. Przyneść może też ulgę dzieciom, szczególnie tym, którym doskwierają problemy emocjonalne.

Kąpiele leśne to pierwszy etap na ścieżce prowadzącej do uzyskania równowagi między ciałem i duchem. Dla tych, którzy chcieliby wejść na wyższy poziom, proponuje się terapię lasem, czyli interwencję uwzględniającą specyficzne problemy konkretnej osoby. W ten sposób można spróbować pomóc na przykład tym, którzy cierpią na depresję. Ale lasoterapia przyśłuży się także ludziom z nadwagą czy otyłością oraz uskarżającym się na problemy z układem oddechowym. Wiele państw doceniło znaczenie tego rodzaju metody. Na zachodzie Europy, a także w Azji już od jakiegoś czasu lekarze wypisują tzw. zielone recepty. Czas, abyśmy także i my w Polsce zaczęli korzystać z dobrodziejstw oferowanych nam przez naturę.

Aneta Zawadzka

Cezary Zalewski

Pisarz w laboratorium

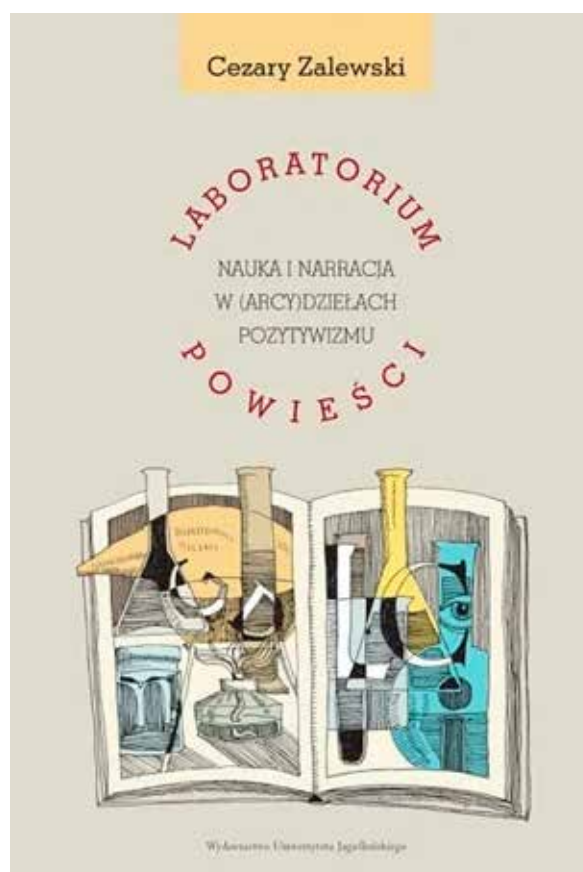
Opierając się na ustaleniach nauki, powieść potrafi pokazać ich nieoczywiste konsekwencje; potrafi także uzupełniać i korygować niektóre tezy lub dokonać ich krytycznej oceny. Wszelako nawet wówczas nie jest to spór o kompetencje, ale pełne zaangażowanie dążenie do osiągnięcia coraz doskonalszych wyników poznania. Powieść nie konkuruje z nauką, lecz – korzystając z niej – stara się poszerzyć obszar wiedzy o człowieku.

Przedmiotem moich badań było przeprowadzenie procedur interpretacyjnych, w wyniku których ujawniony zostanie poznawczy potencjał trzech utworów powieściowych: *Lalki* Bolesława Prusa, *Bez dogmatu* Henryka Sienkiewicza oraz *Bene nati* Elizy Orzeszkowej. Punktem wyjścia, który gwarantował wspólną podstawę umożliwiającą powiązanie tych tekstów, był model prozy realistycznej naszkicowany przez Terry'ego Eagletona w pracy *Jak czytać literaturę*. Można go, w pewnym uproszczeniu, sprowadzić do czterech najważniejszych przekonań. Zgodnie z pierwszym realizm proponuje interakcyjną wizję człowieka, w której doświadczenia wewnętrzne są wynikiem reakcji na to, co znajduje się poza podmiotem (tzn. na społeczeństwo, kulturę, historię, język itp.). Drugie przekonanie dotyczy roli czytelnika: powieść stanowi dla niego rodzaj poznawczego wyzwania lub zadania, które domaga się rozwiązania w oparciu o posiadaną wiedzę. Z tego powodu – po trzecie – sam narrator niewiele wyjaśnia, stara się natomiast upodobnić fabułę do teatralnego przedstawienia. Jej przebieg (a zwłaszcza zakończenie) przypomina – po czwarte – szukanie adekwatnej odpowiedzi na postawione wcześniej pytanie czy problem. Eagleton nie zauważył jednak, że między pierwszym twierdzeniem a pozostałymi trzema istnieje niejakie napięcie, które zresztą – z perspektywy historycznoliterackiej – dorównało do późniejszego wyłonienia się modelu prozy modernistycznej. Jeśli jednak realizm pozostaje projektem spójnym, to dzieje się tak dlatego, że pisarze wyposażyli narratora w dodatkową kompetencję. Polega ona na przytaczaniu – w rozmaitych formach – dyskursu naukowego; i jest piątą właściwością łączącą omawiane powieści.

Psychologia, socjologia, ekonomia...

Niezależnie od tego, jak bardzo wyraźna i czytelna jest obecność dzieł naukowych (a więc od tego, czy możemy tu mówić o intertekstualności zaledwie fakultatywnej czy też – właściwej), to ich funkcja zawsze jest podobna. Ma ona bowiem dostarczać swoistego kodu umożliwiającego pełniejsze zrozumienie kwestii zasadniczej, którą jest wzajemny związek jed-

nostki i struktur ponadjednostkowych (takich jak grupa społeczna, rodzina). Nie zaskakuje zatem fakt, że w centrum tak rozumianej ingerencji znajdzie się specyficzne, dwuczłonowe powiązanie dzieł reprezentujących domenę badań psychologicznych z tymi, które powstały na obszarze szeroko rozumianych nauk społecznych (np. socjologii, ekonomii politycznej).



W ramach tego dubletu możliwe są oczywiście zmiany w rozłożeniu akcentów. W *Lalce*, w której dominuje problematyka socjologiczna, obecność *Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego* Józefa Supińskiego będzie ważniejsza od antropologicznych intuicji zawartych w pracy Gabriela Tarde'a pt. *Les lois de l'imitation*. Ale już w *Bez dogmatu* i *Bene nati* sytuacja jest odwrotna, gdyż psychologiczne rozważania Pierre'a Janeta (*L'automatisme psychologique*) czy Władysława Witwickiego (*Analiza psychologiczna ambicji*) mają o wiele większy wkład niż dzieła Alexis de Tocqueville'a (*O demokracji w Ameryce*) czy Gustawa Le Bona (*L'Homme et les Sociétés*). Poza tym ścisłym, dwubiegunowym, centrum znajdują się jeszcze prace, których pozycja ma charakter peryferyjny: ich udział w powieściowej analizie jest zdecydowanie mniejszy, cząstkowy i jakby doraźny. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zostają one przywołane w sytuacjach niepewności pisarza, który poszukuje wsparcia w bardziej obcych dla siebie domenach: etycznej (*Le Christianisme et les temps présents* Bougarda w *Bene nati*), fizjologicznej (*Witalizm i mechanizm* Bungego w *Bez dogmatu*), dotyczącej filozofii przyrody (*Mysł ogólna fizjologii wszechświata* Supińskiego w *Lalce*).

Trzeba jednak zaznaczyć, że dyskurs naukowy rzadko pełni rolę niekwestionowanego autorytetu, który – jak w powieści tendencyjnej – sprowadzałby narrację do funkcji ilustracyjnej (czy popularyzatorskiej). Częściej, znacznie częściej, jest on partnerem umożliwiającym prowadzenie dialogu. Opierając się na ustaleniach nauki, powieść potrafi pokazać ich nieoczywiste konsekwencje; potrafi także uzupełniać i korygować niektóre tezy lub dokonać ich krytycznej oceny. Wszelako nawet wówczas nie jest to spór o kompetencje, ale pełne zaangażowanie dążenie do osiągnięcia coraz doskonalszych wyników poznania. Powieść nie konkuruje z nauką, lecz – korzystając z niej – stara się poszerzyć obszar wiedzy o człowieku. Ten właśnie dialog powieści i nauki jest szczególnie widoczny w wybranych przeze mnie powieściach, i dlatego ich kolejną cechą jest dążenie do realizacji naukowego, czy mówiąc nieco ostrożniej – quasi-naukowego charakteru narracji.

Szukając odpowiedzi na pytanie o to, na czym konkretnie ów proceder miałby polegać, trzeba sięgnąć do paryskiego fragmentu *Lalki*: do spotkania Wokulskiego z profesorem Geistem w jego laboratorium. Dokładna analiza tego, co ten uczonec robi i – przede wszystkim – tego, jak o tym



mówi, prowadzi do wniosku, zgodnie z którym istnieje tu pewna metodologia postępowania badawczego. Jej teoretyczny model – wyprowadzony na podstawie funkcjonowania XIX-wiecznego laboratorium – przedstawił Bruno Latour w eseju *Dajcie mi laboratorium a poruszę świat*. Model ten składa się z sześciu etapów: (1) pobieranie próbek w laboratorium polowym, (2) przeniesienie materiału do profesjonalnego laboratorium, (3) hodowle i symulacje, (4) interwencje, (5) próba terenowa demonstrująca skuteczność uzyskanego wynalazku i (6) jego masowe rozpowszechnienie. Fazy (1) i (2) nie zostały, rzecz jasna, w *Lalce* zaprezentowane: Geist pracuje z metalami, które są już wydobyte (z zasobów natury) i przetransportowane do jego pracowni. Rozmowa, jaka w niej się toczy, dotyczy przede wszystkim faz (3) i (4); natomiast kwestie związane z zastosowaniem wynalazku – odpowiednik faz (5) i (6) – poruszone zostały wcześniej, w trakcie hotelowej dyskusji z Wokulskim.

Narracja jako postępowanie laboratoryjne

Analogia ta dotyczy nie tylko paryskich scen *Lalki*. Jest swoistym metatekstem, który pozwala ująć i opisać narrację



Jerzy Kamas (Wokulski) i Mieczysław Voit (Geist) w kadrze z serialu *Lalka* w reż. Ryszard Bera

w kategoriach postępowania laboratoryjnego. Quasi-naukowy charakter powieści zakłada więc obecność następujących mechanizmów:

Pobieranie próbek. Postać lub postaci zostają pozbawione dotychczasowego kontekstu społecznego (a przynajmniej jego rola ulega zasadniczej marginalizacji). Wokół nich (niej) pojawia się teraz nowe otoczenie, które – nawet jeśli wcześniej było znane – zyskuje charakter dominujący.

Rozwój wybranej jakości. Zmiana otoczenia wywiera zasadniczy wpływ: dzięki niej bowiem może rozwinąć się jakaś zupełnie nowa cecha (np. ambicja w *Bene nati*) lub ulec wyraźnej intensyfikacji ta, która wcześniej była w stadium zaledwie początkowym (np. miłość w *Lalce* i *Bez dogmatu*).

Interwencje. Postać lub postaci, u których pojawił się etap 2, zostają teraz poddane działaniu jeszcze innych osób wchodzących (stałe lub okresowo) w skład nowego kontekstu. Ich wpływ można generalnie określić jako wzrostowy lub hamujący; oznacza to, że eksperyment polega na sprawdzeniu, w jakich okolicznościach rozwinięta jakość będzie dążyła do intensyfikacji, a w jakich do zaniku. *Lalka* i *Bene nati* dodatkowo wprowadzają tu specyficzne podwojenie: względnie rozdzielona para bohaterów (Wokulski/Rzecki; Salomea/Jerzy) podlega analogicznym procedurom, tyle że w każdym przypadku wzajemna dynamika czynników wzrostowych i hamujących będzie znacząco różna.

Odkrycie. Narrację należy tu rozumieć w kategoriach zapisu eksperymentu, dlatego bezpośrednio (np. w finale) nie definiuje ona uzyskanych wyników. Ich interpretacja została powierzona czytelnikowi, który – korzystając z naukowych intertekstów – powinien oddzielić efekty standardowe (tj. znane) od tych, które przyniosły nowy wynik. Niekiedy – np. w *Bez dogmatu* – jest on eksponowany na pierwszym planie, ale w pozostałych powieściach jego poszukiwanie wymaga nieoczekiwanego przemieszczenia. Oto bowiem okazuje się, że o wiele więcej informacji zostało tu uzyskanych na temat kontekstu niż jednostki, która została do niego wprowadzona. Dlatego odkrycie stanie się widoczne dopiero przy wnikliwej i sumarycznej analizie zachowań wzrostowych i hamujących. Jakkolwiek by jednak nie było, uzyskanie dostępu do nowej wiedzy powinno prowadzić do jej upolitycznienia (w sensie opisanym przez Latoura), czyli do szerokiego i wielostronnego zastosowania uzyskanych rozpoznań.

Główne analizy przedstawione w *Laboratorium powieści* dotyczą ostatniego z tych aspektów. W konkluzjach zwracam też uwagę na autorską intencję, zgodnie z którą poznanie, jakiego dostarcza powieść, nie ma charakteru wyłącznie teoretycznego. Cytując jednego z polskich uczonych, który stwierdził: „Popęd człowieka do poznawania prawdy, do wiedzy, jest tedy identyczny z popędem do życia, z popędem *samozachowawczym*” (T. Garbowski, *Wiedza i życie*. Kraków 1903), przekonuję, iż uratowani bohaterowie mają pomóc czytelnikowi w adekwatnym rozpoznaniu własnej sytuacji. To bowiem stanowi pierwszy krok w kierunku uratowania siebie samego; bez tej diagnozy niemożliwe byłoby dążenie do wyzwolenia się z mechanizmów, które dla każdego – i bohatera, i czytelnika – stanowią śmiertelne zagrożenie.

Artykuł oparty na badaniach opublikowanych w monografii autora: *Laboratorium powieści. Nauka i narracja w (arcy) dziełach pozytywizmu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2024.

Dr hab. Cezary Zalewski, absolwent polonistyki i filozofii UJ, profesor w Katedrze Teorii Literatury Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor prac poświęconych literaturze okresu pozytywizmu, zagadnieniom antropologicznym oraz związkom literatury i fotografii.

Śladami Johna Keatinga

Moja książka nie jest receptą na trudną sytuację powszechnego nieczytania lektur, ponieważ wychodzę z założenia, że z tym problemem każdy polonista powinien zmierzyć się sam, uwzględniając przede wszystkim wiedzę o swoich uczniach: ich myślenie o literaturze, zainteresowania i kompetencje czytelnicze, nastawienie do języka polskiego jako przedmiotu, czytelnicze potrzeby i możliwości. Może jednak choć dla części polonistów stanie się ona źródłem inspiracji na temat różnych sposobów pracy z tekstami literackimi we współczesnej szkole.

Teksty literackie w pracy nauczyciela polonisty. Lektury i konteksty to moja piąta książka poświęcona edukacji, a jednocześnie pierwsza całkowicie osadzona w literaturze, stanowiącej, moim zdaniem, najwspanialszą przestrzeń aktywności nauczyciela języka polskiego. Polonista pracuje z tekstami literackimi właściwie na każdej lekcji. Możliwość rozmawiania z młodymi ludźmi o literaturze, zarażania ich pasją czytelniczą, wymieniając się z nimi książkami i dzielenia emocjami, jakie wywołują, to niewątpliwie walory tej niełatwej przecież profesji. Nauczyciel literatury jest osobą, która uczy uważnego i refleksyjnego czytania oraz pokazuje, że każdy tekst jest na swój sposób wyjątkowy i każdemu należy się uwaga.

Stanisław Bortnowski, mój nieżyjący już niestety mistrz z Krakowa, twierdził, że literatura wyrwa uczniów ze świata wyłącznie pragmatycznego i pozbawionego bezinteresowności. Jest rozmową z czytelnikiem nawet wtedy, „gdy zżyma się on na przedstawioną wizję świata i odrzuca przesłanie dzieła”. Literatura jest materią niezwykłą: uczy myśleć, przenosi do świata autorskiej wyobraźni, pokazuje ludzi i ich wybory, inspiruje, bawi i uczy, wychowuje. Bortnowski nazywał ją lustrem, „w którym młody człowiek może się przyjrzeć sobie, drugiemu człowiekowi i światu”. Podkreślał też, że literatura stwarza sposobność podejmowania tematów, na które uczniowie rzadko rozmawiają w domach, takich jak: patriotyzm, bohaterstwo, tolerancja, równość i sprawiedliwość społeczna, normy moralne, istnienie sfery sacrum, szczęście, odpowiedzialność wobec drugiego człowieka, empatia. Lekcje polskiego właśnie taką problematykę otwierają, więc z natury rzeczy są wychowawcze.

Kierujący szkolnym czytaniem uczniów polonista zawsze jest pośrednikiem pomiędzy dziełem literackim a młodym czytelnikiem. Od jego stosunku do literatury oraz poziomu kompetencji analityczno-interpretacyjnych zależy to, jak będą traktować czytanie młodzi i jak bardzo będą się angażować w ten proces. Oczywiście nie można zapominać o tym, że polonista jest w swoich zabiegach w znacznym stopniu ograniczany wymogami instytucji oświatowych, w związku z czym często traktuje teksty literackie jedynie jako materiał do ćwiczeń w pisaniu rozprawek. O sukcesach w pracy dydaktycznej decyduje jednak co innego: to, na ile potrafi wnosić do ograniczeń programowych i formalnych instrukcji swój indywidualny wkład, jak wykorzystuje współczesną myśl literaturoznawczą, swoje literackie

doświadczenia i zainteresowania oraz jak odnosi się do aktualnych trendów, tendencji światopoglądowych, polemik i dyskusji.



Z najnowszych badań prowadzonych przez Bibliotekę Narodową wynika, że wśród czynników, które podnoszą poziom satysfakcji zawodowej, poloniści wymieniają właśnie możliwości pracy z utworami literackimi i wprowadzania uczniów w arkaana sztuki, inspirowania ich nowymi ideami, książkami, obserwowania, jak otwierają się na literaturę. Pojawiają się nawet wnioski, że analiza postaw bohaterów literackich pozwala młodzieży lepiej funkcjonować. W ten sposób szkolna wiedza literacka zyskuje wymiar egzystencjalny, wpływając na obecne i przyszłe funkcjonowanie uczniów. Z drugiej strony poloniści nieustannie narzekają na to, że nastolatki nie czytają lektur, zwłaszcza tych obowiązkowych, zastępując oryginalne teksty opracowaniami, streszczeniami, filmami. Warto zauważyć, że często brakuje im po prostu motywacji do czytania. Praca z tekstami literackimi wymaga zatem od nauczyciela dużo wysiłku i pomysłowości. Najtrudniej zachęcić uczniów do sięgnięcia po lektury, a potem formułowania samodzielnych wniosków analityczno-interypretacyjnych w czasach, kiedy o tekstach z kanonu już tak wiele powiedziano i napisano.

Propagować odwagę w podejściu do literatury

Uczniowska niechęć do czytania nadal stanowi poważne zagrożenie dla nauczycielskiego poczucia sensu wykonywanej pracy. Dydaktycy o tym wiedzą, dlatego w literaturze przedmiotu, na blogach i edukacyjnych stronach internetowych,

a także w propozycjach szkoleń i webinarów dla polonistów można znaleźć wiele wskazówek i pomysłów na radzenie sobie z nieczytaniem lektur przez uczniów. Pojawiają się zarówno rozwiązania okołolekcyjne (np. tworzenie w salach polonistycznych kącioń czytelniczych, pokazywanie przez nauczycieli własnym przykładem, że czytanie jest wartościowe, traktowanie czytania jako przyjemności nieobciążonej ocenianiem, uświadamianie uczniom korzyści płynących z czytania, organizowanie szkolnych akcji propagujących czytelnictwo i angażowanie w nie bibliotekarzy czy nawet rodziców), jak i lekcyjne (np. stawianie uczniów w rolach pierwszych krytyków utworów, uwzględnianie ich głosu w ustalaniu listy lektur uzupełniających, wywodzenie interpretacji utworów z wiedzy osobistej i doświadczeń uczniów, traktowanie literatury jako źródła refleksji o świecie i życiu, a nie tylko obiektu ćwiczeń do egzaminu, sięganie po literaturę najnowszą albo kontrowersyjną). Wszystkie wymienione sposoby warto znać i wykorzystywać w pracy z literaturą w zależności od potrzeb własnych i uczniowskich.

Moja książka nie jest receptą na trudną sytuację powszechnego nieczytania lektur, ponieważ wychodzę z założenia, że z tym problemem każdy polonista powinien zmierzyć się sam, uwzględniając przede wszystkim wiedzę o swoich uczniach: ich myślenie o literaturze, zainteresowania i kompetencje czytelnicze, nastawienie do języka polskiego jako przedmiotu, czytelnicze potrzeby i możliwości. Może jednak choć dla części poloni-



Zdjęcie: Freepik

stów stanie się źródłem inspiracji na temat różnych sposobów pracy z tekstami literackimi we współczesnej szkole.

Nie sposób w jednej monografii opisać wszystkiego, co jest związane z edukacją literacką. W publikacji podejmuję zatem te kwestie, które wydają mi się istotne z dydaktycznego i nauczycielskiego punktu widzenia. Piszę przede wszystkim o lekturach omawianych w szkole ponadpodstawowej (*Iliadzie* Homera, *Trenach* Jana Kochanowskiego, *Dziadach* cz. III, *Odzie do młodości* i *Panu Tadeuszu* Adama Mickiewicza, *Lalce* Bolesława Prusa, *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego, wierszach Cypriana Kamila Norwida, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Stanisława Grochowiaka, Czesława Miłosza, Jana Pawła II i Mariusza Parlickiego, *Madame Antoniego* Libery), bo ten etap edukacyjny jest mi bliższy ze względu na kilkuletnią pracę w liceum ogólnokształcącym w Lublinie. W rozdziale drugim odwołuję się jednak również do lektur przeznaczonych dla uczniów szkoły podstawowej: bajki *O rybaku i rybce* Aleksandra Puszkina, *Bajek* Ignacego Krasickiego, *Katarynki* Prusa, *Silaczki* Stefana Żeromskiego, wierszy Jana Brzechwy i Wisławy Szymborskiej.

Książka składa się z czternastu rozdziałów, które uporządkowałam w określony sposób. W trzech pierwszych zawarłam refleksje na temat kompetencji potrzebnych nauczycielowi uczącemu literatury. W tym celu przypominałam ponadczasową i nieustannie wzruszającą postać Johna Keatinga, bohatera filmu i książki *Stowarzyszenie Umarłych Poetów*. Propagował on odwagę w podejściu do literatury, stawiał na indywidualny i radosny z nią kontakt, traktowanie jej jako dobra i wartości. Takich nauczycieli literatury i życia jak Keating potrzeba w każdej szkole. Zwróciłam też uwagę na wychowawczą wartość starych lektur oraz ich znaczenie we współczesnej edukacji. Teksty te, choć trudniejsze w odbiorze, nie są przecież gorsze. Nie stanowią łatwej rozrywki, nie mogą konkurować z grami komputerowymi czy internetem. Nie zmienia to jednak faktu, że warto je znać, bo – jak napisał jeden z internautów – „odrzuć takie teksty to tak jakby podważyć sens słuchania Bacha albo oglądania sztuk Szekspira, bo stworzono je kilka wieków temu”.

Kompetencje z zakresu pedagogiki i psychologii wspomagają polonistę

Kolejne rozdziały książki poświęciłam różnym sferom pracy z lekturami: biograficznej, kiedy to utwór staje się sposobem poznania autora, a proces powstawania dzieła bywa naprawdę interesujący; opartej na rozmowie, uważanej za być może najważniejszą metodę pracy z tekstami w szkole, oraz polegającej na analizie historii „z różnych światów” przedstawionych w lekturze, co pokazuję na przykładzie *Lalki* Prusa.

Następne rozdziały zawierają interpretacje wybranych wierszy poetów XX i XXI wieku. W jednym z nich przyglądam się dotąd niewyjaśnionej historii tajemniczej dziewczyny odnalezionej w Sekwanie w połowie XIX wieku. O *L'inconnue de la Seine* pisano nie tylko wiersze, poematy, opowiadania, ale jej twarz umieszczano na frontonach domów, pamiętkach z Paryża, a nawet wykorzystano do stworzenia fantomu

Magdalena Marzec-Józwicka

Teksty literackie w pracy nauczyciela polonisty

Lektury i konteksty



do nauki resuscytacji. Stała się więc postacią ikoniczną. Inny poświęciłam tak często analizowanej w szkole postaci wieszca, najczęściej utożsamianego z poetą romantycznym, którego uczynili bohaterem swoich wierszy dwaj poeci-satyrycy: Konstanty Ildefons Gałczyński oraz Mariusz Parlicki. Osobny rozdział książki dotyczy *Tryptyku rzymskiego* Jana Pawła II, uznanego nierzadko za przykład literackiej grafomanii. Papież nie był poetą wybitnym, ale i dla jego wierszy, jak udowadniam, znajdzie się miejsce w edukacji polonistycznej, choćby ze względu na ich osobisty charakter, dostrzeganie Boga w człowieku i naturze czy liczne konotacje romantyczne.

W ostatnich trzech rozdziałach pokazałam, jak szeroko rozumiana wiedza o uczniach (ich cechy indywidualne, naturalne prawa uczenia się, zdolności i predyspozycje) wpływa na szkolną pracę z literaturą. W tym celu sięgnęłam po literaturę z zakresu pedagogiki i psychologii. Uważam bowiem, że kompetencje z zakresu tych dwu dziedzin wiedzy znacząco wspomagają polonistę w jego codziennej pracy edukacyjno-wychowawczej. Tym razem odniosłam się zwłaszcza do dwóch publikacji: *Prawa naturalne dziecka* Céline Alvarez oraz *Psychologia geniuszu* Andrew Fullera. W pierwszej, której autorką jest francuska pedagog, opisane zostały pozytywne skutki trzyletniego eksperymentu, jaki przeprowadziła na swoich małych podopiecznych, pracując z nimi w oparciu o naturalne prawa uczenia się. Podjęte przez nią działania, oparte na znajomości prawideł rozwoju człowieka, a zwłaszcza uwzględniające tezy psychologii kognitywnej i neuronauki – nauk młodych i często

niedocenianych, okazały się niezwykle skuteczne. Wśród polecanych przez Alvarez praw znalazły się następujące: 1) przyznanie nauczycielowi roli przewodnika uczniów po świecie wiedzy; 2) przekonanie, że naukę skutecznie wspomaga motywacja wewnętrzna uczniów; 3) pamiętanie przez nauczyciela o wspieraniu autonomii uczniów w procesie uczenia się; 4) traktowanie bezpośredniego doświadczania oraz przeżywania w środowisku stymulującym naukę jako sposobów skuteczniejszego przyswajania wiedzy i kształtowania przedmiotowych kompetencji; 5) uznanie istotnej roli pracy uczniowskich mózgow w procesie planowania, realizacji oraz ewaluacji kształcenia. Zastosowanie tych zasad, o których nauczyciele zapewne słyszeli albo czytali, pokazałam na przykładzie pracy polonisty z *Trenami* Kochanowskiego.

Fuller z kolei, cytując Francois Rabelais'go, przekonywał: „Dziecko nie jest naczyniem do napełnienia, lecz płomieniem, który trzeba rozniecić”. W swojej publikacji pokazywał, jak wychować geniusza w czasach, kiedy system szkolny nie jest skonstruowany dobrze. Wskazywał na uczniowskie prawa, które powinny rządzić sytuacjami lekcyjnymi, takie jak: prawo do własnych poglądów, swobodnych dyskusji, partnerstwa czy własnej interpretacji tekstu. Pisał o ważnej umiejętności koncentracji, z którą tak wielu współczesnych młodych ludzi ma problem. Wyjaśniał, na czym polega skuteczne myślenie i planowanie. Akcentował potrzebę rozbudzania i wzmacniania wiary w siebie. Zwracał uwagę na znaczenie w procesie edukacji wymienianych wśród kompetencji przyszłości kreatywności oraz umiejętności twórczego rozwiązywania problemów. Zainspirowana jego dydaktycznymi wskazówkami, przenieśliśmy je na grunt edukacji literackiej, pokazując ich wykorzystanie w pracy polonisty.

Dlaczego lubię swoją książkę i jednocześnie zachęcam do sięgnięcia po nią?

Opiera się na moim niezmiennym zachwycie nad literaturą jako materiałem inspirującym, poruszającym, niezwykle plastycznym, z którą tak wiele dobrego może zrobić na lekcjach polonisty – jej najlepszy ambasador. W podstawie programowej nie ma tekstów złych. Najczęściej po prostu nauczycielom brakuje pomysłów na ich omawianie. A przecież znaleźć je można wszędzie, w otaczającym świecie, życiu i oczywiście w samej literaturze. Rozmawiając z uczniami o *Katarynce* Prusa, warto zwrócić uwagę na to, jak dużo dobroci wydobyły z ludzi traumatyczne wydarzenia, takie jak pandemia czy wojna na Ukrainie, kiedy pojawiło się tak wielu bezinteresownych, empatycznych i pomocnych „Panów Tomaszów”. Bajki Krasickiego dają możliwość podejmowania zawsze aktualnej, choć trudnej tematyki relacji międzypokoleniowych. Omawianie *Silaczki* Żeromskiego skłania do refleksji nad konsekwencjami dokonywanych przez bohaterów wyborów życiowych. Wiersz Jana Brzechwy *Globus* zaś prowokuje do dyskusji o tym, jak wspaniałym rodzajem piśmiennictwa jest poezja, jak bardzo potrafi odmienić świat, odwrócić go, wprowadzić do codzienności trochę magii, czarów. A poezji – jak wynika z moich rozmów z maturzystami, o których to doświadczeniach również piszę w książce – poloniści jednak się boją. I zupełnie niepotrzebnie straszą nią uczniów. Bez poezji świat byłby jałowy, dosłowny, po prostu płytki i nijaki. Dlatego to właśnie pracy z nią poświęciłam najwięcej rozdziałów książki.

Jest różnorodna i pokazuje wiele rozwiązań metodycznych w pracy z tekstami literackimi z listy lektur i spoza niej, takich jak np.: 1) analiza immanentna, strukturalna, pozwalająca traktować utwór literacki jako byt godny najgłębszej uwagi i refleksji, złożony i fascynujący, wielowarstwowy, o czym tak wiele pisał swego czasu Roman Ingarden; 2) analiza kontek-

stualna, czyli wykorzystywanie w pracy z utworami różnych odniesień: biograficznych, społecznych, filozoficznych, literackich, historycznych, politycznych; 3) analiza komparatystyczna, a więc porównywanie utworów z różnych epok, reprezentujących różne rodzaje literatury i gatunki literackie; 4) wykorzystywanie wiedzy o cechach indywidualnych uczniów, do których zaliczane są: rodzaje inteligencji, style uczenia się, metody przyswajania wiedzy, zainteresowania, temperament, zdolności specjalne i dysfunkcje, wiedza wyjściowa, postawy i poglądy, a nawet poziom aspiracji i motywacja wewnętrzna. Wszystkie powyższe sposoby działań wymagają od polonisty sięgnięcia zarówno po elementy różnych szkół analizy tekstu (strukturalizmu, hermeneutyki, intertekstualności), jak i zagadnienia przynależne różnym dyscyplinom naukowym (historii, historii sztuki, filmoznawstwu, medioznawstwu, teorii edukacji, psychologii i pedagogice), co potwierdza tezę, że szkolna interpretacja tekstu jest rodzajem sztuki, której uprawianie wymaga łączenia przyjemności, wiedzy i kompetencji.

Jest użyteczna: ukazane w niej propozycje metodyczne są możliwe do zastosowania na lekcjach języka polskiego. Poloniści otrzymują ode mnie konkretne narzędzia analityczno-interpretacyjne, które na pewno okażą się przydatne w praktyce szkolnej. Napisałam ją też, co podkreślali recenzenci książki, językiem przystępnym, konkretnym, dalekim od suchego teoretyzowania czy pouczania.

Wspiera się na dwóch filarach, jakimi są moje doświadczenia dydaktyczne wynikające z pracy ze studentami filologii polskiej realizującymi program specjalizacji nauczycielskiej oraz licealistami, a ponadto tezy naukowe, zawarte w książkach i artykułach dydaktyków literatury. Łączy zatem w sobie dwie rzeczywistości: akademicką i szkolną, które wzajemnie na siebie oddziałują, uzupełniają się i wspierają w jednym celu: dla dobra ucznia.

Ma przykuwającą uwagę okładkę, którą zaprojektowała Agnieszka Gawryszuk z Wydawnictwa KUL. Właśnie na tę baśniową, niepokojącą, niejednoznaczną w interpretacji obudowę książki wielokrotnie zwracali uwagę czytelnicy. Jeden z nich, Kacper Szewczyk, młody nauczyciel z Krakowa, napisał: „1. Dla ucznia teksty są właśnie jak takie góry. Na początku jeszcze sam nie wie, z czym przyjdzie mu się zmierzyć i jakie widoki go zachwycą... Jednak – jeśli już zacznie wytyczać jakiś szlak, w każdym momencie będzie mógł zatrzymać się i podziwiać widoki. 2. Dla mnie jako nauczyciela to uczeń jest taką górą. W każdej sytuacji (...) odkrywa przede mną coś inspirującego i nowego. 3. W końcu – i dla nauczyciela, i dla ucznia teksty (nawet czytane wielokrotnie!) zawsze mają jakiś zamglony szczyt, bo nigdy się nie wie, co zostanie odkryte przy następnej wyprawie”. Nic dodać, nic ująć.

Każdy polonista kocha literaturę i do czytania nie trzeba go namawiać. Do kontaktu z nią powinien jednak nieustannie motywować swoich uczniów. W miarę możliwości każdego z nich, choć, jak słusznie stwierdził Lech Gieźka, „literatura nie jest i nigdy nie będzie przygodą dla wszystkich”. Najważniejszym wyzwaniem nauczyciela w obecnych czasach jest przekonanie żyjących w nieustannie zmieniającej się rzeczywistości młodych ludzi, że świat literacki jest wart poznania, bo pokazuje, jak radzić sobie z problemami, emocjami, po prostu z życiem.

Artykuł został oparty na badaniach opublikowanych w monografii: M. Marzec-Jóźwicka, *Teksty literackie w pracy nauczyciela polonisty. Lektury i konteksty*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2023.

Dr hab. Magdalena Marzec-Jóźwicka, Katedra Edukacji Polonistycznej i Medialnej na Wydziale Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

Fenomen Nowogrodu Wielkiego

Średniowieczna republika i potężne „państwo w państwie”

Mieszkańcy Nowogrodu Wielkiego aktywnie brali udział w życiu politycznym swego miasta, a szerszy dostęp do tej sfery ich życia związany był z ograniczeniem władzy książęcej w Nowogrodzie już w I połowie XII w. Ustrój wiecowy umożliwiał Nowogrodzianom szerszy dostęp do życia politycznego i społecznego aniżeli mieszkańcom pozostałych ziem ruskich. Dlatego też mieszkańcy Nowogrodu Wielkiego mieli możliwość oddziaływania w dużej mierze na politykę i przedsięwzięcia gospodarcze władz tego miasta.

Życie Słowian wschodnich w ciągu wielu stuleci płynęło nad brzegami Dniepru, Desny, Wołchowa i jeziora Ilmeń, górnej Wołgi i górnej Oki. Ruś starodawna, Ruś czasów książąt Światosława, Włodzimierza i Jarosława Mądryego, nie jest bynajmniej początkiem historii Słowian wschodnich, lecz stanowi wynik długotrwałego rozwoju plemion słowiańskich, które od najdawniejszych czasów były dużą i aktywną siłą w dziejach Europy.

Ziemie, zjednoczone następnie w państwo staroruskie, zamieszkane przez różne plemiona Słowian wschodnich, były od najdawniejszych czasów miejscem ożywionej wymiany handlowej. Szerokie kontakty handlowe utrzymywały wszystkie plemiona słowiańskie żyjące w dorzeczu Dniepru, nad jeziorem Ilmeń oraz w dorzeczu Wołgi i Oki.

Pierwsze miasta ruskie powstały w IX w. i miały charakter feudalny. Około połowy IX w. Ruś posiadała co najmniej dwa ważne ośrodki polityczne: jeden skupiony wokół Nowogrodu, drugi zaś wokół Kijowa.

Nowogród Wielki powstał nad Wołchowem, niedaleko od miejsca, w którym rzeka ta wypływa z jeziora Ilmeń. Początek miastu dały plemiona Słowianów nowogrodzkich, przybyłych na terytorium dzisiejszego dużego ośrodka miejskiego, jakim jest Nowogród Wielki. Plemiona te zamieszkiwały zarówno brzegi Wołchowa i ziemie położone wzdłuż Łowaci wpadającej do Ilmenia od strony południowej, jak również rozległe tereny leżące w dorzeczu Msty oraz górnego i środkowego biegu Młogi, dopływu Wołgi. Na ziemi zajmowanej przez Słowianów nowogrodzkich znajdowało się kilka grodzisk i osiedli rolniczych. Wśród nich wyróżnić należy grodzisko Stara Ładoga oraz gród, na miejscu którego powstał później Psków.

O przybyciu na te tereny pierwszych plemion świadczą liczne kurhany, odkryte na ziemi nowogrodzkiej w trakcie prowadzonych prac wykopaliskowych. W kurhanach tych chowani

byli zmarli. Zgodnie z wierzeniami pogańskimi, wraz ze zmarłymi składano do grobu broń, narzędzia pracy, sprzęt codziennego użytku oraz inne przedmioty, które służyły im za życia. Dzięki poznaniu obrzędu pogrzebowego przodków dzisiejszych mieszkańców Nowogrodu Wielkiego i jego okolic, archeologowie uzyskali cenne materiały, służące im za podstawę studiów nad kulturą materialną i duchową dawnego społeczeństwa, zamieszkującego obszary położone nad Wołchowem, wzdłuż Łowaci, w dorzeczu Msty i Młogi.

W państwie staroruskim miasto składało się z dwóch części: centralnej (właściwego grodu) oraz podgrodzia (posadu). Część centralna nazywana była najpierw dietińcem, a od XIV w. kreml. Była ona otoczona murem i stanowiła siedzibę księcia i jego urzędników. Natomiast podgrodzie (posad) było przeważnie nieobwarowane, lecz otoczone wałem ziemnym i rowem. Posad zamieszkały był przez ludność kupiecką i rzemieślniczą.

W pierwszych etapach rozwoju miast ruskich ośrodek, wokół którego skupiała się klasa panująca, stanowił gród, określany mianem dietiniec, kreml oraz gorod. To warowne centrum miasta zazwyczaj zajmowało wzniesienie górujące nad osadą. Generalnie rzecz biorąc, pod względem rozplanowania wszystkie miasta były podobne do siebie, co wynikało z ich feudalnego charakteru.

Gród był rezydencją seniora feudalnego oraz jego najbliższego otoczenia. Mury grodu służyły do obrony zarówno przed wrogiem zewnętrznym, jak i na wypadek powstania zbrojnego mieszkańców miasta. Do takich wystąpień dochodziło bowiem często chociażby w okresie panowania Włodzimierza Światosławowicza, księcia nowogrodzkiego panującego w Nowogrodzie w latach 969-977 i 979-988, piastującego następnie godność księcia połockiego i wielkiego księcia kijowskiego.

W miarę jak postępował proces kształtowania się scentralizowanego państwa, rosyjskie miasta stopniowo traciły swą samodzielność i podporządkowywały się ogólnemu systemowi rządów, przyjętemu w państwie moskiewskim. Wywołało to zasadniczy wpływ na zmiany w życiu społecznym i charakterze osadnictwa grodu. W owym czasie gród odgrywał nadal istotną rolę, stanowiąc umocnione centrum miasta oraz ośrodek władzy, jednakże przestał być on rezydencją samodzielnego wielkiego feudała i jego dworu.

Nowogród Wielki leży u źródeł Wołchowa. Rzeka ta dzieli miasto na dwie części. Po stronie zachodniej wznoszą się w centrum miasta, na brzegu Wołchowa, mury kremla, które opasują sobór św. Sofii i liczne budowle, które niegdyś stanowiły pałac arcybiskupa nowogrodzkiego. Kreml nowogrodzki w obecnej postaci istnieje od końca XV w. Poza kreml wyróżnikiem Nowogrodu Wielkiego jest Zamczysko Jarosława, mieszczące się w dzielnicy Sławieńskiej na brzegu Wołchowa, naprzeciwko kremla. Nazwa tego miejsca pochodzi od znajdującego się tam zamku książęcego, który został zbudowany w XI w. przez Jarosława Mądrego.

Spośród innych interesujących miejsc wymienić należy Grodzisko Ruryka. Działalność polityczna samego Ruryka jest mało naświetlona w literaturze staroruskiej. Zgodnie ze świadectwem *Powieści lat minionych* Ruryk „rozdawał swym mężom miasta: jednemu Połock, drugiemu Rostów, trzeciemu Bieloosiero i władał Słowienami, Krywiczami, Merianami, Wesami i Muromcami”. Z tego samego źródła wynika, że pewna część towarzyszy Ruryka z Askoldem i Direm na czele odłączyła się od niego i zajęła Kijów.

Gdy Ruryk panował w Nowogrodzie, Askold i Dir władali ziemią kijowską i zorganizowali pomyślną wyprawę na Konstantynopol. Podczas gdy Kijów brał udział w dalekiej wyprawie na Bizancjum, Nowogród organizował się i gromadził siły. Rezultaty nie dały długo na siebie czekać. Następcą Ruryka, książę Oleg, mógł już z powodzeniem spożytkować zgromadzone siły i środki. Stojąc na czele wielkiego wojska wyruszył się Dnieprem na południe i opanował kolejno Smoleńsk, Lubecz, a wreszcie i Kijów.

W miastach staroruskich plac targowy umiejscowiony był bezpośrednio pod murami zamku. Duże miasta posiadały kilka placów targowych, jednakże jeden z nich pełnił rolę głównej targowicy. Targ był najbardziej ożywionym punktem każdego miasta. Stały tu nie tylko liczne kramy i stragany, ale także cerkwie noszące imiona świętych – patronów handlu, za jakich na Rusi uważano Mikołaja Mirlińskiego i Paraskiewę Piatnicę. W obrębie targowicy umiejscowione były także faktorie handlowe, skupiające zarówno przyjezdnych kupców rosyjskich, jak i kupców zagranicznych przybywających tłumnie do dużych miast.

W Nowogrodzie Wielkim już w XII w. powstał kantor hanzeatycki. Swoją największy rozkwit datował on na okres XIII i XIV w. Kantor ten zajmował dość dużą powierzchnię, odgrodzoną od targu solidnym ogrodzeniem. Na jego terenie znajdowało się kilka piętrowych domów, w których mieszkali kupcy i subiekci. Tu także rozmieszczone były liczne spichrze i piwnice, służące do składowania różnorodnych towarów.

Istota fenomenu miasta i republiki nowogrodzkiej

Fenomen Nowogrodu Wielkiego od dawna fascynował historyków, archeologów, kulturoznawców i politologów. Więk-



Kreml w Nowogrodzie Wielkim

szość z nas kojarzy to miasto z Aleksandrem Newskim i z bogatym kupcem Sadko Sytyniczem. Nowogród Wielki wielokrotnie pojawia się w legendach ludowych. Wśród nich jedna szczególnie sławi chwałę tego miasta. Jest nią podanie o dzwonie zwojującym lud na wiece.

Początek organizacji wiecowych na Rusi tkwi w najdawniejszych obyczajach Słowian. Opisy ich odnaleźć można u Prokopiusza z Cezarei. Czytamy u niego, iż plemiona Słowian i Antów nie są rządzone przez jednego człowieka, lecz żyją z dawien dawna w ludowładztwie, dlatego też decyzje u nich zapadają za powszechną zgodą. Pod tymi naradami, na których decyduje się wspólnie, należy rozumieć zgromadzenia ludowe. O nich też mówi Prokopiusz, opisując konkretne wydarzenia z życia tych plemion.

Wiece w największych miastach staroruskich pojawiły się już w X w. Zgromadzenia wiecowe stały się w późniejszym czasie zjawiskiem powszechnym w związku z upadkiem autorytetu książąt. Zgromadzenia wiecowe istniały przez długi czas na ziemiach północno-wschodniej Rusi. Wśród nich do historii przeszły wiece w Nowogrodzie, Pskowie i Połocku. W miastach tych feudalne możnowładztwo posiadające władzę w swym ręku i we własnym interesie ograniczające wpływy książąt nie miało wystarczającej siły do unicestwienia zgromadzeń ludowych, ale było dostatecznie silne, by zmienić je w narzędzie swoich interesów.

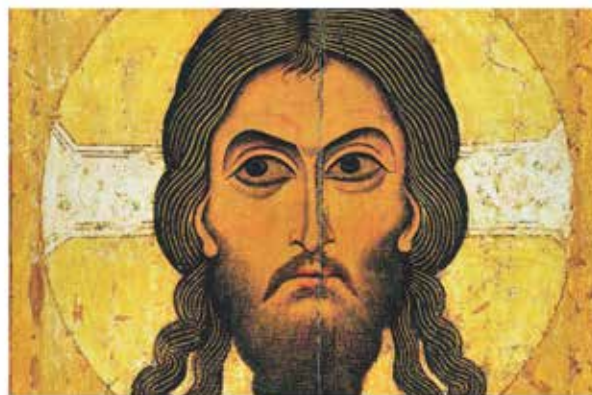
Mieszkańcy Nowogrodu Wielkiego aktywnie brali udział w życiu politycznym swego miasta, a szerszy dostęp do tej sfery ich życia związany był z ograniczeniem władzy książęcej w Nowogrodzie już w I połowie XII w. Ustrój wiecowy umożliwiał Nowogrodzianom szerszy dostęp do życia politycznego i społecznego aniżeli mieszkańcom pozostałych ziem ruskich. Dlatego też mieszkańcy Nowogrodu Wielkiego mieli możliwość oddziaływania na dużej mierze na politykę i przedsięwzięcia gospodarcze władz tego miasta. Dzięki odrębności ustroju społecznego Nowogrodu Wielkiego możliwy był także żywiołowy rozwój rzemiosła, handlu, architektury i sztuki. Cechą charakterystyczną nowogrodzkiego społeczeństwa była przewaga wolnych rzemieślników, a także istnienie organizacji cechowych w tym mieście, skupiających przedstawicieli wielu profesji.

Decydująca rola w zaniku zebrań wiecowych na Rusi przypisywana jest Tatarom. Ci bowiem szybko zaznajomili ruskie księstwa z władzą, z którą nie można iść na kompromis i której trzeba się podporządkować bezapelacyjnie. Nowogród także poznał brzemień władzy tatarskiej i bardzo dobrze przyswoił sobie zasady uległości politycznej wobec Ordy. Pomimo tego nie myślał znieść organizacji wiecowych.

Panowanie tatarskie rzutujące na wszystkie najistotniejsze mechanizmy życia politycznego wywarło znaczący wpływ na myśl polityczną państwa ruskiego. Dążenie do przeciwstawienia się obcej hegemonii wymusiło potrzebę znalezienia takich posunięć praktycznych oraz wypracowania takich konstrukcji prawnych, które mogłyby stworzyć trwałe fundament suwerennej władzy książąt ruskich. Dlatego pojęcia o suwerenności władcy i państwa w znacznej mierze krystalizowały się w toku walk z mongolskim najeźdźcą.

Nowogród Wielki: rozwój gospodarczo-społeczny i upadek

Natasza Duraj



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Nowogród Wielki przez długi czas wytrwale strzegł swej suwerenności. Dzięki zajmowanej pozycji w świecie ruskim długo mógł się on opierać zaborczej polityce Moskwy i pewnie eksponować swój autonomiczny status. Jeżeli wobec księstw udzielnych władcy moskiewscy wypracowali w zasadzie jednolity i trwały zespół środków nacisku, zdolny przywieść je do subordynacji, to zasady te w żaden sposób nie zdawały egzaminu w odniesieniu do republiki nowogrodzkiej. Powodem tego była przede wszystkim odmiennosc ustroju i tradycji, jak również usytuowania geopolitycznego Nowogrodu Wielkiego. Wszystkie te czynniki nakazywały imać się Moskwie innych instrumentów politycznych w stosunku do tego miasta. Ale też zamiary książąt moskiewskich wobec Nowogrodu były odmienne. Ograniczenia suwerenności księstw udzielnych sprowadzały się w zasadzie do nadzorowania ich polityki zagranicznej, zwłaszcza kontaktów z Ordą. Wobec Nowogrodu zamiary sięgały dalej. Moskwa nie tylko pragnęła ingerować w politykę zagraniczną tego miasta, ale i w jego ustrój oraz w organizację życia wewnętrznego. Dlatego też zakusy książąt moskiewskich na suwerenność Nowogrodu nabrały odmiennego charakteru, zarówno ze względu na sposób realizacji, jak i na zasięg rozszczeń Moskwy.

Podstawą artykułu są wyniki badań zawarte w monografii autorki: *Nowogród Wielki: rozwój gospodarczo-społeczny i upadek*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024.

Dr hab. Natasza Duraj, prof. Uniwersytetu Łódzkiego,
pracownik naukowo-dydaktyczny Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ

Marcelina Smużewska

Iwan Pawłow i polscy uczeni

W 1896 roku ukazała się praca Nenckiego i Pawłowa o powstawaniu mocznika u ssaków oraz zawartości amoniaku we krwi i narządach. Trzecim autorem był Jan Zaleski. W tej pracy udało się dowieść – i to dzięki niezwykłym umiejętnościom chirurgicznym Pawłowa – że wątroba jest głównym, ale nie jedynym ośrodkiem wytwarzania mocznika. Źródłem mocznika jest natomiast amoniak. To było jedno z ważniejszych odkryć w chemii fizjologicznej XIX wieku.

Był wybitnym rosyjskim fizjologiem i laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny z 1904 roku (do otrzymania której przyczynił się poniekąd też Uniwersytet Warszawski, przyznając mu znaczne fundusze na nagrodzone badania). Był postacią niezwykle wpływową w nauce rosyjskiej (później radzieckiej) i światowej. W współpracował z kilkoma Polakami, których spotkał na różnych etapach życia zawodowego.

Człowiek instytucja

Iwan Pawłow był postacią wielowymiarową: bardzo zdolny, pracowity, pełen pomysłów, ale też wybuchowy i krytyczny. W szczytowym momencie w jego laboratorium pracowały setki osób i było to raczej „miasteczko badawcze”. Władze carskie umożliwiały mu prowadzenie badań w Instytucie Medycyny Eksperymentalnej. Odnośnie do nowego reżimu miał sporo wątpliwości, co niemal doprowadziło go do śmierci głodowej. Jednak Lenin nie mógł tak po prostu pozbyć się (jedynego wtedy) Rosjanina noblisty, dlatego też próba sił między nowymi władzami a uczonym nie ustawała. Pawłow sprytnie lawirował, żeby uzyskiwać środki na badania. Lenin nie chciał go ich pozbawiać. Pawłow do śmierci bronił jednak zwolenników starego ładu. Próbował wyciągać ich z łagrów lub wspierać materialnie. Trudno więc go nazwać typowym komunistą, niemniej jednak jego dorobek został wykorzystany w latach 50. XX wieku przez fizjologów radzieckich do kontrolowania rozwoju fizjologii, psychologii i psychiatrii. Różne tezy z publikacji Pawłowa (zwłaszcza tych późniejszych) zaczęto traktować jako dogmaty. Ograniczyło to w znacznym stopniu prowadzenie badań naukowych w tych obszarach, kierując je na drogi inżynierii społecznej i kontroli.

Iwan Pawłow był bardzo zdolnym chirurgiem. Przez dekadę pracował nad uzyskaniem przetoki żołądkowej. Celem było wyizolowanie soków trawiennych. W tym celu wszywał zwierzętom blaszane rurki i kołnierze. Przetoki instalował w różnych miejscach układu pokarmowego, żeby obserwować etapy trawienia. Eksperymenty te trudno nazwać humanitarnymi w współczesnym sensie, ale Pawłow starał się, żeby zwierzęta nie

cierpiały bardziej niż to niezbędne dla nauki. Nie było jeszcze nowoczesnych metod znieczulania, ale naukowiec starał się jak mógł. Znał wszystkie swoje psy. Nadawał im imiona, nie pozwolił, żeby były głodne lub chore. Te eksperymenty przyniosły mu zresztą Nobla. W tym samym czasie – co słychać już było w przemówieniu podczas uroczystości wręczenia nagrody – zaczął coraz bardziej interesować się układem nerwowym i poświęcił mu kolejne 30 lat badań. Jest autorem takich pojęć jak wzmocnienie, odruch bezwarunkowy, odruch warunkowy i z tym też jest najczęściej kojarzony.

Pawłow studiował w Cesarskiej Wojskowej Akademii Medycznej w latach 1875-1879. W tym czasie 10% studentów tej uczelni stanowili Polacy. Do rewolucji październikowej mogło przewinąć się przez nią nawet kilkuset Polaków. Wychowankami Akademii byli m.in.: Jan Baliński (1827-1902) – założyciel pierwszej kliniki psychiatrycznej w Rosji, Napoleon Cybulski (1854-1919) – jeden z najsłynniejszych fizjologów w Polsce, potem profesor UJ, Jan Gordziałowski (1862-1944) – profesor Instytutu Weterynaryjnego w Charkowie i Uniwersytetu Warszawskiego, Polikarp Girsztowt (1827-1877) – profesor Cesarskiego Uniwersytetu Medycznego, Kazimierz Karaffa-Korbut (1878-1935) – kierujący katedrą higieny w rosyjskiej Akademii, późniejszy profesor USB w Wilnie, czy Edward Żebrowski (1873-1930) – profesor uniwersytetów w Charkowie i Warszawie. Bardzo dobrą znajomość prac Pawłowa wykazywali chociażby Napoleon Cybulski i Edward Żebrowski, którzy nawiązywali do nich w swoich badaniach.

Współpracownik i przyjaciel – Marceli Nencki

Bliską współpracę z Pawłowem nawiązał Marceli Nencki (1847-1901) – polski lekarz, fizjolog, chemik i powstaniec styczniowy. Petersburg nie był jego pierwszym przystankiem w karierze naukowej. Przybywając do Rosji w 1891 roku, był już znany w Europie. Został szefem Oddziału Chemii Biologicznej w Instytucie Medycyny Doświadczalnej, tym samym uzyskał komfortowe warunki do pracy. Pawłow w tym cza-



Źródło: Wikipedia

Marceli Nencki



Fot.: Archiwum

Iwan Pawłow

sie kierował Oddziałem Fizjologii tegoż Instytutu. Nencki i Pawłow zasiadali w jednej radzie instytutowej, a ich opinie były zazwyczaj zbieżne. Współpracowali też w ramach komitetu redakcyjnego czasopisma „Archiw Białogiczeskich Nauk”. W 1892 roku ukazała się ich pierwsza wspólna praca dotycząca ekkowskiej przetoki żyłnej. Część fizjologiczną napisał Pawłow razem z Wasilijem Messeną, część chemiczną Nencki z Martinem Hahnem. Badania przeprowadzono na psach. Po spożyciu pokarmu mięsnego, występowały poważne zaburzenia układu nerwowego. Wstrzykiwany dożylnie kwas karbaminowy prowadził do zatrucia. Stąd wniosek, że wątroba odpowiada za odprowadzanie większości toksyn i jest miejscem wytwarzania mocznika. Po ukazaniu się tej pracy, przetoka ekkowska stała się klasyczną metodą badania funkcji wątroby.

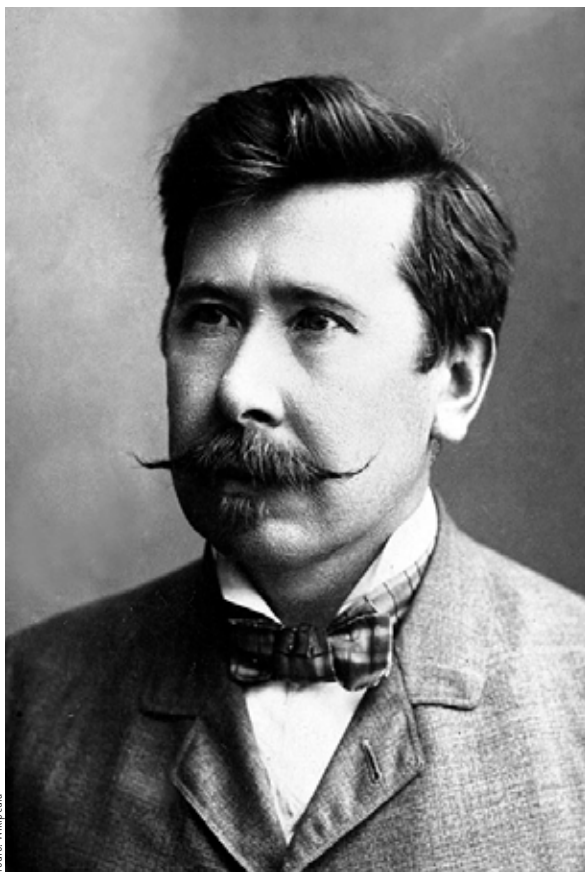
W 1896 roku ukazała się praca Nenckiego i Pawłowa o powstawaniu mocznika u ssaków oraz zawartości amoniaku we krwi i narządach. Trzecim autorem był Jan Zaleski (1869-1932) – pracownik Instytutu Medycyny Doświadczalnej, a po 1918 r. profesor chemii farmaceutycznej UW i członek PAU. W tej pracy udało się dowieść – i to dzięki niezwykłym umiejętnościom chirurgicznym Pawłowa – że wątroba jest głównym, ale nie jedynym ośrodkiem wytwarzania mocznika. Źródłem mocznika jest natomiast amoniak. To było jedno z ważniejszych odkryć w chemii fizjologicznej XIX wieku.

Marceli Nencki zmarł niestety w 1901 roku na raka żołądka. Pawłow odczuł boleśnie śmierć współpracownika. Uważał Polaka za wybitnego uczonego i dobrego przyjaciela. Rosjanin zorganizował nawet zbiórkę środków na stypendium im. Nenckiego. Wyplacano je praktykantom pracującym w Instytucie Medycyny Doświadczalnej w Petersburgu. Później już nie współpracował z żadnym Polakiem na zasadzie partnerstwa, ale miał asystentów polskiego pochodzenia. Nadzorował ich projekty badawcze.

Polscy asystenci

Z innymi Polakami łączyły go relacje typu mistrz-uczeń. Na przestrzeni lat Iwan Pawłow opiekował się pracami Leona Popielskiego (1866-1920), Zygmunta Wulfsona (1868-1926), Mieczysława Minkowskiego (1884-1982) i Abrahama Wirszubskiego (1871-1941). Popielski pod kierunkiem Pawłowa napisał doktorat o nerwach trzustki. Mistrz ocenił tę pracę bardzo pozytywnie. Potem życie rzuciło Popielskiego do Omska i Moskwy, gdzie pracował jako lekarz wojskowy. Od 1905 roku wykładał na uniwersytecie we Lwowie. Wykształcił wielu znakomitych lekarzy i badaczy, co jest poniekąd także zasługą Pawłowa. Zygmunt Wulfson przybył w tym samym czasie co Popielski do Instytutu Medycyny Doświadczalnej. Był już wtedy absolwentem uniwersytetu w Dorpacie i miał doktorat. Swoją pracę w laboratorium Pawłowa poświęcił gruczołom ślinowym u psów. Z czasem poglądy Wulfsona zaczęły zbliżać się do zoopsychologii, z czym nie zgadzał się Pawłow. Jednak nie da się zaprzeczyć, że eksperymenty Wulfsona miały wpływ na poglądy Pawłowa w zakresie fizjologii wyższych czynności nerwowych.

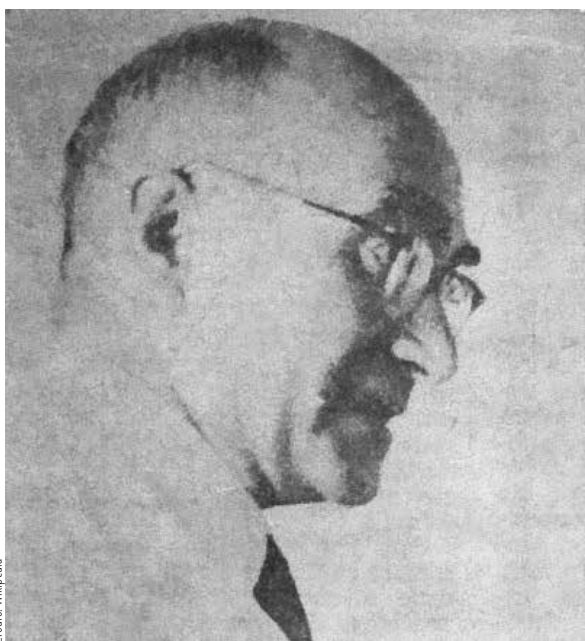
Trzeci z polskich uczniów Rosjanina, Mieczysław Minkowski, przyjechał do Petersburga z berlińskim doktoratem na temat zaburzeń pęcherzowych pochodzenia mózgowego. W laboratorium Pawłowa badał odruchy warunkowe wytworzone przez podrażnienia cieplne. W późniejszych latach skupił się na psychiatrii i neurologii. Choć badania w Rosji nie przyniosły oszałamiających rezultatów, Minkowski był wdzięczny Pawłowowi i uważał go za doskonałego nauczyciela. Z kolei Abraham Wirszubski napisał dysertację na temat pracy trzustki przy bogatym w tłuszczę pożywieniu. Po pracy w laboratorium Pawłowa wrócił do Wilna, gdzie kierował oddziałem psychiatrycznym Szpitala Żydowskiego. Był aktywnym członkiem Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego. Jego późniejsze prace dotyczyły głównie psychiatrii.



Leon Popielski



Mieczysław Minkowski



Jerzy Konorski

Polscy naśladowcy – Jerzy Konorski i Stefan Miller

W dwudziestoleciu międzywojennym do prac Pawłowa sięgnęli studenci Uniwersytetu Warszawskiego – Jerzy Konorski (1903-1973) i Stefan Miller (1903-1943). W latach 1928-1931 prowadzili badania na temat odruchów ruchowych. Doszli do wniosku, że oprócz odruchów warunkowych klasycznych (odkrytych przez Iwana Pawłowa) występują także odruchy ruchowe oparte na mechanizmie ruchów dowolnych. W skró-

cie, zaobserwowali coś, co nie pokrywało się całkowicie z teoriami Rosjanina. Napisali do niego w celu wyjaśnienia wątpliwości. Pawłow odpisał i co więcej – zaprosił ich do swojego laboratorium w Leningradzie. Konorski i Miller powtarzali tam swoje doświadczenia. Mieli możliwość współpracy z rosyjskimi fizjologami. Dużo się nauczyli i zapoznali się z metodami badań prowadzonymi w ZSRR. Po powrocie publikowali raporty ze swojej wizyty. Napisali też książkę *Podstawy fizjologicznej teorii ruchów nabytych* (1933).

Konorski i Miller zapisali się w historii nauki jako popularyzatorzy myśli Pawłowa. Miller w 1933 r. przetłumaczył tekst o fizjologicznym podłożu hysterii. We dwójkę przygotowali tłumaczenie pracy *Mózg i jego mechanizm* (1935). Informowali także o późniejszych badaniach Rosjanina i wystąpieniach kongresowych, które często miewał. Po śmierci Pawłowa obaj uczniowie przygotowali wspomnienia na temat uczzonego.

Nauka nie ma narodowości

Iwan Pawłow był przede wszystkim naukowcem. By udzielić odpowiedzi na dręczące go pytania, mógł współpracować z ludźmi dowolnej narodowości, o ile tylko mieli oni odpowiednie możliwości intelektualne i techniczne. Nie miał też powodu, by Polaki i Polaków nie lubić. W 1888 roku otrzymał stypendium Rady Carskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Rok później zaproponowano mu etat w Warszawie. Jego brat Dmitrij – były asystent Mendelejewa – pracował w Cesarskim Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Miał też rodzinę w Warszawie, którą odwiedzała pani Pawłow. Rosjanin był też członkiem Wileńskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, a od 1935 roku powołano go do członkostwa w PAU, ale zmarł w trakcie trwania procedury przyjęcia do tej instytucji.



Wieczernik

Ernesta Brylla wiecznie żywy

Piotr Müldner-Nieckowski

Dnia 16 marca 2024 w wieku 89 lat zmarł Ernest Bryll.

Był – i tym bardziej jest – jednym z najwybitniejszych pisarzy polskich w historii. Wciąż nieodgadzionym, niedocenionym, nieopisanym krytycznie, choć chyba każdy wykształcony człowiek jego nazwisko zna i używa jego języka. Napisał mnóstwo i znakomicie. Jego wiersze czytało się po domach jak gdyby nigdy nic, to była lektura tak obowiązkowa jak książka kucharska. Pisana ręką lekką, umysłem nieskażonym, polem pomysłowości.

Miał dzieła epokowe. Jednym z nich jest niechciana przez władzę i establishment artystowski sztuka *Wieczernik*. Pierwszy raz widziałem ją w 1984 roku jako zapis filmowy z wystawienia 5 kwietnia 1985 w kościele Miłosierdzia Bożego przy ulicy Żytniej w Warszawie. To była, jak mi się wydaje, prapremiera. Reżyserował Andrzej Wajda i niestety poprzykrawał niewygodne miejsca. Jeszcze wtedy nie można było tego skonfrontować z tekstem, bo ten ukazał się w trudno dostępnym wydaniu podziemnym wydawnictwa „Krağ” w 1988 roku. Podobnie Wajda osłabił sztukę w Teatrze Telewizji 14 kwietnia 1990.

Lepsze były inne wystawienia telewizyjne i radiowe: w Teatrze Polskiego Radia 27 marca 2005 w kapitalnej reżyserii Janusza Kukuły, Krzysztofa Tchórzewskiego w Teatrze Telewizji 28 marca 2019 r. i z lekką okrojone, ale ciekawie udoskonalone ruchem, dźwiękiem i aktorstwem z 12 kwietnia 2021 w reżyserii Grzegorza Królikiewicza. Każde wydawało się zdarzeniem całkowicie nowym, dotychczas nieznanym. Może odstępów czasowe zatarły poprzednie wrażenia? Może realizatorzy, każdy inaczej, przetwarzali oryginał na potrzeby swoich wizji, a może inaczej pokierowali stylem wypowiedzania kwestii, odmiennie rozumiejąc treść utworu lub choćby tylko pewnych jego partii?

Jednak to siła tego utworu jest tak duża, że ze swej natury wygłusza zapamiętane przez widza interpretacje i grę z poprzednich przedstawień. *Wieczernik* jest dziełem, które mimo upływu dziesiątków lat, nadal drażniąc przylega do aktualnej rzeczywistości, tej, w której właśnie znajduje się odbiorca; wyraziście nawiązuje do niej i za każdym razem zmusza do nowego odczytu, a więc dostosowuje się do kolejnego czasu. Ponieważ, i o to zadbał Ernest Bryll z zastanawiającą mocą, jest to dzieło nieprzemijające.

Być może na początku jeszcze odczuwa się fascynującą w *Rzeczy Listopadowej* czy w *Na szkle malowane* skłonność autora do przedstawiania spraw za pomocą piętrowej techniki „teatru w teatrze” i dzięki temu kreowania krytycznego czy nawet prześmiewczego patrzenia z góry na nasz prostacki, głupi i zły świat, ale już przy pierwszej kwestii jednego z głównych bohaterów *Wieczernika*, Tomasza, który wypowiada swoje przesłanie i oznajmia niewiarę w Zmartwychwstanie Jezusa, orientujemy się, że poeta jednak rezygnuje z tamtej formuły. Zapewne czuł, że żarty i kpiny z chwili obecnej się kończą,

a zaczynają się pojawiać sprawy o wiele poważniejsze i ważniejsze. Decydujące.

Niemal od razu pojawia się więc sytuacja misterium, które będzie łączyło treści religijno-dydaktyczne ze świeckimi realistyczno-obyczajowymi i dyskretnie, podskórnie nawiązywało do naszego czasu, w którym – mimo upływu tysiącleci – w mentalności człowieka wciąż istnieją te same cechy główne. Nie chodzi tu o potrzeby codzienne, a nawet nie o brak wolności czy beznadzieję bytu, prymitywną stagnację z zaciskaną pięścią władzy, nawet nie o brutalną przemoc państwa, rozpoznaną jak w słynnym Bryllowym *Psalmie stojących w kolejce* z oratorium *Kołęda Nocka*. Chodzi bowiem o ducha, o głębię istnienia cywilizacji opartej na dogmacie chrześcijańskim ze Zmartwychwstaniem jako zdarzeniem przełomowym i zarazem centralnym. O tę głębię i te wartości, które poruszają i zobowiązują nie tylko Polaków, nie tylko Europejczyków, ale cały świat, i nie tylko chrześcijan. I które mimo ważności są zwalczane.

Poeta wyznaczył sobie zadanie karkołomne, a jednak w *Wieczerniku* wykonane. *Wieczernik* jest arcydziełem. To dlatego słucha się, ogląda i czyta ten utwór z nieustającym zainteresowaniem i przejęciem. Nie sposób oderwać się od tekstu ani telewizora przełączyć na inny kanał. Język dialogów, zróżnicowany odpowiednio do cech osób, u Brylla jest klarowny i czytelny. Mimo pojawiania się archaizmów, agrammatyzmów i zaskakujących metafor, zrozumiały nawet dla nieoczytanych.

Wieczernik dzieje się w izbach tak nazywanej budowli, zbudowanej zgodnie z legendą na górze Synaj. To tam odbyła się Ostatnia Wieczerza. Tam też doszło do epifanii, Objawienia Bożego. Rozprawiają. Niewierny Tomasz snuje swoją podejrliwość. Są Magdalena, Piotr, Jan, Jakub, Uczniowie, Nikodem, Józef z Arymatei. Jest Maria. Judasza reprezentuje sznur, który kilka dni wcześniej zacisnął mu się na szyi. Ale widzimy tego zdracę jakby między nami, bo o nim też się mówi. Pojawia się też adwokat diabła Nieznajomy, który podsuwa solidne argumenty przeciwko uznaniu tego wszystkiego, co – o paradoksie! – widać gołym okiem.

Jezus ukazuje się jednak jako potężne rozświetlenie sceny. Może między Gdańskiem a Krakowem albo Lublinem a Poznaniem. A jeśli ktoś chce, na linii Jerozolima – Melbourne. Widz musi przymierzać zdarzenia biblijnego Zmartwychwstania do faktów, smutków, postaw, emocji, radości i klęsk czasu dzisiejszego. Taki to jest tekst.

A kto nie wierzy, niech włoży rękę w ranę na boku ciała. Jezus jednak powiedział do Tomasza, który w końcu stał się sobą: „Uwierzyłeś dlatego, że mnie ujrzałeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. To mówi też językiem wieczności Ernest Bryll. Tymi słowami pięcąc tajemnicę.

e-mail: lpj@lpj.pl

Moc książek



Książki nie kojarzą nam się z zagrożeniem, ale też na co dzień nie zastanawiamy się nad tym, jak wielki wpływ miały na nasz świat. Często również negatywny, stając się źródłem propagandy czy inspirując do czynienia zła. Autorce oczywiście nie chodzi o zniechęcenie nas do czytania, ale o zwrócenie uwagi na to, że książki w nieodpowiednich rękach mogą być niebezpiecznym narzędziem. Emma Smith przytacza baśń *Mistrz i uczeń*, w której niedoświadczony młodzieniec, czerpiąc zaklęcia z magicznej księgi, przywołuje demona. Podobny motyw

magicznej księgi znajdziemy też w *Tragicznych dziejach doktora Fausta* Christophera Marlowe'a.

W tych przykładach dosłownie chodzi o magię zawartą w księgach, ale autorka, nadając tytuł swojej pracy, miała na myśli o wiele szerszy termin. Przede wszystkim chodziło jej o zmiany, które dokonywały się w świecie pod wpływem książek i słowa pisanego, a właściwie „słowa drukowanego”, bo to dopiero możliwość szybkiego drukowania książek w wielu egzemplarzach przyczyniła się do rozwoju rynku wydawniczego. Ten proces rozpoczęło skonstruowanie prasy drukarskiej Gutenberga. Autorka obala jednak mity związane z tym wynalazkiem. Ruchome czcionki już wiele wieków wcześniej znali Chińczycy, na co dowodem jest *Sutra Diamentowa*, pięciometrowy buddyjski zwój z 868 roku, który składa się z ułożonych w kolumny znaków wydrukowanych przy użyciu techniki drzeworytu. W X wieku w tej samej technice wydano kanon klasyków konfucjańskich. Najstarsza drukowana chińska książka pochodzi z 1377 roku. Europie zajęło więc sporo czasu dojsie do podobnego poziomu rozwoju w kwestii wydawania książek. Kolejnym mitem związanym z Gutenbergiem jest przypisywanie zbyt dużego znaczenia dla rozwoju czytelnictwa wydanej przez niego Biblii. W rzeczywistości dużo bardziej popularne były broszurki propagandowe przeciw Turkom. Podkreślanie przez nas znaczenia Biblii Gutenberga w historii rozwoju cywilizacji miało jednak potwierdzać wyższość kultury zachodniej, ale rzeczywiście, jak pisze autorka, stanowiło kamień milowy kultury.

Książki zmieniały się w historii zarówno pod kątem formatu, oprawy, jak i treści, dostosowując się do wymagań czytelników. W czasie drugiej wojny światowej w Stanach Zjednoczonych powstała Rada do spraw Książek na Czas Wojny. Dzięki niej wśród personelu wojskowego rozprowadzono ponad dwanaście milionów bezpłatnych egzemplarzy ponad tysiąca trzystu tytułów. Publikacje te miały mieścić się w kieszeni żołnierza, więc musiały być wydane w odpowiednim formacie, w miękkiej oprawie. Ich celem było zarówno „krzewienie woli zwycięstwa”, „ujawnianie prawdziwej natury wroga”, jak i po prostu „dawanie możliwości relaksu”.

Autorka opisuje również książkę, której autor miał olbrzymi negatywny wpływ na historię – *Mein Kampf* Hitlera. To jeden z przykładów publikacji, które nadal w wielu krajach są objęte cenzurą, nie zawsze sformalizowaną. Niemieckie Ministerstwo Finansów, które do 2016 roku było właścicielem praw autorskich, nie decydowało się na jej powtórnej publikację. Dopiero po wygaśnięciu praw autorskich – wśród głosów oburzenia wielu środowisk – ukazały się nowe wydania.

Książki od początku ich istnienia próbowano cenzurować czy to z przyczyn politycznych, czy obyczajowych. Dotyczy to zarówno takich krajów jak Iran czy Chiny, jak i kojarzonych z wolnością Stanów Zjednoczonych. *Buszujący w zbożu* J.D. Salinger, chociaż od lat jest w USA na liście lektur, jest również najczęściej cenzurowaną książką w tamtejszych szkołach i bibliotekach. Dziś, kiedy obserwujemy wzrost zainteresowania czytelnictwem wśród młodych i rozkwit tak zwanej literatury young adult, na nowo odżywiają dyskusje na temat tego, co jest odpowiednie dla młodego czytelnika.

Justyna Jakubczyk

Emma SMITH, **Przeñośna magia. Historia ksiązek i ich czytelników**, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2024.

Portret prezesa we wnętrzu



„Korporacja” (rozumiana potocznie jako wielka firma) to jeden z najwyraźniej widocznych stereotypów w codziennym dyskursie, a najwięcej do powiedzenia na ten temat mają ci, którzy nigdy nie zetknęli się z takim środowiskiem pracy. Tymczasem może to być także miejsce rozwoju i rodzenia się nowych idei. W świecie biznesu i wielkich finansów spotkać można prawdziwych przywódców, którzy umieją zarówno zadbać o to, by kierowana przez nich struktura przynosiła stabilny zysk, jak i widzieć sens jej funkcjonowania w kontekście zmienia-

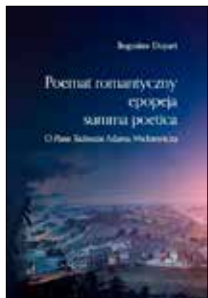
jącego się świata. Sam wpływ, jaki wielki biznes oraz sposób jego samorganizacji i zarządzania nim mają na rzeczywistość, domaga się uwzględnienia tego tematu w sztuce i to w możliwie niestereotypowy, ale i niewyłączny PR-owy sposób. Artystyczna reprezentacja takiego przywództwa, a przynajmniej kompetentnego kierownictwa, to zjawisko z okresu międzywojennego, gdy w Republice Weimarskiej tendencje w sztukach plastycznych doprowadziły do szerszego odzwierciedlenia tematów zaczerpniętych z codziennego życia we wszelkich jego aspektach. Nie chodziło już o realizm w znaczeniu dziewiętnastowiecznym, ale o wskazanie, czym żyje społeczeństwo i co wpływa na jego kształt. Z kolei w USA malarze i fotograficy zmierzali do połączenia realizmu, psychologicznego nastroju i nieuchwalnej metafory, czego najlepszymi przykładami byli Edward Hopper i Norman Rockwell.

Barbara Fryzeł i Aleksander Marcinkowski analizują odzwierciedlenie świata organizacji i biznesu w malarstwie i fotografii w sposób umożliwiający z jednej strony przejrzystą kategoryzację, z drugiej zaś świadczący po prostu o dużej wrażliwości na przekaz wizualny. Ich wrażliwość nazwałbym uporządkowaną – to nie luźne impresje, ale dostrzeganie w analizowanych pracach zarówno użytych środków wyrazu, jak i ewokowanego przez nie nastroju. Dzięki temu lektura książki pozwala nie tylko zapoznać się z konkretnym zagadnieniem, ale po prostu nauczyć się nieco lepiej rozumieć nowoczesne malarstwo, grafikę i fotografię. Jest to szczególnie dobrze widoczne przy omawianiu prac z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych – mniej realistycznych i niekoniecznie nawet figuralnych. Omawiane są one w sposób w pełni uchwytny dla czytelników niemających fachowego przygotowania.

Szczególnie inspirujące w kontekście artystycznej reprezentacji świata biznesu wydają się jednak wspomniane na początku wizerunki szefów, prezesów, CEO. Posłużenie się kodowaniem i kategoriami pozwala na zobiektywizowane wyróżnienie powtarzających się motywów i wzorców, natomiast wrażliwość i dogłębna znajomość kontekstu kulturowego na analizę ich sensów. Mowa ciała przedstawionych na obrazach i zdjęciach postaci, sytuacje, w których zostały pokazane, a także operowanie światłem i barwą – sportretgawczość autorów uczy patrzenia. Jak pisał Józef Czapski w *Patrząc* (sam tytuł jest tu znamieny): „Nie ma wiedzy, nie ma rzemiosła, które by mogło zastąpić przeżycie, uratować od banału, jeżeli artysta reaguje, odczuwa banalnie”. Biznes tworzy wokół siebie atmosferę powagi, spokoju, zaufania, racjonalności, innowacyjności i rywalizacja także wymagają w nim formy. Malarze i fotograficy prezentujący menedżerów najwyższego szczebla nie patrzyli banalnie – mężczyzna w eleganckim garniturze stojący w rozproszonym świetle wpadającym przez okno, z delikatnym uśmiechem na twarzy, stawał się tym, który zarządza, kieruje, a zatem tworzy, nadaje działaniu innych i całej struktury cel i sens. Fryzeł i Marcinkowski uczą odbiorcę patrzeć, niekoniecznie podziwiać, ale widzieć to, co ważne, poza kręgiem pierwszych, powierzchownych często skojarzeń.

Marek Misiak

Barbara FRYZEŁ, Aleksander MARCINKOWSKI, **Południe zarządzania. Odzworowania świata organizacji i biznesu w malarstwie i fotografii**, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2024.



W 190. rocznicę wydania Mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza* (notabene, Słowacki również napisał utwór o takim tytule) powraca pytanie: czy o tym arcydziele można powiedzieć coś nowego? Publikowane w ostatnich latach książki, m.in. Jana Tomkowskiego, Andrzeja Waśki i Bogusława Doparta, udzielają odpowiedzi twierdzących.

Na początku bieżącego roku ukazało się opracowanie trzeciego z wymienionych badaczy, zatytułowane *Poemat romantyczny, epopeja, summa poetica. O „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza*. W dziesięciu studiach, na ponad 240 stronach (nie licząc dodatków) uznany mickiewiczolog pokazuje arcydzieło w różnych kontekstach. Nieco upraszczając, można stwierdzić, że autor roztrząsa głównie takie kwestie, jak: poemat romantyczny, wpływ Homera, Wergiliusza i Byrona na dzieło Mickiewicza, epopeiczność i powieściowość arcydzieła, postać Księdza Robaka, znaczenie *Pana Tadeusza* dla kultury czasów rozbiorów, Mickiewiczowski poemat jako „suma gatunków”, a także przesłanie utworu.

W sposób szczególny warto zwrócić uwagę na konkluzje autora obszernych studiów nad różnymi zagadnieniami arcyepoematu. Oto niektóre spośród wielu wniosków. 1) Po obszernym uzasadnieniu badacz proponuje termin „poemat epopeiczno-liryczny”, który jego zdaniem „oddawałby lepiej swobodnie kreacyjny stosunek Mickiewicza do formy oraz równowagę żywiołów liryczności i epickości w dziele”. 2) Autor przywołuje i komentuje liczne przykłady inspiracji *Eneidą* Wergiliusza (dotychczas więcej uwagi poświęcano wpływowi *Iliady* Homera). 3) Ludowość w epopei jest potraktowana tak szeroko i tak „oryginalnie wkomponowana w formę otwartą dzieła romantycznego”, jak w żadnym innym utworze narracyjnym epoki. 4) Epopeiczny rdzeń *Pana Tadeusza* badacz określa mianem poematu heroiczno-misteryjnego, podkreślając istotny wpływ na dzieło m.in. *Boskiej komedii* Dantego. 5) Księdza Robaka odróżnia od innych zakonników-rycerzy znanych w historii Polski przede wszystkim to, że „jego zakonne miano nie zastępuje, lecz maskuje świeckie imię człowieka, którego ściga własna laicka przeszłość i który wciąż musi podejmować działania pod presją minionych zdarzeń”. 6) Badacz zwraca uwagę na tonację medytującej melancholii w niektórych opisach epopei, wskazując na związki m.in. z twórczością Byrona i Marią Malczewskiego. 7) Powieściowość *Pana Tadeusza* ma niewiele wspólnego z „jakimkolwiek konkretnym wzorcem praktyki powieściopiskarskiej”. 8) Od początku (genezy) do końca (repcji) poemat nie przystawał do „romantycznych legend i stereotypów”. 9) *Pan Tadeusz* był summą tradycji gatunkowych poezji polskiej, wpisującą się w najważniejsze ówczesne tendencje literatury europejskiej, a także najoryginalniejszym utworem Mickiewicza. 10) Poemat wyrażał podzielane przez wielu emigrantów oczekiwanie „na przełom dziejowy, który wniesie ewangeliczny ład do świata polityki”.

Opracowanie prof. Doparta jest bardzo erudycyjne i mocno osadzone w literaturze przedmiotu, a jak wiadomo, dorobek naukowy w tym zakresie przedstawia się imponująco: dziesiątki monografii i setki artykułów poświęconych różnym aspektom Mickiewiczowskiej epopei. Z tych powodów książka nie może mieć waloru popularyzatorskiego i przemówić do szerszego grona odbiorców. Oczywiście nie jest to żaden zarzut. Warto upowszechniać wiedzę o rozważaniach prof. Doparta w kręgach oświatowych, żeby za pośrednictwem nauczycieli i bibliotekarzy niektóre jej treści mogły trafić również do uczniów.

Na podkreślenie zasługuje staranna redakcja tekstu, a także oprawa książki – twarda i szyta (na rynku coraz częściej występuje wersja twarda i klejona), która zapewnia funkcjonalną lekturę tej cennej poznawczo książki.

Marcin Lutomiński

Bogusław DOPART, *Poemat romantyczny, epopeja, summa poetica.*

O „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza,

Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków 2023.



Jarosław Petrowicz ma Wieluńszczyznę, swoje miejsce na ziemi, gdzie żyje, pracuje jako nauczyciel i co najważniejsze po prostu ją lubi. Z drugiej strony ziemia wielunia ma szczęście, że przytrafił jej się pasjonat, który wiele czasu i energii poświęca rozpoznawaniu jej literackich związków. To pierwsza sprawa. A druga jest taka, że bohater niniejszej recenzji jest postacią znaną w świecie naszego literaturoznawstwa i krytyki literackiej. Towarzyszy rodzimemu piarstwu, rejestrując różne jego wloty i upadki na łamach pism literackich i naukowych. Wspomnę tu tylko miesięcznik „Nowe Książki”, gdzie od ponad dwudziestu lat regularnie publikuje swoje krytyki. Jako literaturoznawca upodobał sobie szczególnie tematy – że tak powiem – topograficzne. Był już *Związek z miejscem. Śląsk historyczny w prozie, eseistyce i reportażu polskim po 1989 roku* oraz zbiór esejów *Wielopolis*.

Teraz otrzymaliśmy antologię *Literacka ziemia wielunia*, którą sam przygotował i opatrzył wstępem. Aby takie przedsięwzięcie mogło się udać, konieczne jest spełnienie dwóch warunków: ten, który je realizuje, powinien lubić to, co robi i powinien być kompetentny. Petrowicz spełnia te warunki w stopniu najwyższym. Nie dziwi więc efekt końcowy, który powinien zainteresować nie tylko miłośników wielunianów. Antologista twierdzi, i trudno z nim się nie zgodzić, że swego rodzaju zakorzenienie, umieszczenie, osadzenie w realiach małej ojczyzny jest, jeżeli nie koniecznym, to najważniejszym kontekstem do roztrząsania ogólnohumanistycznych kwestii egzystencjalnych. W najbardziej nieprzejednanych, kosmopolitycznych wystąpieniach łatwo dopatrzeć się regionalnego fundamentu. Po lekturze *Literackiej ziemi wielunia* pozostało we mnie przekonanie, że bez *Terrae Velunensis* historia i współczesność literatury polskiej byłyby inne, uboższe, straciłyby istotny komponent.

W książce ukazano sylwetki pięćdziesięciu dziewięciu twórców. Jak w innych tego rodzaju publikacjach krótkie noty dotyczące autorów uzupełniane są fragmentami prozy lub wierszami. Do zdecydowanej większości tych prezentacji dołączono fotografie pisarzy bądź reprodukcje portretów malarskich. Antologię rozpoczyna Gabriel z Wielunia, poeta łaciński z początku XVII wieku, który po ukończeniu szkoły parafialnej w rodzinnym mieście kontynuował naukę w Kolegium Jezuitickim w Kaliszu. Dalej Władysław Aleksander Łubiński, arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski. W jego *Świecie we wszystkich swoich częściach...* z 1740 roku czytamy o ziemi wieluńskiej: „Kraj ma żyzny, obłany rzeką Wartą, Prosną, Rudawką i innymi, obfitujący we wszelkie zboża, a najwięcej w lny i tataraki, w polach pięknych położony koło Wielunia...”. Trudno byłoby wymienić tu wszystkich twórców pomieszczonych w antologii, a więc z konieczności ograniczmy się do tych bardziej znanych: Józef Ignacy Kraszewski, Oskar Kolberg, Władysław Bełza, Jan Brzechwa, Irena Jurgielewiczowa, Tadeusz Chróścielewski, Ireneusz Kania, Andrzej Zawada, no i rodzina Rózewiczów reprezentowana przez Tadeusza i Stanisława oraz ich matkę Stefanę. Wymieńmy też dwie pisarki, które zamykają antologię: Magdalena Kopańska i Magdalena Kapuścińska. Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przy tej ostatniej, a konkretnie przy takim fragmencie prozy: „Wyszłam na balkon zapalić papierosa. Rozkoszowałam się trucizną pełną piersią. Miasto spośród len.”

– Jakie tajemnice przede mną jeszcze skrywasz, mój piękny, pełen magii, Wieluniu? – głośno pomyślałam.

Następnego ranka odkryłam kolejne niespodzianki, ale o tym już innym razem. Musicie koniecznie odwiedzić to epickie miasteczko”.

Do tej zachęty dołączę własną – do lektury antologii wieluńskich literatów.

Tomasz Klusek

Literacka ziemia wielunia, wybór, wstęp i oprac. Jarosław PETROWICZ, Wieluńskie Towarzystwo Naukowe, Wieluń 2023, seria: „Biblioteka Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego”, t. 40.

Ideowe tło perspektywy



Studenci historii sztuki uczą się o perspektywie jako sposobie prezentowania trójwymiarowej rzeczywistości na płaszczyźnie. Perspektywę patrzenia na perspektywę jest wiele, tak samo jak samych sposobów jej wykorzystywania w sztuce. Książka *Obrazy nieskończoności* Rafała Kuczyńskiego zestawia ze sobą i poddaje krytyce dwa bardzo ważne teksty poświęcone temu zagadnieniu. Oba powstały niezależnie od siebie, autorzy nie mieli wiedzy na temat pracy tego drugiego, a co więcej – oba teksty zostały ukształtowane w odmiennych środowiskach intelektualnych.

Perspektywa jako forma symboliczna Erwina Panofskiego powstała jako dziedzictwo myśli neokantowskiej i była skutkiem wpływu myśli Ernsta Cassirera na wybitnego historyka sztuki. Zasadniczą tezą tego tekstu było przekonanie, że perspektywa linearna była wyrazem szczególnego, powstałego w Europie Zachodniej scjentystycznego obrazowania i rozumienia świata. Jest to także jednoznaczne wyrażenie przekonania, że stosowanie perspektywy jest elementem stałego postępu w myśli człowieka. Antyczne obrazowanie świata podlegało co prawda regresowi, ale w renesansie ponownie otworzyło się na doskonałe widzenie i przedstawianie rzeczywistości opartej na geometrycznym wykresie. Jest to także zgodne z fizjologią ludzkiego patrzenia i budową gałki ocznej.

Z kolei Paweł Florenski wyraża przekonanie, że charakterystyczna dla malarstwa ikonowego „perspektywa odwrócona” oddaje psychofizjologiczne doświadczenie przestrzeni, jakiego doznaje człowiek. Zupełnie odmiennie od Panofskiego widzi on procesy historyczne, jakie zachodzą w sztuce i stosowaniu w niej technik obrazowania rzeczywistości. Stosowanie perspektywy linearnej i odwróconej było naprzemienne, co wynikało z następowania po sobie dominacji światopoglądu religijnego lub racjonalnego.

Książka Rafała Kuczyńskiego nie ogranicza się jedynie do prezentacji myśli obu autorów i ich intelektualnego zaplecza. Prezentuje także krytykę obu koncepcji. Słowo to należy rozumieć nie jako negatywną ocenę, ale omówienie i skonfrontowanie dwóch historycznych tekstów z aktualnym stanem wiedzy.

W przypadku niemieckiego historyka sztuki sprawa jest o tyle prosta, że jego tekst był powszechnie znany i wielokrotnie wykorzystywany oraz omawiany. Wątpliwości odnoszące się do jego interpretacji roli perspektywy w sztuce oraz cywilizacji opierały się nie tylko na znajomości dzieł sztuki, ale także na krytyce neokantowskiego podejścia. Koncepcja Erwina Panofskiego została nie tyle odrzucona co w licznych tekstach wskazano na fakt, że nie jest ona wystarczająca do zrozumienia tak skomplikowanego i wielostronnego zjawiska, jakim jest perspektywa. Niepokoi także głębokie przekonanie autora o bezwzględnej wyższości naukowego sposobu poznania i przedstawiania otaczającej rzeczywistości w sztuce, nad innymi podejściami artystycznymi czy też innymi epokami. Krytyka tekstu Florenskiego opiera się przede wszystkim na jego wewnętrznej nieścisłości oraz ahistorycznym podejściu.

Jednakże niezależnie od oceny obu tekstów nikt nie ma wątpliwości, że obydwaj autorzy stworzyli interesujące propozycje odczytania roli renesansowego wynalazku, czyli perspektywy linearnej, w rozwoju nie tylko intelektualnym, ale i także duchowym Europy.

Książka Kuczyńskiego jest interesującym przykładem ponownego krytycznego odczytania klasycznych tekstów. Autor korzysta przy tym z najnowszej literatury, jak teksty Hansa Beltinga czy Samuela Edgertona, sprawnie wykorzystując ustalenia autorów młodszego pokolenia. I niewątpliwie stanowi istotny element biblioteki każdego badacza zainteresowanego sztuką i kulturą Renesansu europejskiego.

Juliusz Gałkowski

Rafał KUCZYŃSKI, *Obrazy nieskończoności. Perspektywa Erwina Panofskiego i Pawła Florenskiego*, Fundacja Augusta hrabiego Cieszkowskiego, Warszawa 2023.

Książki nadesłane

Kate CRAWFORT, *Atlas sztucznej inteligencji. Władza, pieniądze i środowisko naturalne*, Wyd. Bo.wiem, Kraków 2024, seria: #nauka.

Anna Sylwia CZYŻ, Piotr JAMSKI, *Szczęśliwe nieba krajów włoskich! Freskanti Michelangelo Palloni w Wielkim Księstwie Litewskim*; Karol GUTTMEJER, *Michelangelo Palloni i jego anioł w kościele pokarmelickim w Warszawie*, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA, Warszawa 2023.

Jan M. PISKORSKI, *Bitwy o przeszłość. Nauka, polityka, media, edukacja*, TAIWPN Universitas, Kraków 2024.

Monika KWIECIŃSKA-ZDRENKA, Marcin T. ZDRENKA, *Uniwersytecki zodiak. Jak obcowanie z akademią spaskudziło nam charaktery*, ilustr. Nikodem Pręgowski, Wydawnictwo np., Toruń 2024, seria: Godzina Szumu.

Lech GIEMZA, „Szukaj w historii wyjaśnienia swego losu”. *Proza Władysława Lecha Terleckiego*, Instytut Literatury, Kraków 2024, seria: Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”.

Henryk STROŃSKI, *Marchlewszczyzna 1925-1935. Polski rejon narodowościowy na sowieckiej Ukrainie*, IPN, Warszawa 2023.

Andrea WULF, *Człowiek, który zrozumiał naturę. Nowy świat Aleksandra von Humboldta*, tłum. Piotr Chojnacki, Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, Wyd. Poznańskie, Poznań 2023.

Andrzej „Kosmos” KOŹMIŃSKI, Ewa BARLIK, *Sen o szkole*, Wyd. UW, Warszawa 2023.

Andrzej PIENKOS, *Odważył się namalować głos. O odwiecznej albo tylko nowoczesnej analogii*, Wyd. UW, Warszawa 2024.

Kamil AKSIUTO, Michał WALLNER, Marcin POMARAŃSKI, *Poprawność polityczna. Źródła, przejawy, kontrowersje*, Wyd. UMCS, Lublin 2023.

Bruno BETTELHEIM, *Cudowne i pozytywne. O znaczeniach i wartościach baśni*, t. 1–2, tłum., wprowadzenie, objaśnienia i posłowie Danuta Danek, PIW, Warszawa 2023, seria: Biblioteka Myśli Współczesnej.

Andrzej J. NORAS, Tomasz KUBALICA, *Geneza współczesnej filozofii wartości. Skrypt do wykładu z aksjologii i prakseologii*, Wyd. UŚ, Katowice 2023.

Jacek MYDLA, *Narrating the Ghost: Readings in the Gothic and M. R. James*, Wyd. UŚ, Katowice 2023.

Tadeusz SŁAWEK, *U*, Wyd. UŚ, Katowice 2024, seria: U-booki.

Barbara MIKOŁAJCZYK, *Social Inclusion for Older Persons and Human Rights Law. The Potential for Universal and European Instruments*, Wyd. UŚ, Katowice 2023.

Agnieszka MADEJA, Barbara MORCINEK-ABRAMCZYK, *Polski mniej obcy. Podręcznik do nauki języka polskiego dla średnio zaawansowanych. Część 1: Poziom średni ogólny (B2)*, Wyd. UŚ, Katowice 2024, seria: Kultura i Język Polski dla Cudzoziemców.

Agnieszka MADEJA, Barbara MORCINEK-ABRAMCZYK, *Polski mniej obcy. Klucz do ćwiczeń. Transkrypcje. Test certyfikacyjny. Część 2: Poziom średni ogólny (B2)*, Wyd. UŚ, Katowice 2024, seria: Kultura i Język Polski dla Cudzoziemców.

Dorota SIEROŃ, *Ślady wdzięczności. Inspiracje dla edukacji kulturalnej utrwalone w literaturze dokumentu osobistego XX wieku*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Richard V. REEVES, *Chłopcy i mężczyźni. Dlaczego współcześni mężczyźni przeżywają trudności, dlaczego to ważne i co z tym robić?*, TN im. Stefana Andreskiego, Kraków 2024.

Maciej BERNASIEWICZ, *Wychować geniusza. Rodzice w biografii wybitnych twórców kultury i nauki polskiej*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Anna RZYMSKA, *Tutejsze i nietutejsze. O twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza*, Instytut Literatury, Kraków 2024, seria: Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”.

Justyna BAJDA, *Błękitny fin de siècle. Kolor niebieski w kulturze i literaturze Młodej Polski (Gabriela Zapolska – Kazimierz Przerwa-Tetmajer – Stanisław Wyspiański)*, Wyd. UW, Wrocław 2023.

Ralph CRANE, *Węgiel. Natura i kultura*, tłum. Marta Tomczok i Paweł Tomczok, Wyd. UŚ, Katowice 2023.



Leszek Szaruga

Czy Zachód się zatraci?

Nie sądzę, by można było skompletować osądy zapowiadające „koniec Zachodu” bądź choćby tylko podające w wątpliwość jego żywotność – dość wspomnieć opublikowany w 1915 roku i niezwykle popularny *Zmierzch Zachodu* Oswalda Spenglera – przy czym sam termin „Zachód” w tym wypadku nie oznacza nazwy konkretnego obszaru globu, lecz odnosi się raczej do pewnego konstruktu intelektualnego, którego definicja jest zarazem oczywista i nie do końca pochwytana. Kolejnym przykładem takiego podejścia jest książka rumuńskiego historyka Luciana Boii *Koniec Zachodu?* opatrzona podtytułem *W stronę jutrzejszego świata*, która ukazała się niedawno nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w przekładzie Bogumiła Lufta, tłumacza mającego spore zasługi w przybliżaniu nam dorobku rumuńskiego piśmiennictwa.

W skrócie rzecz ujmując, za istotę zjawiska określanego mianem „Zachodu” uznać należy taką ewolucję społecznych relacji, która prowadzi do postępującej laicyzacji oraz liberalizacji i skupia się na możliwościach zapewnienia jednostce maksimum wolności, a zatem swobody w stosunkach z wszelkimi próbami narzucania podporządkowującego sobie te wolności reżimu, czego bodaj najbardziej wyrazistym manifestem stał się tekst Henry’ego Davida Thoreau *O obywatelskim nieposłuszeństwie* z roku 1849. Wszystkie tego rodzaju idee, podważające panujący czy to z boskiej, czy ludzkiej woli ład i zaburzające tym samym ustalony porządek rzeczy – jak choćby myśl społeczna polskich arian, wypędzonych z kraju, którzy wszakże, działając w Niderlandach wpłynęli na ukształtowanie *Listu o tolerancji* Johna Locke’a opublikowanego dokładnie sto lat przed wybuchem Rewolucji Francuskiej – budziły i wciąż budzą nieufność i niepokój każdej władzy zmierzającej do opanowania żywiołu życia publicznego i podporządkowania go bez reszty narzuconym prawom. Nie dziwiło zatem, gdy w komunizmie Zachód określano mianem „zgniłego”, nie dziwi i dzisiaj, gdy podobnymi epitetami obdarza się zachodnie demokracje.

Zastanawiając się nad przyczynami prowadzącymi do upadku cywilizacji, Jan Józef Szczepański w zbiorze reportaży *Nasze nie nasze* (1983) podkreślał: „Dawne kultury statyczne umierały lub upadały nagle z powodu nadmiernej jednorodności, z powodu niedostatku opcji, pobudzających proces poszukiwań i wyboru. Ta sama przyczyna może być załóżkiem klęski naszej, nowoczesnej cywilizacji”. Lecz nikt nie jest w stanie pochwycić tego momentu, w którym owa jednorodność staje

się nadmierna. A nad tym właśnie zastanawia się w swym eseju Boia, dla którego zjawisko, jakim jest w dziejach ludzkości Zachód, wydaje się bardziej swego rodzaju osobliwością historyczną niż jakąś dziejową normą: „Przyszłość demokracji (...) – pisze – nie jest wcale pewna nawet na Zachodzie. Co jednak się wydarzy w świecie, w którym waga Zachodu i prestiż zachodniego modelu będą spadać? Czy demokracja będzie nieunikniona na pewnym poziomie rozwoju osiągniętym wcześniej na Zachodzie, ale do którego dojdą również pozostający z tyłu, czy też modelem czysto zachodnim, przyjętym przez jednych mniej lub bardziej formalnie, a przez innych w najmniejszym stopniu. Ostatnie obserwacje są gorzkie”.

Przewidywanie możliwych zmian jest niemal niemożliwe. O ile jeszcze w okolicach 1850 roku ludność planety wynosiła około 1,5 miliarda, teraz przekroczyła 8 miliardów, zaś w drugiej połowie stulecia ma przekroczyć 10. Przy tym narasta mobilność tej masy ludzkiej i narastać będzie. Zmienia się na naszych oczach system komunikacyjny, toniemy w morzu informacji, można nawet powiedzieć, że jest to najprawdopodobniej najbardziej produktywna informacyjnie część naszej przestrzeni kosmicznej, zaś odróżnienie prawdy od fałszu w tym chaosie wydaje się coraz trudniejsze. Pomijam takie zjawiska jak globalizacja czy skutki ocieplenia – tu także trudno o zdiagnozowanie sytuacji. Podsumowując swe rozważania, pisze Boia: „Niczego nie wiemy o przyszłości (...). Niezaprzeczalne jest tylko zerwanie, bo już je stwierdzamy. Nie da się jedynie powiedzieć, jak bardzo się ono pogłębi. W jakiej mierze świat zachodni (lub europejski w szerokim sensie) oderwie się od własnej przeszłości, w jakiej mierze inne kultury go zmodyfikują lub przysłonią. Dokładnie wiemy, co możemy stracić, ale nie mamy najmniejszego pojęcia, co możemy zyskać (co niekoniecznie oznacza scenariusz negatywny; równie dobrze może się pojawić nowa synteza cywilizacji, nie gorsza lub nawet lepsza niż dzisiejsza)”.

Zdanie zapisane w nawiasie zasługuje na szczególną uwagę. Zachód bowiem ma skłonność oczekiwania raczej na Armagedon i zniszczenie niż na uwzględnianie perspektywy optymistycznej, otwierającej nowe możliwości. Apokalipsa zamykająca Księgę chrześcijan wydaje się pieczęcią zamykającą naszą egzystencję, choć przecież można ją odczytywać również jako zapowiedź transformacji. Co nie musi oznaczać kresu, lecz raczej nowe otwarcie, jak to, za sprawą którego renesans przyniósł ocalenie antyku i w ten sposób Zachód wykroował.

Uczelnie i wielka woda



Uniwersytet Wrocławski



Politechnika Wrocławska

Na trasie powodzi, która nawiedziła południowo zachodnie rejony Polski znalazły się miejscowości akademickie.

Znajdujące się w nich uczelnie i ich majątek były bezpośrednio zagrożone zalaniem. Szybko zorganizowano akcję zabezpieczania budynków i przenoszenia urządzeń badawczych i cennych zbiorów bibliotecznych do bezpiecznych miejsc. Poniżej prezentujemy fotografie pokazujące przygotowania na przyjęcie wielkiej wody. Zostały one wykonane przez zaangażowane w akcję ratowniczą osoby z Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Nysie, Karkonoskiej Akademii Nauk Stosowanych w Jeleniej Górze, Uniwersytetu Opolskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego i Politechniki Wrocławskiej w tym tym dr. Piotra Wojtulka i prof. Przemysława Wiszewskiego.



Zalane pomieszczenia w budynkach Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Nysie



Biblioteka Uniwersytetu Opolskiego



Kampus Karkonoskiej Akademii Nauk Stosowanych w Jeleniej Górze

Europejska Nagroda Naukowa im. Stanisława Lema

Stanislaw Lem European Research Prize (Lem Prize)



Politechnika Wrocławska



Autor projektu statuetki:
prof. Przemysław Tyszkiewicz z ASP we Wrocławiu

Lem Prize została ufundowana, aby upamiętnić 100. rocznicę urodzin wybitnego polskiego pisarza i wizjonera, Stanisława Lema, wyróżnionego tytułem doktora honoris causa Politechniki Wrocławskiej w 1981 roku. Nagroda jest adresowana do młodych naukowców (poniżej 40. roku życia). Promuje odkrycia, które odznaczają się kreatywnością, interdyscyplinarnością i wizjonerstwem, zawierając przy tym istotny element technologiczny. Wysokość nagrody to 100 000 złotych.

Jury

Nagrodę przyznaje międzynarodowa kapituła, której przewodniczącym jest prof. Maciej Lewenstein (ICFO - The Institute of Photonic Sciences, Barcelona).

Terminy

Na aplikacje kandydatek i kandydatów czekamy do **30 września 2024 r.** Zwycięzca zostanie ogłoszony 15 listopada podczas Święta Politechniki Wrocławskiej.

Więcej informacji: lemprize.pwr.edu.pl

Kontakt: lemprize@pwr.edu.pl +48 71 320 22 68

#LemPrize